



ORZEL BIAŁY
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

April 1966

Price 3/6

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



B.D.I.C.

ORZEL BIAŁY

SYRENA
KWIECIEŃ
1966

Dołka walcząca o wolność

Nr 21/1168

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

WIELKANOC 1966



F^oP. 2156

Drzazgi

Marzenie emigranta

Ach, mieć ten akcent oxfordski,
Już się nad English nie znęcać!
Pół słowa nie wymawiać,
A pół niedbale przekręcać!

Fenomen

Niezwykły okaz. Fenomen natury.
Można go stale odzierać ze skóry.
Krokodyl? Wąż?
Nie. Lepiej. Mąż.

Na plaży po dwudziestu latach

Z daleka mnie poznała. Gdy przybiega bliżej,
Widzę ten biust wspaniały. Tylko widzę niżej.

Zaproszenie

„Może by pan z małżonką przyszedł do nas w gości?”
„Czy to sprawa społeczna, czy dla przyjemności?”
„Dla przyjemności. Ręczę, że pan się ubawi.”
„Człowiek się bawi, jak żonę w domu zostawi.”

Znamiona czasu

W naszej prasie dziwne zmiany
W atramencie, czy w osobach:
Jakoś mniej o polityce,
Za to więcej o chorobach.

ST. KOTWICZ

W NUMERZE :

S. Paczyński: Wyszedł jak Moczar na Zbawidzie	1
J. Tokarski: Universitas Civium Fidelium	3
Z. Stahl: Sumienna analiza polityki zagranicznej	5
Z. S.: Wyścig rozkładu albo zwartości	6
A. Cybulska: Skrzyżuj palce!	8
Z życia polskiego w świecie	9
W. Opolski: Solidarność afro-azjatycka: od Bandungu do... Hawany	10
T. Podgórski: Cień Karawelowa żyje w Sofii	13
J. Gniazdowski: Nowy kształt kompromisu politycznego we Włoszech	15
Z. Grabowski: Francja 1966	16
Dr Michał: Gawęda lekarska: malaria	22
W. Lewandowski: Nowe wynalazki — mikro-kapsułki	23
M. Paszkiewicz: Syrena herbem twym zwodnicza	24
J. Ostrowski: Życie kulturalne polskiego Londynu	28
Z. Wojciechowska: Liban — ziemia kontrastów	30
Z. Bohusz-Szysko: W górach (fragment wspomnień)	32
C. Jeśman: Produkt końcowy i przetrawiony	38
M. Radło: Spopielić Wajdę za „Popioły”	41
H. Żurkowska: Sprawy nieprzebrzmiałe	42
A. Czulowski: Historia sercem pisana	43
C. Dobek: O bohaterze pozytywnym	44
J. Claude: Nowe i stare gwiazdki	46
Fraszki, Krzyżówka	48

CZYTELNIKOM I PRZYJACIELOM

ŻYCZENIA

„WESOŁEGO ALLELUJA”

składają

Redakcja i Wydawnictwo „ORŁA BIAŁEGO”

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencje z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf” — 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka” — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZACH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNI: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.”, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf”, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa”, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

B.D.I.C

ŚWIĘTO
ZMARTWYCHWSTANIA
1966

Nr 21/1168

KWIECIEŃ 1966

Rok XXVI

STANISŁAW PACZYŃSKI

Wyszedł jak Moczar na Zbowidzie

PODOBNO staropolskie przysłowie „Wyszedł jak Zabłocki na mydle“ już w Kraju nie ma większego powodzenia. Od paru miesięcy, a zwłaszcza od ostatniego posiedzenia Rady Naczelnej ZBoWiD-u, jest w obiegu inne, bardziej na czasie, powtarzane wszędzie. Przysłowiowego Zabłockiego zastąpił w nim Moczar, a przysłowiowe mydło ZBoWiD. Jeśli więc dzisiaj ktoś wpadł paskudnie, to się o nim mówi, że wyszedł jak Moczar na ZBoWiD-zie. A, że przysłowia są mądrością narodu...

Nie wiadomo, jak powstała ta nowa wersja starego przysłowia. Faktem jest jednak, że w czasie tasemcowego przemówienia Moczara na posiedzeniu Rady zbowidowej, ktoś na sali mruknął: „Wyszedł jak Moczar na ZBoWiD-zie“. Moczar bowiem nie potrafił ukryć swej goryczy z powodu dotkliwej porażki, poniesionej przez ZBoWiD w akcji przeciwko niepodległościowym związkom kombatanckim, a szczególnie przeciwko Stowarzyszeniu Polskich Kombatanatów — Federacja Światowa. A przemawiając długo — gubił się po prostu w rażących sprzecznościach.

Trudno się temu dziwić. ZBoWiD bowiem rzeczywiście nie może się poszczycić żadnym sukcesem w sektorze emigracyjnym. Nie pozyskał żadnej emigracyjnej organizacji. Jego emisariusze, z którymi nikt z emigrantów nie chciał podjąć żadnego dialogu — doznali wielu bolesnych upokorzeń. Wprawdzie udało mu się uruchomić we Francji kilka „pasów transmisyjnych“, ale ich próby działania z góry skazane są na niepowodzenie; przekonałem się o tym osobiście, mogę więc być, że tak powiem, świadkiem koronnym. Wbrew reżimowej propagandzie, wpływ niezłomych, o których prasa kompartii w Kraju i na Zachodzie pisała już z iro-

nią i politowaniem — wcale nie słabnie wśród szerokich mas kombatanckich. Krótko mówiąc, Moczar na własnej skórze przekonał się, że dotychczasowy aparat nadwiślańskiej kompartii do rozróbki emigracji — „Polonia, PAX, ZNAK, frankiści, ZBoWiD itp. — zdziałał bardzo niewiele. że całą dywersyjną robotę trzeba planować na nowo, od podstaw. I planować na bardzo długą metę. Na żadne sukcesy w w najbliższej przyszłości liczyć nie można.

W tym stanie rzeczy zawisła w próżni wyciągnięta ręka Moczara cofa w pośpiechu i udaje, że on nigdy jej nie wyciągał. Pod adresem przywódców Stowarzyszenia Polskich Kombatanatów woła obłudnie i kłamliwie:

„Płatni najemnicy mówią dalej, że odrzucają naszą rękę. Ależ to grube nieporozumienie! Przecież my tej ręki wcale do nich nie wyciągamy, ani też takich zamiarów nie mamy. Szczerze mówiąc, oni nas nie interesują“.

Rzeczywiście? Nie interesują? Nie było więc ponoć usilnych zabiegów różnych Berlingów, Skibińskich i Zakrzewskich, Issajewiczów, „Radosławów“ i Sołtysiaków, zmierzających do pozyskania choćby paru czołowych działaczy kombatanckich na emigracji. I w tej chwili nie ma rzekomo żadnej akcji, której celem jest ściągnięcie na reżimową galówkę, zapowiedzianą na 22 lipca, choćby dziesięcioczłonowy emigracyjny zespół kombatancki. Czy mam znowu opublikować listy w moim posiadaniu, skierowane przez najwyższych dygnitarzy zbowidowych do całego szeregu kombatanckich działaczy?

Ale idźmy dalej, brnijmy w gąszcz moczarowych sprzeczności. Oficjalna propaganda nadwiślańskiej kompartii już dawno pogrzebała polską emigrację

Wielkanoc w roku milenijnym ma szczególne znaczenie dla narodu polskiego. Towarzyszy mu dodatkowa radość. Historycy są zgodni, że najprawdopodobniejsza data chrztu Mieszka I w roku 966 zbiegała się z ówczesną datą Święta Zmartwychwstania Pańskiego.

Ścisłość daty jest oczywiście sprawą niezbyt ważną. Ważniejszym jest fakt, że oto po raz tysięczny naród polski łączy się z całą społecznością chrześcijańską w radości, wypływającej z odkupienia ludzkości przez ofiarę Syna Bożego.

Święto Wielkiej Nocy ma w sobie nutę triumfu. Oto Syn Boży przeżył śmierć. Sprawom Bożym nie godzi się przydawać znaczeń symbolicznych, w naszym ludzkim, doczesnym znaczeniu. Niemniej chrześcijanin, gdy czyni to z pokorą, ma prawo ze Spraw Bożych czerpać nadzieję i otuchę także na swój ziemski doczesny użytek. Wolno więc i narodowi polskiemu dać wyraz swej radości z powodu triumfu moralnego, jaki odniósł nad siłami zła. W okresie Wielkiej Nocy roku 1966 może powiedzieć o sobie, że wytrwał w woli dochowania wiary Bogu i w woli pozostania w tym kręgu kultury w jaki wkroczył przed tysiącem lat.

Naród polski pozostaje chrześcijańskim w swej strukturze myślowej na przekór wysiłkom jego dzisiejszych rządców. Nie zmieni jej ani przymus fizyczny ani dialektyka starająca się w Polaków wmówić, że jest inaczej, lub powinno być inaczej.

Walka z Kościołem katolickim w Polsce, prowadzona różnymi sposobami, jest w roku milenijnym naczelnym jak gdyby zadaniem reżimu komunistycznego. Jej fazy są powszechnie znane. Znane są także jej metody. W przededniu nieomal majowych obchodów milenijnych w Polsce z ich momentem kulminacyjnym na Jasnej Górze, władze reżimowe rozpoczęły nową serię szykan, utrudniając przybycie na uroczystości spoza granic Polski. Szykan tych będzie zapewne więcej. Nie zmienia one postawy narodu polskiego. Niemniej, na Polaków żyjących na emigracji spada obowiązek powiedzenia światu tego wszystkiego czemu społeczeństwo w Kraju dać będzie mogło wyraz jedynie w swych myślach i modlitwach. Okazją po temu będą uroczystości majowe ku uczczeniu Tysiąclecia w Rzymie i w Londynie.

UWAGA! Przepraszamy czytelników za błąd techniczny w postaci nie zaznaczenia na str. 13, iż dokończenie artykułu T. Podgórskiego o Bułgarii znajduje się na str. 46.

polityczną. Raz po raz słyszeliśmy, że „skłócona, wysługująca się obcym wywiadowi, emigracja nie przedstawia żadnej siły.“

I oto od tej „emigracyjnej beziły“ Moczkar już raz dostał porządnie po palcach. A obecnie, nauczony smutnym doświadczeniem, do walki z nią skupia wszystkie komunistyczne siły, ogłasza mobilizację niemal powszechną. Posłuchajmy:

„Dlatego też jako organizacja zbawidowska zwróciliśmy się do różnych naszych organizacji, instytucji i niektórych ministerstw z apelem, by opracowały one programy poznawania kraju przez blisko 10-milionową Polonię.“

Nie koniec na tym. Wkrótce drzazgi polecą w reżimowych placówkach dyplomatycznych, konsularnych naukowych, kulturalnych, handlowych, itd. Moczkarowa komisja przez lupe ogląda wszystkie personalia. Wśród pracowników tych placówek powstał istny popłoch. Nikt nie jest pewien dnia, ani godziny. Wszyscy bowiem wiedzą, że wkrótce nastąpią wielkie czystki.

I znowu istotnym powodem tych czystek jest ... „emigracyjna beziła“. Moczkar wcale tego nieukrywa. Cytuję:

„Nie mogą być temu obojętne nasze placówki: ambasady, konsulaty, w których jakże wielu pracuje jeszcze ludzi obojętnych wobec sprawy, o której wspominam.“

Ta „sprawa“ — to walka z emigracją i jej rzekoma beziła. Różne reżimowe placówki muszą wziąć większy niż dotychczas udział w tej walce. To też wkrótce zaroją się one moczkarowcami i ruszą do ataku.

Głównym jej taranem, który w dalszym ciągu będzie uderzać w „emigracyjną beziłę“ — pozostanie ZBoWiD. Albowiem ZBoWiD to nie tylko zakamuflowane Politbiuro KC PZPR, lecz także — Moskwa. Postaram się to krótko wyjaśnić.

Oto w zbawidowej Radzie zasiadają wszyscy członkowie warszawskiego Politbiura z Gomułką na czele. Gdy więc Moczkar, prezes zarządu ZBoWiD-u, składa takie czy inne oświadczenie, gdy zapowiada zagraniczne czystki — nie może być najmniejszej wątpliwości co do tego, że wykonuje tylko polecenie Politbiura. W dzisiejszym ustroju komunistycznym niema miejsca na solowe popisy. Musimy tedy zdawać sobie sprawę z tego, że emigracyjnym związkom kombatanckim walke na śmierć i życie wypowiedziało warszawskie Politbiuro, że ZBoWiD jest tylko jego narzędziem. I niczym więcej.

Ale w istocie tą walką kieruje czynnik znacznie wyższy, czynnik najwyższy — Moskwa. Działa przy tym — zwykle w podobnych wypadkach — nie bezpośrednio, lecz za pośrednictwem

swych „pasów transmisyjnych“. Takim moskiewskim „pasem transmisyjnym“ na odcinku kombatanckim jest frontowa organizacja wojującego bolszewizmu — FIR czyli Międzynarodowa Federacja Bojowników Ruchu Oporu. ZBoWiD jest naturalnie członkiem FIR-u. Łącznikiem między FIR-em i ZBoWiD-em jest zbawidowa Komisja Zagraniczna, której dywersją na Zachodzie kieruje prezydent w następującym składzie: Włodzimierz Lechowicz — przewodniczący; Jan Izydorczyk, Antoni Korzycki i Franciszek Książarczyk — wiceprzewodniczący; Michał Issajewicz — sekretarz.

W dniach 9—12 grudnia ub. r. odbył się w Budapeszcie V kongres FIR-u. Na czele delegacji ZBoWiD-u, która wzięła udział w kongresie — stał naturalnie Włodzimierz Lechowicz. Do władz FIR-u weszli następujący zbawidowcy: Włodzimierz Lechowicz został jednym z dwunastu wiceprezesów; Kazimierz Rusinek — członkiem Biura FIR-u; Gustaw Alef-Bolkowiak — zastępcą sekretarza generalnego; do Rady Generalnej FIR-u weszli Kazimierz Banach i Jerzy Ziętek; do komisji kontroli finansowej — Józef Szkuta.

Kreśląc zadania FIR-u na najbliższą przyszłość, Jean Toujas, sekretarz generalny, położył nacisk na konieczność walki z zachodnio-niemieckim rewizjonizmem oraz na konieczność przeciwstawienia się wszelkimi środkami amerykańskiej agresji w Wietnamie. Kongres całkowicie podzielił wywody sekretarza generalnego FIR-u.

Działo się to, powtarzam, w grudniu ub. r. w Budapeszcie. A w styczniu br. w Warszawie, Włodzimierz Lechowicz tak oto określa zadania zbawidowej Komisji Zagranicznej: „Główne zadania Komisji w 1966 r. wiąże się najściślej z uchwałami Kongresu FIR, który odbył się w grudniu w Budapeszcie...“. Sapienti sat.

FIR na Zachodzie jest na ogół znany. Toteż zachodnie organizacje kombatanckie wykazują wielką nieufność do tego moskiewskiego „pasa transmi-

syjnego“. I dlatego właśnie ZBoWiD-owi, konkretnie: jego Komisji Zagranicznej — wyznaczone zostało zadanie penetracji do organizacji zachodnich. Niegdyś Stalin Polskę „ludową“ nazwał „brygadą szturmową obozu socjalistycznego“. Mutatis mutandis można powiedzieć, że ZBoWiD jest dzisiaj „brygadą szturmową FIR-u, a więc Moskwy. I dlatego wszelkim dywersyjnym podróżom emisariuszy zbawidowych trzeba się przyglądać ze szczególną uwagą.

Lechowicz stale podkreśla, że Komisja Zagraniczna nie zajmuje się polskimi organizacjami emigracyjnymi, które stanowią przedmiot działania zbawidowej Komisji Współpracy z Polonią Zagraniczną. Otóż należy stwierdzić, że działanie Komisji Zagranicznej może się okazać dla nas bardziej niebezpieczne, niż pożałowania godne usiłowania komisji Berlinga. Jednym bowiem z celów Komisji Zagranicznej jest dążenie do izolowania emigracyjnych związków kombatanckich, wpędzenie ich do emigracyjnego getta, odcięcie od organizacji zachodnich, a tym samym uniemożliwienie im oddziaływania na opinie tych ostatnich. Zbawidowci mędrcy twierdzą, że wówczas z emigracyjnymi organizacjami nie mieliby większego kłopotu.

Moczkar, który — jak dotychczas — gorzej wyszedł na ZBoWiD-zie niż Zablocki na mydle — nie podziela tego optymizmu. Toteż postanowił już dzisiaj rozbudować aparat, zaprzac do roboty dywersyjnej wśród emigracji Urząd do Spraw Wyznań. Wie bowiem, że na dłuższą metę taka będzie postawa emigracji, jacy będą emigracyjni księża.

Tak więc od paru miesięcy w sektorze emigracyjnym działa również Urząd do Spraw Wyznań. Do walki z „emigracyjną beziłą“ Moczkar gromadzi coraz większe siły.

Temu nowemu elementowi reżimowego aparatu do rozróbki emigracji poświęć jedną z mych przyszłych korespondencji.

Stanisław Paczyński

ŻYCZENIA

WESOŁEGO ALLELUJA

składa

WSZYSTKIM KLIENTOM

M. B. GRABOWSKI

175, DRAYCOTT AVENUE, LONDON, S. W. 3.

Tel.: KEN 0750

UNIVERSITAS CIVIUM FIDELIUM

DLA Marsyliusza więc zgodnie z jego teorią woli ludu, której wykonawcą jest władca i rząd obieralny, Kościół w tradycyjnym pojęciu nie istnieje. Byt realny — *animalem naturam* — posiada tylko państwo, będące społecznością doskonałą i posiadające cel sam z siebie wystarczający: *congregatio perfecta et terminem habens per se sufficientia* (Def. pacis, dict. I, 1. 3.), definicja wyraźnie wywodząca się ze św. Tomasza z Akwinu, bez którego teorii Marsyliusza, Bartola de Sassoferata, Williama z Ockham czy innych nie byłyby możliwe. Akwinata bowiem dokonał wyraźnego rozróżnienia dwu porządków, naturalnego i nadprzyrodzonego, dzięki czemu stara teoria św. Augustyna, że państwo ze swymi firmami przymusu, jest tylko złem koniecznym i skutkiem grzechu pierwotnego, mogła ustąpić miejsca zrozumieniu, że państwo odpowiada naturalnym potrzebom i aspiracjom człowieka, żyjącego w zbiorowości i stanowi w porządku naturalnym najwyższe dobro i najwyższą umiejętność, niejako koronę działalności człowieka jako człowieka.

Państwo dla Padewczyka to „*universitas civium*“, społeczność obywateli. Obywatelom zaś jest każdy człowiek, i państwu musi być obojętne, czy ten człowiek jest chrześcijaninem czy też nie. (Mamy tu więc nie tylko wyprzedzenie o blisko 100 lat podobnego aspektu Włodkowica, ale takie postawienie sprawy, które czyni tolerancję zbędną; wszelkie bowiem przekonania obywatela są w ujęciu Marsyliusza jego sprawą prywatną jeśli tylko nie prowadzą do zakłócenia pokoju w państwie i nie rozrywają jego jedności). Życie pozarobowe np. może być arcyważną sprawą dla wierzących, ale państwa nie może to obchodzić w żaden sposób. Jest to sprawa ważna dla tych, którzy są „*fideles*“; lecz ci, których to nie interesuje, nie przestają być pełnoprawnymi obywatelami. Kler więc może upominać grzeszników, mówi co chce o losie, jaki ich czeka w piekle, ale nie wolno mu nikogo wykluczać ze społeczności państwowej (przez klątwy np.) z powodu nieprawomyślnego charakteru wierzeń albo z powodu grzechów. Grzech jako grzech bowiem państwa nie obchodzi, chyba że równocześnie stanowi przestępstwo i zbrodnię. Kler może także czy inne wierzenie uznać za herezję, lecz i to realnie nie może mieć znaczenia dla państwa, chyba że samo

państwo ze względu na własne dobro postanowiłoby uczynić jakąś herezję występkiem przeciw państwu. Na ziemi nie istnieje żadna władza zdolna karać za przestępowanie tylko prawa bożego, ponieważ jedynie Chrystus Pan jest Sędzią. Oczywiście pewne wykroczenia przeciw tym prawom i państwo może karać, a nawet musi karać, ale wtedy sprawa ta cała leży w dyspozycji ziemskiego prawodawcy i prawo boże wtedy przestaje być prawem bożym, a staje się tylko prawem ludzkim.

Jurydykcja duchownych jest więc zdaniem Padewczyka nadużyciem, które się zakradło z trzech powodów: częściowo na podstawie sfałszowanych dokumentów; częściowo na błędnym tłumaczeniu i interpretowaniu pewnych miejsc z Pisma św.; i wreszcie na podstawie zwykłych uzurpacji, dokonywanych przez papieżstwo w okresach słabości władzy świeckiej, szczególnie podczas bezkrólewia i cesarstwie. Państwo dla spełniania swych zadań potrzebuje przede wszystkim jedności i spokoju: a właśnie jurysdykcja duchowna rozrywa jedność i stanowi źródło niepokoju i nawet wojen. Przecież nie ma np. nic duchowego w przestępstwach, popełnianych przez kler. Jeśli np. duchowni kupują, sprzedają, zastawiają, rabują, gwałcą, cudzołożą, składają przysięgi i krzywoprzysięgają czyż takie postępek nabierają charakteru duchowego przez to, że popełniają je duchowni? — pyta Marsyliusz. Nie ma więc żadnego uzasadnienia na istnienie osobnej jurysdykcji kościelnej. Duchowni są obywatelami tak samo jak cała reszta laików i za popełnione przestępstwa muszą odpowiadać przed tymi samymi sądami, co inni obywatele. Tylko państwo dzięki woli ludu, *voluntas populi*, posiada moc wydawania praw z sankcją i władzę wymuszania wykonywania praw. Moc nakładania takich praw stanowi o istocie państwa.

Kościół nie posiada charakteru „*animalis naturae*“, gdyż powstał nie jako wyraz woli ludu, ale na mocy słowa Chrystusowego; jest więc spoza natury. Nie ma zatem charakteru społeczności, ciała, *corporis*. Stanowi tylko pewien dodatkowy aspekt przekonania tych obywateli, którzy wierzą „*imieniu Chrystusowemu*“. Jest rodzajem związku czy bractwa wszystkich wzywających imienia Jezus. Jeśli jednak członkowie tej „*sodalitatis*“ mają w swych powiązaniach pewien charakter jakby korporacji, dzieje się tak tylko z upoważnienia

„społeczności obywateli wierzących“, *universitatis civium fidelium*; i tylko cała społeczność ma *sui generis* władzę stanowienia pewnych praw i powoduje, że ów czysto duchowy związek posiada pewien charakter korporacyjny i prawny. Lecz tylko w odniesieniu do obywateli, którzy są „*fideles*“. Słowo *cives*, obywatele, jest tu dla Marsyliusza istotne.

Tak zwany prymat papieża jest jego zdaniem bajką, wymyśloną przez biskupów rzymskich; podobnie też twierdzenie, że papież jest następcą Piotra. I Marsyliusz chyba pierwszy poddał w wątpliwość pobyt Piotra w Rzymie, powołując się na brak jakichkolwiek historycznych zapisanych dowodów. Tylko podstępne działanie papieża, powolność władców, ignorancja duchownych i przesady świeckich mogły sprawić, że prawo kanoniczne zdołało nabrać charakteru regulatora. Dlatego jego zdaniem dla dobra państw i obywateli, powinno się papieżstwo usunąć jako instytucję rządu, gdyż pod tym względem nie spoczywa na żadnym fundamencie.

Natomiast władza w owym „związku wierzących imieniu Chrystusa“ spoczywa we wszystkich wierzących, podobnie jak w państwie — we wszystkich obywatelach. Wierzący wywierają swoją władzę w Kościele za pośrednictwem soboru powszechnego, na którym musi być reprezentowany ów związek w swej całości, to jest tak przez świeckich jak duchownych. Jeśli bowiem w państwie ma obowiązywać zasada, że „co dotyczy wszystkich, przez wszystkich musi być zatwierdzone“, to samo obowiązywać musi w Kościele. To w co każdy ma wierzyć, jest przeciw sprawą, która obchodzi wszystkich wierzących, zatem wszyscy muszą na soborze obierać papieża, określać jego władzę, ustalać artykuły wiary, itp. Ponieważ na soborze asystuje Duch Św., zatem postanowienia soborowe są nieomyślne. Poza soborem może mylić się i pobiłdździć w wierze każdy, także papież. Sobór więc w takim wypadku ma prawo i obowiązek zdeponowania papieża. Było to odwrócenie zasady głoszonej zwłaszcza od św. Grzegorza VII, że papież jako rządca Kościoła stanowi stan sam dla siebie, jest poza i ponad zgromadzeniem wiernych. W twierdzeniu Marsyliusza papież jest członkiem Kościoła na podobieństwo innych.

Marsyliusz pisał swoje dzieło — dziś powiedzielibyśmy, że należy ono do za-

kresu „Staatslehre“, „Political Science“ — nie jako prawnik i teolog, lecz jako filozof. Jego teoria „soborowość“ aczkolwiek miała podatny grunt w wieku XIV, jest jednak nadmiernie uproszczona, prymitywna, nierozczłonkowana. Dlatego też i z tego powodu Marsyliusz wywarł raczej niewielki wpływ na teorie koncyliarne, kiedy ze sfery rozważań i teoretyzowania przejdą w dziedzinę praktyczną podczas schizmy zachodniej. Natomiast autorem, który zaważył ogromnie, stał się William z Ockham.

WILLIAM Ockham (pisany także Occam, Ockam, Oscham), nazwany przez współczesnych zaszczytnym tytułem „doctor singularis“ i „venerabilis inceptor“, jest jednym z najświetniejszych umysłów, jakie średniowiecze wydało. („Singularis“ znaczy: „jedyny w swoim rodzaju, najświetniejszy“; „venerabilis inceptor“ zaś, czyli „czcigodny inicjator“ — ponieważ zapoczątkował w nieporównany sposób nową szkołę myślenia w poznaniu, logice, metafizyce, teologii, fizyce; również w dziedzinie wiedzy politycznej jego przemyślenia wywarły wpływ bardzo wielki).

Od lat trwają prace nad pełnym wydaniem jego pism, co potrwa zapewne jeszcze dość długo. Dlatego też — jak profesor E. F. Jacob pisze — choć nie ma ucieczki od Ockhama i każdy, kto chce cokolwiek mówić o średniowieczu, musi go uwzględnić w specjalny sposób, to jednak wciąż korzystamy tylko z niedokładnego XVII-wiecznego wydania jego dzieła Goldasta. Goldast był eksksjędzem katolickim i nie wiadomo co „wpisywał“, zwłaszcza antypapieskiego, w wydawane przez siebie teksty; a może po prostu miał tylko do dyspozycji teksty już zepsute. Kiedy np. porównać jeden z najważniejszych traktatów średniowiecznych, wspomniany przeze mnie w poprzednim artykule Jana z Paryża „De potestate regia et papali“ w wydaniu Goldasta a w dzisiejszym opracowaniu przez Dom Leclercq'a, widać tu i ówdzie tak wielkie różnice, że wypaczają sens paryskiego dominikanina i nadają jego twierdzeniom treść przeciwną od zamierzonej; również ilość rozdziałów jest inna. Nie mając krytycznie opracowanych tekstów Ockhama, jesteśmy czasem niepewni czy przedstawiają jego sformułowania autentyczne. Dodatkowy kłopot stwarza jego sposób pisania niekiedy niejasny, trudny, zawikłany i czasem dopuszczający możliwość podwójnego rozumienia.

Urodzony około roku 1290 we wsi

Ockham, Surrey, studiował w Oxfordzie, gdzie wstąpił do franciszkanów. Prawdopodobnie wykładał pod okiem magistra, lecz sam do doktoratu teologii nie doszedł; wymagało to wtedy kilkanaście lat różnego rodzaju przygotowań. Tymczasem w roku 1324 został wezwany do Awinionu, żeby przed papieżem oczyścić się z zarzutów o twierdzenia heretyckie, zawarte w jego pierwszym dziele „Komentarz na 4 księgi Sentencji“. Tutaj poznał generała swego zakonu, Michała z Ceseny i jeszcze jednego z wybitnych ówczesnych franciszkanów, którzy bronili przed papieżem swoich przekonań o ubóstwie ewangelicznym. Ockham przyłączył się do ich poglądów, za co spotkała ich wszystkich ekskomunikacja w 1328 roku. Wtedy uciekł z Awinionu pod opieką cesarza, Ludwika Wittelsbacha, znajdującego się w walce z Janem XXII, najpierw do Włoch. Ockham miał powiedzieć cesarzowi: „Ja ciebie będę bronił piórem, a ty mnie mieczem“. Po krótkim pobycie we Włoszech w otoczeniu cesarskim, Ockham spędził kilka lat w Monachium, gdzie pisał w sprawie cesarza przeciw uroszczeniom papieskim. Od roku 1342 po śmierci Michała z Ceseny był wikariuszem franciszkanów „spiritualnych“, uważających że wbrew rozstrzygnięciu papieskiemu obowiązują ich ubóstwo zupełne i że Chrystus Pan i apostołowie takie ubóstwo praktykowali. Zmarł w 1349 lub 1350, może w czasie „czarnej śmierci“, i starał się o zdjęcie ekskomunikacji. Na dwa lub trzy lata przed śmiercią napisał, że chce zdać sprawę i rachunek ze wszystkiego co czynił, pisał i powiedział „od czasu kiedy poddałem się regule św. Franciszka“, by wszyscy wierni mogli się przekonać, czy „można cokolwiek dowieść przeciwko mnie, na mocy czego nie powinienem być zaliczany do synów świateł“... „Bardziej mnie poruszy jeden oczywisty akt rozumowania lub ustęp autorytetu skrypturalnego, właściwie rozumianego, niż twierdzenie całego wszechświata śmiertelników“.

U podstawy najrozmaitszych wypowiedzi Ockhama, zwłaszcza prawdopodobnie pod wpływem straszliwych i okrutnych perypatyj franciszkanów, (paru zostało spalonych z rozkazu Jana XXII za swoje poglądy na sprawę konieczności ubóstwa), leży przeświadczenie, że namiestnik Chrystusa i następca Piotra, winien jest grzechu herezji. Stąd też jego pogląd na naturę władzy papieża w Kościele i na rolę soboru zyskuje specjalne zabarwienie.

Jan Tokarski

(Kłochowicz, Cztery niedotrzymane pakt, nakładem Gryf/SPK Publication, Londyn, 1966, stron 183, cena 21/-).

Polska literatura polityczna wzbogaciła się o jasno i zwięźle napisane, analityczne studium polityki zagranicznej 20-lecia niepodległości. Nieznany dotychczas autor, Kazimierz Kłochowicz, przedstawia tę politykę w świetle czterech międzynarodowych układów, w których ta polityka Polski Niepodległej naszego wieku przede wszystkim się wyraziła i które poddaje wnikliwej a bezstronnej, beznamiętnej analizie. W rezultacie takiego ujęcia, obraz międzynarodowej sytuacji naszego, odbudowanego państwa oraz jego własnych, samodzielnych dążeń, jaki książka Kłochowicza przynosi, nie wynika z ogólników albo dysertacji; rysuje się konkretnie, powstaje z zawieranych przez nasza dyplomację dwustronnych układów, będących zarzem funkcją i współczynnikiem polityki europejskiej owego czasu.

Autor w pierwszym, będącym właściwie wstępem, rozdziale słusznie i nawet zbyt pobłażliwie pisze o zarzutach, jakich przedmiotem stała się po II wojnie zagraniczna polityka 20-lecia. Słusznie więc pisze o literaturze obcej, że usiłuje ona „zamilczeć lub przeinaczyć prawdę, oczyścić takie czy inne państwo i jego polityczne kierownictwo i złożyć cały ciężar odpowiedzialności za rozwój ówczesnych wypadków na barki polskie“ (str. 7). Jeszcze mniej sprawiedliwa, a przepojona nie tylko żółcią, którą wypomina Kłochowicz, jest literatura na ten temat, produkowana pod dyktandem komunistycznym w Polsce. Komunistom bowiem, jak wiemy, chodzi o wmówienie polskiemu społeczeństwu, że istotna niepodległość Polski jest mrzonką, że naród nasz jest skazany na rolę satelity w imperium sowieckim, satelity zmuszonego płacić rezygnacją z historycznej osobowości za niewolniczą wegetację pod zwierzchnictwem Moskwy.

Wroga kampania i należyta odpowiedź

Aby o tym społeczeństwo nasze przekonać, trzeba w pierwszym rzędzie zohydzić w polskich oczach politykę, która wpływała z woli zachowania rzeczywistej samodzielności w życiu międzynarodowym, czyli własnej polityki zagranicznej. Dzisiaj więc, oceny tej polityki w ciągu 20-lecia niepodległości, to w kraju pod reżymem komunistycznym nie tylko krytyki, przepojone żalem czy nawet żółcią, które pojawiły się po wrześniu i podczas wojny na emigracji. To już systematyczna kampania fałszerstw i podważania samej zasady polskiej suwerenności między narodami.

SUMIENNA ANALIZA POLITYKI ZAGRANICZNEJ DWUDZIESTOLECIA NIEPODLEGŁOŚCI

Odpowiedzią na tę kampanię musi być gromadzenie i publikacja materiałów sumiennie i wszechstronnie dobranych, a zawierających prawdziwy obraz dążeń niepodległego państwa polskiego w okresie dwudziestolecia. Zamiar ten przedstawia autor w pierwszym rozdziale swojej pracy zatytułowanym „O co chodzi“ i sumiennie go odnośnie do swego tematu wypełnia. „Cztery niedotrzymane paktów“, które książka analizuje, to: Polskę z Francją, z Rosją Sowiecką, Niemcami i W. Brytanią. Klochowicz omawia je nie w porządku chronologicznym, lecz zaczyna od zawartych z mocarstwami ościeniami, układów o nieagresji i następnie dopiero przechodzi do traktatów z mocarstwami zachodnimi, chociaż polsko-francuski był najdawniejszy. Niemniej, dyplomatyczna historia dwudziestolecia, osnuta na tle wybranych przez autora paktów, nakreślona jest w książce systematycznie i przejrzyście.

W jednym tylko wypadku wydało mi się, że autor poszedł w tej systematyce zbyt daleko! Przedstawiając mianowicie w rozdziale drugim pt. „Pakt polsko-rosyjski“ dzieje stosunków Warszawa-Moskwa, zwłaszcza w ostatnich tygodniach przed wojną, z należytą szczegółowością, nawet nie wspomina w tym miejscu, że 23 sierpnia Mołotow z Ribbentropem podpisali złowieszczy dla nas pakt na Kremlu. Pakt ten omawia Klochowicz gruntownie i oświetla należycie dopiero w rozdziale czwartym pt. „Za kulisami sceny“, a przecież — mimo, że przygotowania były zakulisowe — podpisanie go w Moskwie było natychmiast ogłoszone. Czytelnik w rezultacie pozostaje jakis czas pod mylnym wrażeniem, że autor zasadniczego faktu nie wziął pod uwagę.

Odpowiedzialność Francji i Anglii

Książka Kazimierza Klochowicza jest w znacznej mierze dobrze, a spokojnie udokumentowanym oskarżeniem politycznika zachodniej, w szczególności francuskiej i angielskiej, jako odpowiedzialnej za dopuszczenie do uzbrojenia Rzeszy przez Hitlera oraz do jego wstępnych bezkrwawych podbojów, wreszcie za pozostawienie faktycznie swojemu losowi — wbrew zawartym układom — Polski. Książka odpiera liczne zarzuty, kierowane dzisiaj przeciw polityce rządu polskiego albo naszego dowództwa w kampanii wrześ-

niowej, dowodząc przekonywująco, że obarczone nimi winny być przeważnie rządy Paryża i Londynu.

One to mogły zapobiec zbrojeniom niemieckim i tego nie uczyniły, one poświęciły dla „appeasementu“ Hitlera Czechosłowację, a oskarżały następnie o opuszczenie tego kraju przez Polskę. One wreszcie nie ujawniły dość stanowczej woli dotrzymania swoich układów z Polską, woli która mogła być może powstrzymać Hitlera. One wreszcie, a w szczególności rząd francuski, nie nakazały swoim sztabom przewidzianego współdziałania wojskowego z Polską po ataku na nią hitlerowskich Niemiec, pozbawiając polską strategię obronną tych elementów, na które miała ona prawo liczyć.

Pesymizm, zbyt daleko idący.

Rejestr tych faktów, które poprzedziły wybuch II wojny światowej i zaszły podczas jej pierwszego, wrześniowego etapu, rejestr oparty na nie za nadto obfitej, ale dobrze dobranej i słusznie — nie tylko ze względów alfabetycznych — rozpoczętej od „Dernier rapport“ Józefa Becka, źródłowej literaturze, oczywiście prowadzi autora do wniosków pesymistycznych. Świadomy tego swego nastroju K. Klochowicz daje też ostatniemu rozdziałowi książki tytuł „Pesymistyczne zakończenie“. Prowadzi też ono jakby do — niesformułowanej przez autora — tezy że współdziałanie z mocarstwami zachodnimi nie może stanowić realnego współczynnika polskiej polityki, że doświadczenia II wojny światowej skłaniać winny do przekreślenia trwałego naszej orientacji prozachodniej.

Myślę, że przed tak daleko idącym

pesymizmem należało by czytelnika przestrzec. Opuszczenie Polski i zlekceważenie jej niepodległości przez mocarstwa zachodnie w międzynarodowej sytuacji, której rozstrzygającym aktem była II wojna światowa, nie musi wcale znaczyć, że sprawa nasza będzie również w przyszłości tak przez główne stolice zachodnie widziana. Silna Francja po I wojnie światowej naszego wieku poparła na serio dążenia do niepodległości narodów Europy środkowo-wschodniej. Teoria egzotyczności naszych przemyśleń z mocarstwami geograficznie odległymi traci z natury rzeczy swoje uzasadnienie w epoce, kiedy technika coraz bardziej zdecydowanie przestrzenną odległość przewyżcza.

Nie ulegajmy sugestii trwałości dzisiejszego układu stosunków w Europie i w świecie, nie dajmy się sugerować deterministycznej doktrynie „nieodwracalności“ społecznych czy międzynarodowych procesów. Nie pozwólmy sobie narzucić poglądu, że — wbrew wszelkim doświadczeniom historii oraz tendencjom dzisiejszego świata — panowanie totalnego imperializmu Moskwy nad Polską i połową Europy, to ostatnie słowo dziejów naszego czasu.

NOWE WYDANIE

głośnej książki

STEFANA KORBOŃSKIEGO

„W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYF“ — 171, Battersea Church Road,
London, S. W. 11.

WESOŁEGO ALLELUJA

życzy

WSZYSTKIM KLIENTOM

Dyrekcja

L. SCHWEIZER LTD.

Import i Hurt Żywności

55, FARRINGDON ROAD, LONDON, E. C. 1.

Tel.: CHA 7257

Zachód i komunizm —

Losy gorącej wojny wietnamskiej zależą od rozwoju sytuacji światowej i w szczególności od stosunków między Zachodem a blokiem komunistycznym, których ta wojna jest fragmentem. Stosunki te zresztą, poza obszarem Wietnamu, polegają ostatnio mniej na bezpośrednim zwalczaniu się świata wolnego i komunistycznego, a bardziej na wyścigu, jaki się między nimi odbywa. Jest to wyścig wewnętrzny zwierzania się obu obozów albo też ich rozkładu, od którego przyszłość narodów w znacznym stopniu zależy.

Jesteśmy obecnie, na wiosnę 1966 w dość krytycznym okresie dla wewnętrznego stanu, zarówno w obozie zachodnim, jak i komunistycznym. Na konferencji prasowej prezydent de Gaulle zapowiedział, że będzie dążył do adaptacji Przymierza Atlantyckiego do nowego układu sił i 10 marca rząd francuski przesłał partnerom tego przymierza memoriał, formułujący swoje konkretne postulaty w tym zakresie. Po drugiej stronie „żelaznej kurtyny” marcowy 23 kongres sowieckiej partii komunistycznej stał się równoległe okazją do nowej manifestacji kontrowersji, jaka dzieli od dłuższego czasu Pekin od Moskwy. Chińska partia brutalnym, jak zwykle, językiem odrzuciła sowieckie zaproszenie do Moskwy na uroczystości kongresowe.

Kilka jest analogii pomiędzy wewnętrznymi kryzysami w obu obozach światowych, ale najważniejsza — jak sądzę — polega na tym, że dotychczasowy prymat Rosji Sowieckiej w bloku komunistycznym oraz Stanów Zjednoczonych w świecie wolnym został zakwestionowany. Zakwestionowanie to zresztą, moim zdaniem, nie wyraża się w zaprzeczaniu obu supermocarstwom największej siły, lecz ogranicza się ono do odmawiania im podstaw do bezwzględnej hegemonii nad swoimi partnerami. Francja de Gaulle'a w Przymierzu Atlantyckim i czerwone Chiny Mao Tse-tunga w bloku komunistycznym domagają się więc w istocie nie równości ze swoimi silniejszymi partnerami, ale uwzględniania w większej mierze ich stanowiska oraz interesów przez sprzymierzonych z nimi gigantów. Paryżowi i Pekinowi chodzi o to, aby Waszyngton czy Moskwa przestały uważać za możliwe narzucanie słabszym partnerom swego stanowiska, ale by zrozumiały, że należy politykę z nimi uzgadniać. Z drugiej strony, jest oczywiste, że zarówno Ameryka jak Rosja ujawniają skłonność do utrwalania hegemonii w swoich obozach międzynarodowych także na drodze dialogu ponad głowami partnerów — między sobą.

Hegemonia taka nie wydaje się możliwa do dalszego utrzymania zwłaszcza nad narodami wolnymi i upieranie się przy niej ze strony Stanów Zjednoczonych będzie zagrażało potrzebnej dalej jedności tychże narodów wobec bloku komunistycznego. Nie wolno też zbyt szybko a przedwcześnie przyjmować, że jest już rozłam w komunizmie a oś Moskwa—Pekin należą do przeszłości.

POCZĄTEK ROKOWAŃ FRANCJI Z PARTNERAMI

Wbrew alarmom antygaullistowskiej prasy, francuskiej czy innej, nota Paryża z 10 marca, zawierająca pierwsze postulaty „adaptacji” Traktatu Przymierza Północno-Atlantyckiego (NATO) do nowego układu stosunków, nie spowodowała żadnego rozłamu ani końca tego przymierza. Stała się punktem wyjścia pożytecznej wymiany poglądów i rokowań między atlantyckimi partnerami, co przecież nie jest żadną nadzwyczajnością w życiu międzynarodowym. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania odpowiedziały na francuskie *aide-memoire* z 10 marca w dniu 25 tegoż miesiąca, a inne państwa udzieliły tymczasem zbiorowej odpowiedzi, przy czym sekretarz generalny Traktatu Półn.-Atlantyckiego, Brosio, nawiązał kontakt w tej sprawie z amerykańskim podsekretarzem stanu do spraw europejskich George Ball'em. Prezydent de Gaulle wyraźnie oświadczył, że intencją jego jest dokonywać reorganizacji przymierza stopniowo i w sposób, uwzględniający wszelkie uzasadnione interesy partnerów, czyli armaty części prasy i niektórych publicystów, jakobyśmy tu mieli do czynienia z „rozbijaniem” Przymierza Atlantyckiego mogą być owiane chyba złą wolą lub niezajomością rzeczy.

Poważni komentatorzy, również angielscy i amerykańscy coraz lepiej zdają sobie sprawę, że de Gaulle naprawdę chce zmienić tylko charakter Przymierza Atlantyckiego, a nie je osłabić czy rozbić. Chodzi mu o to, jak przyznaje nawet niechętny prezydentowi Francji, londyński „The Times” (artykuł „Dlaczego de Gaulle prze do kryzysu” z 16 bm.), by większy nacisk położono odciążając układy dwustronne, niż na integrację dowództwa i sztabów, a nie by przymierze się rozleciało. De Gaulle, jak wiemy, postulaty swoje wysuwał od roku 1958, nie otrzymując ze strony amerykańskiej nawet odpowiedzi. To-

też, kiedy obecnie żąda opuszczenia terytorium francuskiego przez obce, głównie amerykańskie, wojska, sztaby i dowództwa, to wolno przyjmować, że w razie zgody Waszyngtonu na poważne rokowania w sprawie reorganizacji NATO, będzie mogło dojść w tym zakresie do wzajemnych koncesji i zgodnego współdziałania, byle na nowych podstawach respektowania francuskich interesów i rozsądnych propozycji.

W tymże artykule czołowego dziennika Londynu, pióra Dawida Thomson'a z Cambridge, znajdujemy konkluzję odpowiadającą na pytanie, jak powinni partnerzy Francji w Przymierzu Atlantyckim zareagować na żądania Paryża. Zdaniem autora, opowiedzią winna być „gotowość do znalezienia w argumentach Generała elementów rozsądnych ze świadomością, że ani on sam, ani naród francuski nie chce rozbitcia czy też izolacji, chociaż gaullizm, jako dziecko narodowego kryzysu tego ćwierćwiecza rozwija się w atmosferze wiszącego niebezpieczeństwa”. Cokolwiek byśmy powiedzieli o atmosferze „gaullizmu” ze swojej strony, wniosek brytyjskiego rzeczoznawcy jest przykładem dobrej woli i politycznej rozważliwości, bardzo potrzebnej podczas kryzysu w Atlantyckim Przymierzu — dla jego przezwyciężenia.

WYBORY BRYTYJSKIE

W przeddzień wyborów cała niemal prasa brytyjska, chociaż — jak wiadomo — przeważnie konserwatywna, przewiduje zwycięstwo w parlamentarnych wyborach dnia 31 marca socjalistycznego rządu Harolda Wilsona. I mimo, że przywódca konserwatywnej opozycji Edward Heath wyraża silną wiarę w niespodziankę, jaką wyborcy sprawią gazetom i Gallupom, jest wątpliwe, czy nawet on sam ma to przekonanie.

Różnice przewidywań dotyczą jedynie rozmiarów tego zwycięstwa Partii Pracy. W dniu rozwiązania parlamentu z początkiem marca statystyki, biur badających opinię, ustalały prowadzenie socjalistów na 12 proc., co dawałoby im większość w przyszłej Izbie Gmin powyżej 150 mandatów w miejsce obecnych — trzech. Od tego czasu jednak szanse konserwatystów zwolna, wzrastały i tuż przed dniem wyborów oceniane są na 8 proc., co jeszcze dalej zapewniałoby Wilsonowi około 120 mandatów. Optymistyczni zwolennicy torysów, jak

wyciąg rozkładu albo zwartości

B.D.I.C

brzmi tradycyjna nazwa partii konserwatywnej, nie zgadzają się jednak ze statystykami i wróżą najwyżej kilkadziesiąt miejsc przyszłej większości rządu. Mają nadzieję, że ostatecznie wyborca brytyjski przestraszy się zbyt wielkiej swobody ruchów, więc i zapędów etatystycznych gabinetu Partii Pracy.

Niektórzy też twierdzą, jakoby zbyt dużej większości obawiał się też dla siebie, z zupełnie innych powodów, sam Wilson. Groziłoby to jakoby wzrostem wpływu partyjnej lewicy, która przeciwstawia się umiarkowanemu kursowi wewnętrznemu premiera oraz jeszcze gwałtowniej związaniu się w polityce międzynarodowej, zwłaszcza na terenie Wietnamu i całej pld.-wschodniej Azji ze Stanami Zjednoczonymi. Otóż, rozporządzająca zbyt dużą większością w Izbie, partia Wilsona może się okazać trudniejsza do trzymania w korbach, lekceważąca wewnętrzną jedność i skłonniejsza do rozłamu, niż w razie większości mniej znaczej.

Ze stanowiska międzynarodowego wydaje się mało istotne, która z partii brytyjskich dojdzie do władzy. Konserwatyści krytykują teraz politykę zagraniczną Wilsona, ale jest wątpliwe by — objąwszy rządy, co jest zresztą wątpliwe — wzięli jakiś zasadniczo odmienny kurs. Podobnie zresztą linia międzynarodowa rządu socjalistycznego nie ukazała się w istocie różna od poprzedniej, konserwatywnej gabinetów Macmillana czy następnie Alec Home'a.

Heath atakuje wstrzeźliwość Wilsona wobec Wspólnego Rynku i zapowiada stanowczo wstąpienie tam Wielkiej Brytanii w razie zwycięstwa swojej partii, ale konserwatyści w opozycji byli zawsze o wiele bardziej „europejscy“, niż po objęciu rządów. Także krytyka zbyt uległości wobec Stanów Zjednoczonych nie wygląda w ustach torysów zbyt przekonywująco. Przecież to Churchill był głównym twórcą „specjalnego“ przymierza obu „po angielsku mówiących narodów“, a następcy jego, Eden, Macmillan i Home, pilnie dbali o zachowanie tego, filo-amerykańskiego dziedzictwa. Wilson jest więc w tym zakresie tylko kontynuatorem w trochę odmiennych warunkach polityki konserwatywnej.

ZWYCIĘSTWO SOCJALISTÓW W FINLANDII

W marcowych wyborach do palamentu Finlandii największą liczbę mandatów (56 na 200) zdobyli tamtejsi socjaldemokraci, podwyższając zarazem swój stan posiadania o 18. Nastąpiło to kosztem niemal wszystkich, licznych stronnictw z wyjątkiem jedynie socjalistycznej lewicy, która z 2 mandatów podskoczyła na 7. Najsilniejsza przedtem partia centrowa agrariuszy z 53 spadła na 49, komuniści — z 47 na 42, konserwatyści — z 32 na 25, szwedzcy liberałowie — z 14 na 12, oraz liberałowie fińscy — z 14 na 8. Zdobyli jeden mandat niesocjalistyczni chłopcy.

Polityczną konsekwencją tego wyniku będzie zapewne wejście socjalistów po ośmiu latach opozycji do rządu, który — jak zwykle w Finlandii — będzie koalicyjny. Dotychczas rządzący agrariusze zapowiadają, że po wielu latach sprawowania władzy chcą znaleźć się

w opozycji, z czego by wynikało, że może dojść do jakiejś koalicji lewicowej, ewentualnie z komunistami, którzy od roku 1948 — jako agentura Moskwy — byli trzymani poza rządem.

Taki obrót sprawy byłby o tyle paradoksalny, że socjaliści uważani byli dotychczas za stronnictwo najbardziej prozachodnie i z tego powodu najgwałtowniej zwalczali ich komuniści. Strawniejsi byli dla komunizmu neutralistyczni agrariusze, tolerowani również oficjalnie przez Moskwę. Czy więc ostatecznie zwycięstwo socjalistyczne jest klęską wpływów sowieckich i wzrostem prozachodnich? Sprawa nie przedstawia się tak prosto, ponieważ od kilku miesięcy prasa moskiewska — w ramach ogólnej taktyki popierania w krajach demokratycznych „obozu wielkiej lewicy“, w praktyce nowego „frontu ludowego“ — zaczęła propagować współdziałanie komunistów z socjalistami także w Finlandii.

Miejmy nadzieję, że jednak do tego nie dojdzie. Ponieważ współdziałanie socjalistów z konserwatystami czy liberałami, jako z prawicą, jest trudne do pomyślenia, blok ich z partią centrową agrariuszy wygląda na wyjście najlepsze. Niestety, jak dotąd, agrariusze zarzekają się, że odpowiada im teraz bardziej opozycja.

SUKARNO—SUHARTO CZY NASUTION?

Zdawałoby się, że — rozpoczęta 30 września 1965 zamachem pałacowym — indonezyjska rozgrywka o władzę została już ostatecznie rozstrzygnięta na rzecz antykomunistycznych żywiołów, reprezentowanych głównie przez armię. Póki jednak Sukarno, wprowadzając pod ochroną wojska i przenosząc się tylko helikopterami z jednego do drugiego pałacu prezydenckiego, z których każdy strzeżony jest przez uzbrojone oddziały, ale jest prezydentem, sytuacja nie wygląda na zupełnie wyjaśnioną.

Wydaje się, jakby objąwszy pełną władzę zastępczą „imieniem prezydenta“ gen. Suharto, nie czuł się jeszcze pewny w tym siodle. Popularność Sukarny w masach, jego partia „Nationalis Indonesia“, licząca jakoby cztery miliony członków; komuniści, których pozbawiono żywiołów kierowniczych, ale których ilość wynosiła trzy miliony i stanowią jeszcze ważny element wśród ludności, wreszcie niechęć do gen. Suharty ze strony części wojska, jak rzekomo młodsi pułkownicy ze spadochroniarzem Sarvo Edhie na czele, to wszystko nie pozwala jeszcze antykomunistom powiedzieć ostatniego słowa, którym byłoby obalenie Sukarny.

Chwiejność sytuacji indonezyjskiej

nie przestała się zresztą objawiać do ostatnich tygodni. Jeszcze 21 lutego, po kilku miesiącach walki wojska z komunistami i opanowaniu niemal całkowitym przez nie położenia, przynajmniej w Dżakarcie, Sukarno pozwolił sobie na zdymisjonowanie głowy antykomunizmu i najwybitniejszego generała Indonezji, ministra obrony Nasutiona, pozostawiając natomiast w rządzie prokomunistycznego ministra spraw zagranicznych, dr. Subandrio. Odpowiedzią na to było objęcie władzy przez gen. Suharto i następnie aresztowanie tegoż dr. Subandrio i 14 innych ministrów gabinetu Sukarny, ale tego ostatniego antykomunistyczni generałowie wciąż nie usuwają.

Dobrze poinformowani korespondenci zachodni są zdania, że póki Sukarno zajmuje choćby formalnie, stanowisko prezydenta, a generał Nasution — rzeczywisty przywódca indonezyjskiego antykomunizmu — nie wysuwa się na czoło i nie obejmuje kierowniczego stanowiska, kilkumiesięcznej walki o władzę w Indonezji nie można uważać za ukończoną. W ostatniej chwili prasa podaje, że Nasution objął ważne stanowisko dowódcze w wojsku liniowym, ale to nie jest objęcie rządu.

Wojna, 1942 rok. Na tajnym, specjalnie strzeżonym lotnisku amerykańskim ląduje samolot z Londynu. Jeden, jedyny pasażer. Nie byle kto — profesor Niels Bohr, fizyk, lauret nagrody Nobla, jeden z twórców teorii nuklearnej. Właśnie udało się go wykraść z okupowanej Danii. W aucie, które na niego czekało, wita go gen. Groves, szef „projektu Manhattan“, wykorzystania energii atomowej dla celów wojennych.

— Według naszych informacji — mówi Bohr — uczeni niemieccy bliscy są znalezienia formuły bomby atomowej, a Hitler dał rozkaz przyspieszenia wszystkich prac.

— Za wszelką ceną musimy ich wyprzedzić — odpowiada generał Groves. — Niech pan skrzyżuje palce, albo postuka w niemalowane drzewo, generale! — szybko zawołał Bohr. — Jakto, wybuchnął śmiechem Groves — pan to mówi? Czyżby pan był przesądny, profesorze?...

— Generale! Wiedza, praca, skoncentrowany wysiłek — to jedna strona naszej szansy, druga — to element szczęścia, albo pecha.

Od czasów, kiedy ludzkość wynalazła ogień, narzędzie i broń, niewiele się w tej dziedzinie zmieniło. Przy wszystkich komputerach, mózgach elektronowych, raketach na księżyc i Wenus, zawsze pozostaje jakaś gra w celno i licho, jakiś procent „nieznanego“. I to „nieznane“ człowiek chce zażegnać, ugłaskać, zapewnić sobie jego przychylność jakimiś formułami, gestami, amuletami...

Czy jest ktoś naprawdę i absolutnie wolny od przesądów? Ktoś, kto nigdy w złej chwili nie wymówił jakiejś magicznej, gdzieś z dzieciństwa zabłąkanej formuły? Kto nie skrzyżował palców idąc na trudną rozmowę? Kto nie postukał w drzewo, chwalać się sukcesem? Ktoś, kto nie przechowuje

ALINA CYBULSKA

SKRZYŻUJ PALCE!

jakiegoś drobiazgu bez znaczenia, jakiegoś kochanego listu, kamyka, starego zeszcłego kasztana-świadka dawnego szczęścia — wierząc, że póki istnieje ten przedmiot, nic jeszcze nie jest stracone?

Porte-bonheur, porte-malheur... można by tomy pisać o przesądach, dziwactwach, rytach, tajemniczych gestach, które mają uchronić od nieszczęścia, albo zapewnić przychylny los. W Madrycie, w noc Sylwestrową — na Puerta del Sol, czeka się na bicie zegara o północy — z każdym uderzeniem zryza się jedno ziarnko winogrona. U nas w domu wrzucało się srebrny pieniążek do szklaneczki z szampanem, trzymając przez wszystkie dwanaście uderzeń zegara czyjąś kochaną rękę... ale jakoś zagubił się ten zwyczaj, a może pogubili się ludzie kochani...

Pieniądze... i one mają swoje tajemnicze. Mój mąż nigdy nie wypisze żadnego czeku w poniedziałek, albo w pierwszy dzień miesiąca (ale o ile wiem przyjmowanie jakiegokolwiek wpłaty w takie dni nie robi mu żadnej różnicy). Obydwoje dzwonimy portmonetką każdemu księżycowi na nowiu. I to przez prawe ramię. Niestety, jak dotychczas, księżyc odnosi się do tego zupełnie obojętnie. Banknot funtowy, z jedynych moich dwudziestu wygranych na „poolu“, mianowany „szczęśliwym“, dotychczas leży w kasetce ze świecidłami — też zresztą zawiódł moje zaufanie!

Ba, ale to my, ludzie najzwyklejsi — którzy w każdym momencie dnia starają się wygrać celno, żeby ich licho nie wzięło. Ale ileż takich prze-

dziwnych rytuałów przekazują nam historie Wielkich! Balzac pisał zawsze w białym habicie-szlafroku. Napoleon nie rozstawał się z amulecikiem, serduszkim z czarnej satyny, który nosił na jedwabnym sznurku. Przesądny był zresztą, jak prawdziwy Korsykańin, z każdego n'ecodziennego zdarzenia wyciągając prorocze wnioski. Nawet nieszczęsna decyzja oddania się po Waterloo w ręce Anglików, zamiast wyboru fregaty „La Saale“ mającej zawieźć go do Ameryki — spowodowana była „proroczym“ lotem wyszczonego przez okno ptaszka, który poleciał w stronę angielskiego „Bellephona“. Podświadomie zresztą wierzył, że jego amuletem-fetyszem była Józefina, i że z momentem rozwodu zaczęła gasnąć jego gwiazda. Wierzyła w to zresztą połowa Wielkiej Armii. Jacqueline Auriol, synowa prezydenta Francji, najlepsza (i pewno jedyna) kobieta-pilot, oblatywacz nowych pierwowzorów, raz tylko poleciała na próbną lot bez swego szalika maskoty. Katastrofa, kilka miesięcy w gipsie i kilkanaście plastycznych operacji.

Kto zresztą o tym pamięta, że niemądre i pozornie bez sensu formułki są resztką starych wierzeń, prawdopodobnie starszych niż nasza cywilizacja. Przejście pod opartą o mur drabiną przynosi nieszczęście — ani mur, ani drabina nie ma z tym nie wspólnego. Ale trójkąt to znak sakralny, którego przerwanie byłoby zniewagą dla tajemniczych sił. Sól rozsypana mogła „sparzyć“ skrzata i wywołać jego zemstę. Stuknięcie w drzewo, po zbyt optymistycznym słowie — to wspomnienie starej religii Persów i przywołanie na pomoc Geniusza Ognia i Geniusza Życia, który żyje w drzewie.

Etnolog Klaudia Levi-Strauss pisze, że w każdym z nas, mniej lub więcej świadomie żyje ten sam, nie zmieniony człowiek prymitywny. Że irracjonalne przesady i wierzenia to integralna część naszej natury. Nazywa ją ona „pensée sauvage“ — „myśl pierwotna“. Carl Jung, jeden ze sławniejszych psychologów naszego wieku, twierdzi, że przesąd zawsze istniał tam, gdzie istnieje niewiadome. I myślę, że jeżeli nawet ludzkość skolonizuje inne planety czy układy słoneczne, przewierci ziemię do jądra, zmierzy energię dalekich galaktyk — dzień jutrzejszy, następna godzina, najbliższy człowiek — zawsze będzie niewiadomą.

ŻYCZENIA WESOŁEGO ALLELUJA

s k ł a d a

wszystkim Znajomym i Klientom

JAN BAK

POLSKA AGENCJA

Kupna — Sprzedaży

NIERUCHOMOŚCI

234, Blythe Road, London, W. 14.

Tel.: SHE 9866 i SHE 5934

Z ŻYCIA POLSKIEGO W ŚWIECIE

SWIATOWY ZJAZD SPK

Przygotowania do VIII Światowego Zjazdu SPK, zwołanego do Londynu w okresie od 20 do 23 maja, weszły w fazę końcową. Komitet zjazdowy opracował już projekty wniosków, które będą przedłożone Zjazdowi do uchwalenia. W ciągu kwietnia ukaże się sprawozdanie obejmujące okres trzyletniej działalności całego Stowarzyszenia.

Zjazd będzie okazją do spotkania przedstawicieli naszego Stowarzyszenia z szeregu krajów. Zapowiedzieli już przyjazd delegaci z Argentyny, Kanady, Stanów Zjednoczonych, Australii, Afryki Południowej, Austrii, Belgii, Holandii, Francji, Hiszpanii, Włoch, Szwecji, Niemiec i Norwegii.

Przed i po Zjeździe odbędą się zebrania Rady Głównej SPK, do której prerogatyw należy m.in. udział w centralnych uroczystościach millennialnych w Londynie na stadionie White City.

ZEBRANIE

AMERYKAŃSKIEJ FEDERACJI SPK

W dniach 12 i 13 lutego br. odbyło się w Nowym Yorku zebranie Amerykańskiej Federacji SPK. W obradach wzięli udział z ramienia SPK w Kanadzie: prezes M. Sadowski, kol. T. Barankiewicz, A. Sas-Korczyński, A. Żurowski oraz T. Krychowski. Ze Stanów Zjednoczonych: prezes S. Gierat, kol. J. Krzyżanowski, B. Rodowicz, W. Cieśla, K. Bendyk, W. Pilecki, S. Kruk, O. Jaskold, S. Jordanowski, E. Kleszczyński oraz T. Siuta.

Tematyka zebrania obejmowała sprawy związane z działalnością społeczną obu ogniw Stowarzyszenia — amerykańskiego i kanadyjskiego, ustalenie wytycznych pracy na najbliższą przyszłość oraz wymianę poglądów w związku ze zbliżającym się Zjazdem Światowym SPK.

OBRA D Y SPK WE WŁOSZECH

6 marca obradował w Rzymie zjazd krajowego SPK pod przewodnictwem przedstawiciela władz głównych kol. S. Soboniewskiego. Zjazd rozpoczął się uroczystym nabożeństwem odprawionym przez ks. Biskupa Rubina w kościele św. Stanisława Kostki w obecności ambasadora Kazimierza Papée i 40 delegatów reprezentujących 200 członków

SPK we Włoszech. Po mszy i kazaniu ks. Biskup Rubin przyjął na audiencji uczestników zjazdu.

Obrady toczyły się w odnowionej sali przy kościele św. Stanisława Kostki. Prezesem nowego Zarządu wybrano kol. Witolda Zahorskiego. Zjazd m.in. powołał komisję do opracowania nowego statutu SPK we Włoszech.

Z ramienia Zarządu Federacji uczestniczył w zjeździe również sekretarz generalny Stanisław Lis.

15 LAT

KIERMASZU KSIĄŻKI POLSKIEJ

Ktoś kiedyś zauważył, że najkrócej trwają rzeczy wieczne, mając zapewne na myśli wieczne pióra, wieczną ondulację itp. Równie wieloma przykładami możnaby poprzeć twierdzenie, że najdłużej trwają rzeczy tymczasowe. W każdym razie silnym argumentem na obronę takiego twierdzenia jest instytucja KIERMASZU KSIĄŻKI POLSKIEJ w Szwajcarii.

Nazwa „kiermasz“ implikuje coś bardzo doczasowego, co najwyżej kilkudniowego. A tymczasem... lat temu 15 z jednorazowego zamierzenia państwa Halszki i Kazimierza Vincenzów zrodziła się placówka kulturalna, która dzięki ich uporowi i poświęceniu przetrwała po dzień dzisiejszy. Zamiar pp. Vincenzów był szczytny, a zarazem prosty: postanowili skrócić dystans między książką a czytelnikiem na odległość sięgnięcia ręką. Wiadomo bowiem, że rodacy nasi wzruszają się kulturalnie od święta, na akademii trzeciomałowej, na codzien natomiast ich stosunek do książki jest znacznie chłodniejszy. Skoro więc czytelnicy nie kwapią się do książki, to ona nieboraczka, za sprawą wyżej wspomnianych ambasadorów słowa polskiego wędruje do nich,

do Zurychu, Genewy, Solury, Rapperswilu, Berna, Winterthuru i Grenchen, pojawia się na uroczystościach, imprezach; księgarnia na kółkach, w całym tego słowa znaczeniu, placówka zasłużona, bo w końcowym rachunku osiąga to, że ten i ów języka własnego z kretelem nie zapomni, nie rozplynie się doszczętnie w obcym otoczeniu.

W ten sposób Kiermasz w ostatnim dwuleciu znalazł nabywców dla 1516 tomów, ma 180 stałych odbiorców i około 250 przygodnych. Nie jest to dużo, ale pomyślny, jak wstydliva byłaby statystyka, gdyby nie zapal Kiermaszowców, bezinteresowny, niestrudzony... chciałoby się użyć jeszcze kilku przymiotników nabrzmiałych ciepłem i serdecznością. W owej puli kiermaszowej znajduje się, obok pp. Vincenzów, także p. Marian Respond i — ostatnio zgłosiła chęć współpracy dr Astrid Meissner.

Wtykanie książek do rąk ludzkich nie wyczerpuje działalności Kiermaszu. Organizuje on ponadto odczyty i występy autorskie, współdziała w przyznawaniu nagród literackich i stypendiów.

Kiermasz należy do SPK, ale jak słusznie zauważono, powinien być dumą wszystkich Polaków, nawet tych co żyją zdala od ojczyzny Wilhelma Tella. Życzyć mu należy, aby jeszcze co najmniej przez połowę następnego millenium za jego sprawą księgi „błądziły pod strzechy“.

A. Cz.

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ**



BIURO PODRÓŻY



ANGLOPOL TRAVEL

tuż przy stacji SOUTH KENSINGTON
(róg Exhibition Road — na szlaku Daquise—Ognisko)

**38, THURLOE PLACE
LONDON, S.W.7 — Tel.: KENSington 3223**

WSZELKIE BILETY, SPROWADZANIE KREWNYCH, WIZY, KUPONY
BENZYNOWE, BONY HOTELOWE, WAKACJE, PRZEKAZY PIENIĘŻNE.

PRZEJAZDY SAMOCHODEM NA KONTYNET.

PLANOWANA na czerwiec ub. roku, konferencja państw afro-azjatyckich w Algerze, pomysłana była jako drugi Bandung. Konferencja, jak wiadomo, nie doszła do skutku, ponieważ, prawie z jej terminem, zbiegło się usunięcie prezydenta Ben Belli i objęcie władzy przez płk. Boumedienn. Wprawdzie nowy dyktator, w zasadzie nie sprzeciwiał się odbyciu konferencji, jednak delegaci poszczególnych państw doszli na konferencjach wstępnych do wniosku, że w tych warunkach odbycie nowego Bandungu nie jest wskazane. Ostatecznie postanowiono odroczyć konferencję na czas nieokreślony.

PIERWSZY BANDUNG

Pierwsza konferencja afro-azjatycka, w której wzięli udział delegaci 29 państw obu kontynentów, odbyła się — w małym miasteczku Bandung, na wyspie Jawie, w czasie od 19 do 24 kwietnia 1955 r. Sowiety w konferencji udziału nie wzięły, a jak wynika z wstępnych przygotowań, nie starały się nawet, by ich do niej dopuszczono. Jednak ubocznymi drogami Sowiety starały się, by w konferencji mogli wziąć udział delegaci ich republik azjatyckich, czemu jednak sprzeciwił się Nehru. Poparł on jednak wbrew opozycji Pakistanu i Ceylonu udział komunistycznych Chin.

W tej sytuacji, Sowieciom zależało na nadaniu konferencji pewnego korzystnego dla nich kierunku. W tym celu zwołali oni do New Delhi osobną konferencję „Krajów azjatyckich dla złagodzenia napięcia w stosunkach międzynarodowych“. Konferencja, która odbyła się od 6 do 2 kwietnia, a zatem dwa tygodnie przed Bandungiem, przy udziale 200 delegatów z 14 krajów azjatyckich, nie zdołała jednak umocnić stanowiska Sowieciów. M. in. delegaci Iraku, Persji, Filipin i Ceylonu nie zawahali się nawet nazwać wtedy Rosję sowiecką potęgą neokolonialną.

Na konferencji w Bandungu podkreślono przede wszystkim konieczność solidarności krajów afro-azjatyckich i stworzenia przeciwwagi dla technicznie i militarnie silniejszego zachodu. Ale dla stworzenia tej przeciwwagi potrzebna była tym państwom pomoc, a tym też tłuma-

WŁADYSŁAW OPOLSKI

„SOLIDARNOŚĆ“ AFRO-AZJATYCKA:

czy się podróż Chruszczowa i Bułganina w jesieni 1955 r. do Indii, Burmy i Afganistanu, by ubiec Chiny, które w tym czasie mogły zaoferować tylko model rewolucji, opracowany przez Mao-tse-tunga.

KONFERENCJE AFRO-AZJATYCKIEJ SOLIDARNOŚCI

Konferencja, zwołana przez Sowiety do New Delhi, nie przyniosła im wprawdzie żadnych korzyści, niemniej jednak zapoczątkowała nową organizację pod nazwą „Konferencje solidarności narodów Afryki i Azji“, które Sowiety postanowiły używać dla utrwalenia swych wpływów na tych kontynentach.

Pierwsza taka konferencja odbyła się od 26 grudnia do 1 stycznia 1958 w Kairze. Ale i wtedy Sowiety miały trudności, by w niej uczestniczyć, a to z powodu sprzeciwu Pakistanu, a brały w niej udział tylko dzięki poparciu Chin.

Jednak już na drugiej konferencji solidarności, jaka odbyła się od 11 do 15 kwietnia 1960 r. w Conakry, w byłej francuskiej Gwinei, doszło już do pierwszych starć między Sowieciami a Chinami, kiedy Chiny zarzuciły Sowieciom popieranie nacjonalistycznych reżimów Nassera i Nehru, które ich zdaniem, opóźniają rewolucję. Tu należy przypomnieć, że od 1958 r. datuje się „zimna wojna sowiecko-chińska.“

Na trzeciej konferencji solidarności, która odbyła się w lutym 1963 r. w Moshi w Tanganice (obecnie Tanzanii), kierownik delegacji chińskiej nie zawahał się wyrazić takiej oto opinii: „narody Europy wschodniej nie mają prawa mieszania się do spraw Azji i Afryki. Dziwimy się, że to w ogóle przyjechali. Ich obecność narodziła Azji i Afryki uważają za obrazę. Jakikolwiek byłyby wasze zamiary, pamiętajcie, my będziemy przeciw wam.“

O tym incydencie wspomniał Susłow w swoim przemówieniu w dniu 14 lutego 1964 r., zaś periodyk „Kommunist“ w numerze październikowym 1963 ujawnił, że w Moshi, Chińczycy przeszli wyraźnie ze stanowiska klasowego do rasizmu. Oświad-

czyli bowiem wyraźnie, że Sowiety to przecież ludzie białej rasy, z którymi nie można uzgodnić walki z imperializmem.

PLAN ZWOŁANIA DRUGIEGO BANDUNGU

W związku ze zbliżaniem się 10-lecia Bandungu, powstała wśród państw afro-azjatyckich myśl zwołania drugiego Bandungu. Plan omówiono już na wstępnej konferencji w Jakarcie, w kwietniu 1964 r., ale i tam, delegaci nie mogli się pogodzić, czy dopuścić do drugiego Bandungu również i Sowiety. Chińczycy zaproszeniu Sowieciów stanowczo się sprzeciwili, argumentując, że Sowiety nie są ani krajem afrykańskim ani azjatyckim. Sowiety ze swej strony usiłowały przekonać delegatów, że Rosja jest największym krajem i w Europie i w Azji, gdzie 40 procent terytorium należy do związku sowieckiego. Jak w takim wypadku mogą Chiny wytłumaczyć granice z Sowieciami, długości 7 tysięcy kilometrów.

Na taką argumentację, Chiny w dniu 30 maja 1964 r. odpowiedziały że jeśli istotnie tak jest, to dlaczego Sowiety nie przeniosą swojej stolicy z Moskwy do Władywostoku?

Od 22 do 27 kwietnia 1964 r. obradowała w Algerze rada organizacji solidarności narodów Afryki i Azji, na której, według relacji delegatów sowieckich, Chińczycy zachowali się jak huliganie, z wyraźnym celem usunięcia Sowieciów z tej organizacji. Po powrocie do Moskwy, delegat sowiecki Gawurow wyraził żal pod adresem Francji, która nawiązała stosunki dyplomatyczne z Chinami nie zdając sobie sprawy z chińskiej ofensywy przeciwko białej rasie.

W maju 1965 r. odbyła się w Winneba, w Ghanie czwarta konferencja narodów afro-azjatyckich, na której w obecności 40 delegatów doszło do istniejącej karczemnej awantury. Chińczycy oświadczyli wtedy wyraźnie, iż w konferencji drugiego Bandungu udziału nie wezmą, jeśli zebranie zdecyduje zaprosić na nią Sowiety.

OD BANDUNGU DO... HAWANY

W dniu 29 czerwca 1965 r. miała odbyć się w Algierze konferencja afro-azjatyckich głów państwa i kierowników ich rządów, na której, m.i. miała zapisać decyzja, czy na konferencje drugiego Bandungu zaprosić Sowiety. Sowiety o to wyraźnie już nie prosiły ani też nie podkreślały swego prawa z tytułu swych posiadłości w Azji: podkreślały jednak silnie pomoc, jaką udzieliły krajom nierozwiniętym.

Usunięcie Ben Belli postawiło delegatów konferencji wstępnej w trudnej sytuacji. Ostatecznie postanowili zwołać drugi Bandung na dzień 5 listopada. Ale w dniu 26 października Chiny raz jeszcze oświadczyły, że nie wezmą udziału ani w konferencji ministrów spraw zagranicznych, którzy mieli przygotować program konferencji ani też w konferencji drugiego Bandungu.

W dniu 2 listopada uchwalono na konferencji wstępnej odroczenie drugiego Bandungu na czas nieokreślony.

KONFERENCJA TRÓJKONTYNTENTALNA W HAWANIE.

Nowa sytuacja — Fakty — Cel konferencji.

Już na konferencji w Bandungu w 1955 r. powstała myśl rozszerzenia organizacji afro-azjatyckich również i na Amerykę łacińską. Sponsorami tego planu były Sowiety i Chiny, a chociaż obie strony wtedy jeszcze udawały, że żyją w zgodzie, celem obu było umocnienie swych wpływów w Ameryce południowej, usunięcie tam po kolei rządów proamerykańskich, a w ten sposób okrażenie Stanów Zjednoczonych od południa i zakończenie wielkiego procesu skomunizowania świata.

Jednak już na tzw. konferencjach solidarności, zaproszeni w charakterze obserwatorów, delegaci Ameryki łacińskiej byli świadkami ordynarnych wystąpień delegacji sowieckiej i chińskiej, co w poważnym stopniu obniżyło prestiż obu skłóconych potęg komunistycznych. A zasadniczo większość z nich nie mogła zrozumieć co właściwie ma łączyć

Amerykę łacińską z Afryką i Azją. Przewidywali, że drugi Bandung w Algierze może przeobrazić się w jedną jeszcze awanturę sowiecko-chińską.

Z drugiej strony, w okresie 10 lat od Bandungu zaszły na tych kontynentach poważne przemiany, których ani Sowiety ani Chiny, w swych dążeniach utrwalenia wpływów, widocznie nie rozumiały. Tu na uwagę zasługują głównie dwie okoliczności:

W okresie tych 10 lat, większość narodów, które jeszcze w Bandungu domagały się uwolnienia spod rządów kolonialnych, a którym i Sowiety i Chiny służyły wzorami rewolucji, tę niezależność uzyskały bez rewolucji, a dobrej woli państw kolonialnych.

W okresie ubiegłych 10 lat zaczęło również zanikać określenie „kraje nierozwinięte“. Wprawdzie używają go jeszcze państwa białej rasy, gdy w różnych formach udzielają „nierozwiniętym“ pomocy, za to przedstawiciele większości państw afro-azjatyckich przestali się uważać za „nierozwiniętych“. Sfery rządzące, które zajęły pałace i wille po kolonizatorach, a dzisiaj podróżują w najnowszych modelach Rolls-Royców i Mercedesów, nie mogą myśleć o jakiejś rewolucji, sugerowanej przez Czou-en-lai, bo byłoby to równoznaczne z podcięciem drzewa, na którym sami siedzą. Nie chcą również słyszeć o rewolucji liczni delegaci tych państw, zajmujący wygodne stanowiska w ONZ, w Genewie, czy jako dyplomaci w krajach zachodnich. Kraje ich co prawda, długo jeszcze będą nierozwinięte, za to oni usiłują udowodnić, że stosunki polityczne w ich krajach są ustabilizowane. Wprawdzie w stosunkowo niedługim czasie, w sześciu dokonały się przewroty, głównie przez objęcie władzy przez armię, ale prawie w każdym wypadku, wojskowi uzasadniali przewrót koniecznością walki z korupcją, która, w krajach nierozwiniętych przybrała rozmiary epidemii.

Drugim wydarzeniem było pojawienie się na widowni dyktatora

Kuby, Fidela Castro, który do tej pory utrzymał się na stanowisku dzięki wydatnej pomocy materialnej Sowietów i ich satelitów. Jednak fakt, że wprowadził on Kubę w orbitę krajów komunistycznych, nie zmienił w niczym jego ambicji odegrania roli wodza całej południowej Ameryki. W rozgrywce dwóch skłóconych partnerów, Castro stanął po stronie Sowietów, a reakcja Chin, która wyraziła się znacznym zmniejszeniem zakupu cukru i wstrzymaniem dostawy ryżu, jeszcze jego stanowisko wzmocniła.

W takiej to atmosferze odbyła się w dniach 3 do 15 stycznia 1966 r. w Hawanie, konferencja trójkontynentalna, w której wzięło udział przeszło 500 delegatów z 85 państw trzech kontynentów, oraz delegaci różnych grup dywersyjnych, partyzantów, walczących o uwolnienie ich krajów spod jarzma białego człowieka.

Wprawdzie przed konferencją, Castro wyraził życzenie, by spór sowiecko-chiński nie stał się przedmiotem dyskusji, co jednak nie przeszkodziło stronom skłóconym, podniesienia, chociaż w łagodniejszej formie wzajemnych urazów. Za to fakt, że konferencja przeciągnęła się o 5 dni, był dowodem taktyki Castro. Całymi dniami obwożono delegatów po Kubie, by im pokazać wyniki gospodarczego rozwoju kraju po 7 latach rządu rewolucyjnego, a zmęczonym delegatom pozwolono mówić jak długo tylko chcieli. A jedni oklaskiwali drugich, aż po 15 dniach Castro wystąpił ze swoim wnioskiem, ujętym w rezolucji. Postanowiono wzmocnić dotychczasową organizację solidarności narodów afro-azjatyckich, przystąpieniem Ameryki łacińskiej, ale jednocześnie stworzono organizację odrębną, obejmującą wyłącznie kraje Ameryki południowej, z własnym, stałym sekretariatem, z siedzibą w Hawanie i kierowaną przez Castro, który w ten sposób podkreślił swoją niezależność w sprawach dotyczących polityki rewolucyjnej na zachodniej półkuli.

Jednak konferencja w Hawanie nie może być uważana za drugi Bandung. Pozbawiona była nastrojów i mitów konferencji na Jawie. Delegaci nie okazali już tego ducha rewolucyjnego, jaki panował wśród nich w 1955 r. Zato umocnił swój

CIEŃ KARAWELOWA

Przez całe dwudziestolecie rządy komunistów bułgarskich odznaczały się skrajną uległością wobec Moskwy. Nie miał z nimi kłopotów ani Stalin, ani Chruszczow. Bułgaria był najpotulniejszym satelitą. Dopiero pod koniec ubiegłego roku „wiatry przemian“ ogarnęły także i Sofię. Co z sobą przyniosły — pozostaje jeszcze pytaniem. Narazie pewne jest tylko jedno: Bułgaria, a ściślej jej partia komunistyczna, rozgląda się za nowymi możliwościami, tak gospodarczymi jak i politycznymi.

ZIWKOW ZMIENIA FRONT

Todor Żiwkow — to najczystszy wódz stalinowiec. Brutalny i bezwzględny satrapa. Na podrzędniejszych stanowiskach partyjnych praktykował jeszcze za Stalina. Ostrogi „wodza ludu“ zdobył za protekcją Chruszczowa przez kolejne zgranie potencjalnych rywali. Cała jego pozycja polityczna, podobnie zresztą jak i wszystkich jego poprzedników, opierała się bez reszty na protekcji sowieckiej. W ręku Chruszczowa był usłużnym narzędziem polityki Moskwy. Tak samo zachowywał się przez pierwszy rok rządów Breżniewa i Kosygina.

Niespodziewanie, bez jakiegokolwiek ostrzegalnego zepsucia stosunków między partią bułgarską a sowiecką, pod koniec ub.r. zaczął zmieniać front. Obserwatorzy polityczni zwrócili uwagę, że w pewnym przynajmniej stopniu usiłuje nadawać polityce bułgarskiej jakiś nowy kurs. Rozgląda się i poszukuje jakichś nowych, mniej ortodoksyjnych metod rządzenia. Kurs nowej polityki nie jest jeszcze zdecydowany, ale wygląda na to, że na odcinku polityki gospodarczej próbuje się wzorować na programie Czechosłowacji i na doświadczeniach Rumunii. Mniej wyraźnie, ale już widocznie, rozgląda się za nieokreślonymi jeszcze możliwościami własnego, bułgarskiego manewru politycznego, który mógłby przynieść krajowi konkretne korzyści. To przede wszystkim wzbudziło w świecie nieco żywsze zainteresowanie Bułgarią, krajem pięknym, lecz położonym z dala od linii starcia konfliktów międzynarodowych.

Wystąpienie Żiwkowa na Zgromadzeniu Narodowym w Sofii, kiedy to w dniu 8 grudnia zadeklarował zmiany modelu gospodarczego i dał

do zrozumienia, że od tej pory Bułgaria w mniejszym stopniu będzie się oglądała na Moskwę — stało się dla tego kraju datą zwrotną. To nie ulega już wątpliwości, chociaż niepodobna jeszcze przewidzieć skali zapowiedzianych zmian.

Zanim jednak omówimy istotę nowych tendencji w polityce i gospodarce Bułgarii, dobrze będzie ustalić od czego się te przemiany zaczęły i jakie jest ich źródło. Taka analiza może być również pouczająca i dla innych krajów satelickich Europy Środkowo-Wschodniej, Polski nie wyłączając.

U PODŁOŻA — AMBICJA

Nie trudno jest ustalić, że bezpośredni wpływ na rewizję stosunku do Moskwy odegrały głośne wydarzenia z kwietnia 1965 r. Śmiały, choć nieudany zamach stanu, spowodowany przez elementy nacjonalistyczne w Bułgarskiej Partii Komunistycznej, a poparty przez część garnizonu wojskowego Sofii, ujawnił głębokie niezadowolenie społeczeństwa ze stalinowskich metod rządzenia i całkowitej zależności od Moskwy. Musiało to przerazić nie tylko samego Żiwkova i jego faksję partyjną, lecz w równej mierze ostrzec partię sowiecką. Wprawdzie Żiwkow opanował kwietniową rewoltę, złamał bunt i z przeciwnikami doraźnie się rozprawił, właśnie metodami stalinowskimi, ale jednocześnie, dobrze orientując się w położeniu, uznał że nastrojów, które ten bunt wywołały dłużej lekceważyć mu nie wolno. Ponieważ wpływy nacjonalistycznego skrzydła partii opierały się o nastroje społeczeństwa zdecydowanego niezadowolonego z bezwzględnej zależności od Związku Sowieckiego, aby te nastroje opanować, sam Żiwkow postanowił podchwycić przynajmniej część programu zamachowców.

Ryzyko i poświęcenie uczestników rozgromionego zamachu dały mimo wszystko pożądane dla kraju i narodu owoce. Unaocniły despotę z Sofii, że mniejszym jest ryzykiem częściowe przeciwstawienie się Moskwie niż całkowite przeciwstawienie się własnemu narodowi.

Tu trzeba podkreślić fakt dla Bułgarii charakterystyczny i znamienity. Jest to kraj tradycyjnie prorosyjski z wdzięczności za pomoc w walkach o niepodległość. Gdy Bułgaria zrzuciła w r. 1878 jarzmo niewoli tureckiej, którą cierpiała przez lat pięćset, stało się to za czynnym poparciem Rosji. Jednak wojska rosyjskie, które wówczas Bułgarię wyzwoliły nie narzuciły jej moskiewskiej zwierzchności politycznej. Teraz dopiero, po dwudziestu latach narzuconych przez Sowietów rządów komunistycznych, połączonych z uzależnieniem politycznym i gospodarczym od Moskwy, wyleczyli się Bułgarzy i bułgarscy komuniści z wiary w bezinteresowność uczuć rosyjskich. W ten sposób zaczyna się sprawdzać proroctwo Karawelowa, jednego z ojców niepodległości Bułgarii: „Jeśli Rosjanie przychodzą nas wyzwalać, mogą liczyć na naszą wielką wdzięczność, lecz jeśli chcą nas sobie podporządkować — spotkają się z naszą wielką nienawiścią“.

Najwidoczniej dwadzieścia lat samowoli sowieckiej w Sofii dopełniło tej miary.

DOŚĆ NEOKOLONIALIZMU SPOD ZNAKU KOMEKONU

O buncie Bułgarów przesądziły sprawy gospodarcze. Moskiewska centrala t.zw. Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, lepiej znana pod skrótem KOMEKON, wyznaczyła Bułgarii rolę prowincji rolniczej, uzależnionej od sowieckich dostaw przemysłowych, skoro 80% całej wymiany handlowej tego kraju miało się dokonywać z Sowietami. Wprawdzie Bułgaria tak przed wojną jak i obecnie ma strukturę kraju rolniczego, w dodatku opóźnionego w rozwoju gospodarczym, ale perspektywa utrzymania tego stanu rzeczy na stałe wcale Bułgarom nie odpowiada. Kraj ten ma szanse dość poważnego rozwoju przemysłowego, opartego o własny węgiel, rudy żelazne i naftę. Są też szanse rozwoju przemysłu mechanicznego i chemicznego. Jednostronna wymiana z Sowietami była dla Bułgarii wybitnie niekorzystna. Za produkty, na

ŻYJE W SOFII... B.D.I.C

CZY BUŁGARII UDA SIĘ USAMODZIELNIC?

które jest łatwy zbyt w krajach zachodnich, Bułgaria może otrzymać znacznie lepsze i na korzystniejszych warunkach dostawy przemysłowe z zachodu niż z Sowietów. W dodatku będzie miała wówczas szansę samodzielnego kształtowania kierunków swego rozwoju gospodarczego. Aby jednak zmienić kierunek wymiany handlowej, okazało się konieczne wcześniej rozluźnić zależność od protektorów z Moskwy. Raz jeszcze — tym razem na przykładzie komunistów bułgarskich — okazuje się oczywiste jak to całkowita zależność (nawet od najlepszych przyjaciół i najpewniejszych protektorów) może być dokuczliwa, bodaj jak przyciasne buty. Gdy nie można ich rozdeptać, ani wymienić na inne, bardziej wygodne — trzeba je chociaż rozsznurować. I taką właśnie operację przeprowadza obecnie w Bułgarii komunistyczny reżim Teodora Żiwkowa. Stary stalinowiec, ratuje własną pozycję, idzie na ustępstwa wobec swojego narodu.

Dlatego nowy bułgarski plan gospodarczy na lata 1966-70, wbrew intencjom i wskazaniom KOMEKONU, kładzie dalszy nacisk na uprzemysłowienie kraju. W ciągu najbliższych pięciu lat Bułgaria znacznie powiększy własny potencjał przemysłowy. Zatrudnienie w przemyśle wzrośnie o 300 tysięcy osób, co na ten 7-milionowy kraj, w dodatku o bardzo niskim przyroście naturalnym jest cyfrą bardzo wysoką.

ZERWANIE Z WZORAMI SOWIECKIMI

W realizacji nowego planu gospodarczego, nad którym właśnie toczy się publicznie dyskusja, reżim bułgarski już zapowiedział zdecydowanie odejście od wzorów i praktyk sowieckich (przynajmniej na odcinku gospodarczym). „Przodujący wzór sowiecki“ nakazywał aby uprzemysłowienie odbywało się kosztem rolnictwa i stopy życiowej ludności. Tymczasem Żiwkow zaraz na wstępie dyskusji zdecydował, że

Napisał

Tadeusz Podgóski

dalszy rozwój przemysłu ma być oparty na wzroście wydajności pracy, pobudzonej do tego wzrostem zarobków. Nie jest to rzecz z ekonomicznego punktu widzenia łatwa, ale pozwala na praktyczniejsze rozwiązania. Zapowiedział więc Żiwkow podwyżki płac w zależności od kwalifikacji w wysokości od 8% do 21%. Podniósł także wysokość płac minimalnych do 55 lewów miesięcznie, tak że obecnie znacznie biedniejsza od Polski Bułgaria będzie miała podstawowe płace wyższe niż robotnicy polscy pod rządami Gomułki.

O zasadniczej reformie bułgarskiego systemu gospodarczego najobszerniej wypowiedział się prof. Georgi Petrow z Instytutu Wyższej Ekonomii w Sofii. Teza jego kwestionuje komunistyczną metodę operowania sztywnymi wskaźnikami planu gospodarczego. Podobnie krytykuje przymusowy charakter limitów inwestycyjnych narzucanych przedsiębiorstwom przez plan centralny. Prof. Petrow opowiada się natomiast za planem perspektywicznym, giętkim, regulowanym przez potrzeby rynku. Jest to wyraźne zerwanie z dotychczasową doktryną ekonomiki komunistycznej, która nie zdała praktycznego egzaminu. W konkluzji prof. Petrow określił dotychczasowy system gospodarki komunistycznej jako „przeorganizowany ponad praktyczne zastosowanie“ i dlatego właśnie niewydajny.

W organie partyjnym „Robotniczesko Delo“ poparł Petrowa publicysta partyjny L. Valew i w uzupełnieniu wysunął przekazanie drobnego handlu i usług „przedsiębiorczości prywatnej“ w formie dzierżawy państwowej. Domaga się on również zdecentralizowania zarządzania kolektywizowaną gospodarką rolną. W sumie dyskusja nad reformą gospodarczą, która zostanie zdecydowana w marcu, rozwija się

po linii przystosowania upaństwowionej gospodarki kraju do metod gospodarki rynkowej.

Na jeden jeszcze szczegół tej dyskusji warto zwrócić szczególną uwagę. Dokument zapowiadający reformę wzmiankuje, że „Bułgaria zapyta Związek Sowiecki o pomoc przy budowie siłowni opartej o energię atomową“. To sformułowanie jest charakterystyczne. Należy je rozumieć jako ostrzeżenie, że w razie odmowy Sowietów, Bułgaria poszuka sobie pomocy w krajach zachodnich. I tu stajemy wobec politycznych konsekwencji zmian zachodzących w Bułgarii.

NA CZYM ŻIWKOW OPIERA GRĘ?

Brak jeszcze konkretnych danych, aby o nowej polityce Bułgarii i grze Żiwkowa można było mówić w sposób stanowczy. Są jednak podstawy aby się pokusić o dość konkretne przypuszczenia.

W pierwszym rządzie wydaje się dość prawdopodobne, że w miarę swoistej stabilizacji i okrzepnięcia bułgarskiego reżimu komunistycznego, czołowym jego przywódcą sprzykrzyła się rola bezwolnych marionetek moskiewskich. Chcą w wyraźniejszy sposób zaakcentować swoje znaczenie i pozycję. Najwidoczniej doszli do przekonania, że bezgraniczna uległość i potulność wobec władców Kremla jest im już mniej potrzebna i na dalszą metę nie popłaca. Słaba uległość niewiele już daje w stosunkach z potężnym protektorem, a jest źle widziana i oceniana przez własny naród. I to chyba stanowiło podstawową przyczynę dlaczego Żiwkow zdecydował się obejrzeć za nowymi możliwościami.

Inna hipoteza każe przypuszczać, że manipulacje Żiwkowa oparte są na naśladownictwie Rumunii. Gdy Sowiety i Chiny walczą o wpływy w narodowych partiach komunistycznych, komuniści bułgarscy doszli do wniosku, że w tej sytuacji opłaca się lawirować między Moskwą a Pekinem. W ten sposób partia ich nabiera większego znaczenia jako obiekt przetargowy, a jej przywódcy zdobywają większy zasięg swobody w decyzjach rządu podległym im krajem. Prawdopodobnie komuniści bułgarscy, podobnie jak to ma miejsce z rumuńskimi, chcieliby za

NOWY KSZTAŁT KOMPROMISU

O STATNI kryzys we Włoszech, który nastąpił po upadku drugiego z kolei rządu koalicji centrowo lewicowej pod przewodnictwem premiera Aldo Moro, przeszedł, jeśli chodzi o powagę sytuacji i następstwa, wszystkie poprzednie zmiany gabinetowe. Był to właściwie nie tyle kryzys w łonie koalicji, co podważenie u podwalin samej koncepcji politycznej Centrolewu, montowanej od lat z takim mozołem, a której od początku Chadey nadali nazwę nieco zwodniczą „ogłędnego eksperymentowania“. Polegała ona jak wiemy na włączeniu partii socjalistycznej Nenniego w sferę stronnictw demokratycznych celem ostatecznego ich odciążenia od współdziałania z komunistami, na oczywistą szkodę dla interesów kraju.

Do koalicji Centrolewu wchodzi zatem: chadecja jako stronnictwo względnej większości, socjal demokraci, szczątkowi republikanie ze swymi 5 głosami w izbie deputowanych i bez przedstawicielstwa w Senacie i wreszcie włączeni już od pierwszego gabinetu Moro do współrządzenia socjaliści Nenniego z 62 mandatami poselskimi, co im pozostały po odpadnięciu od nich skrajnej lewicy. Wedle paktu Centrolewu, założeniem koalicji było wyraźne odgraniczenie się od wszystkich innych partii w parlamencie, tj. od tzw. neofaszystów, monarchistów i liberałów po prawicy od Chadecji i od komunistów i tzw. socjal proletariuszów na lewicy. Innymi słowy, ewentualne głosy tych stronnictw nie mogłyby w żadnym razie być czynnikiem decydującym dla utrzymania rządu przy władzy.

Naturalnie partie koalicji uzgodniły między sobą program działania, którego treść z konieczności była raczej wielkim ustępstwem Chadeków wobec wygórowanych żądań, jakie wysuneli socjaliści jako cenę za „zdemokratyzowanie się“. Do dziś jednak mimo tych poświęceń dla osiągnięcia celu, socjaliści jeszcze nie zerwali współpracy z komunistami i w szeregach organów samorządowych ani też w związkach zawodowych, a ich tendencje neutralistyczne w polityce zagranicznej, a szczególnie ich stosunek do zachodniego paktu obronnego i w kwestii Wietnamu sprawiał zawsze duże kłopoty rządowi, który wielokrotnie

podkreślał oficjalnie swą postawę proatlantycką.

I tym razem jak i przy upadku pierwszego rządu Moro rozeszło się o drobną na pozór sprawę z dziedziny szkolnictwa, o ustawę o przedszkolach, ale istotną dla Chadeków, którzy ze względów zasadniczych dziedziny wychowania nie mogą oddać pod wyłączne wpływy laickie. Ale sprawa przedszkoli była tylko okazją do wybuchu kryzysu wewnątrz koalicji, który narastał już od dawna.

Jedną, ale oczywiście nie jedyną z przyczyn rozdzwieków były właśnie sprawy zagraniczne, którym kierował Fanfani. Prestiż, jaki zdobyły sobie Włochy na arenie międzynarodowej i autorytet osobisty Fanfaniego, sprawiły, że został on powołany na przewodniczącego Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Nawiasem wspomniemy, że właśnie w czasie pobytu w Nowym Jorku uległ on wypadkowi i przez pewien czas jego funkcję pełnił wiceprzewodniczący. I właśnie w okresie jego przewodnictwa wysoce cenionego w kołach ONZ zaszły pożałowania godne wypadki, z inicjatywy zresztą jego osobistego przyjaciela, La Piry, b. burmistrza m. Florencji. Już od dawna chadek La Pira zasłynął w świecie z racji swoich nieco groteskowych wg. powszechnej opinii, ale tym niemniej budzących poważne zastrzeżenia, wystąpień pokojowych, nawiązywania dialogów z komunistami świata, kongresów zwoływanych z tą myślą przy jego udziale, a nawet podróży za żelazną kurtynę, z których może najgłośniejszą była jego podróż do Moskwy za czasów „dobrego komunisty“ Chruszczowa kiedy to La Pira modlił się na grobie św. Jerzego. Znany także ze swego ubóstwa La Pira, gdy już przestał być burmistrzem Florencji, podjął nowe incjatywy i podróże, najwidoczniej finansowane przez jakiegoś zainteresowanego czynnika. Wiadomo, że był w Warszawie gdzie przy okazji, jak mówiono i pisano, „działał“ na rzecz urzeczywistnienia podróży papieża do Polski, ale głównie jego

ideą było osobiste skontaktowanie się z Ho Czi Minem, by omówić sprawę pokoju w Wietnamie. Po powrocie z Hanoi dał do zrozumienia, że Wietnam północny zgadza się na pertraktacje pokojowe. Wiadomość ta drogą przez przewodniczącego Zgromadzenia Ogólnego ONZ przekazana została kierownikiem polityki amerykańskiej i naturalnie musiała być, pomimo żywionych wątpliwości, przyjęta na serio. W parę dni później Ho Czi Min oświadczył, że La Pira nic nie zrozumiał. Komuniści włoscy i na całym świecie wygrywali tę akcję La Piry, podkreślając pragnienie pokoju w Wietnamie północnym... aby tylko spełnione były 4 znane punkty.

Na dobitkę „świętoszek“ z Florencji (prasa ujawniła nawet taki fakt, że kapelusz La Piry zawsze wisiał na szacownym miejscu w przedpokoju domu Fanfaniego!) dał pod nieobecność Fanfaniego, w jego własnym mieszkaniu, wywiad dziennikarce jednego z najbardziej złośliwych czasopism skrajnie prawicowych na przeróżne tematy i osobistości, nie wyłączając pana domu, w którym był podejmowany, w tonie co najmniej lekko drwiącym.

Fanfani zareagował na to wszystko w jedyny możliwy sposób w takiej sytuacji: podał się do dymisji z motywów osobistych i mimo nalegań, mimo wyrazów zaufania i szacunku okazanych mu i przez rząd i przez stronnictwo Ch. D. nie zmienił swej decyzji. Zapowiedział przy tym, że powróci do nauczania na Uniwersytecie i do pracy w parlamencie. Kierownictwo sprawami zagranicznymi objął sam premier Moro.

Socjaliści wyzyskali tę gratkę, domagając się wraz z komunistami debaty w parlamencie nad polityką zagraniczną. Po dyskusji i po oświadczeniach złożonych przez Fanfaniego Moro postawił kwestię zaufania i... rząd odniósł zwycięstwo.

W cztery dni później, gdy na porządek dzienny wpłynął projekt us-

POLITYCZNEGO WE WŁOSZECH

tawy o przedszkolach, liberałowie postawili wniosek o nierozpatrywanie go. Wiadomo było, że projekt tej ustawy uważany był przez wielu chadeków jako już nadmierne odstępstwo od linii stronnictwa w sprawach wychowania. Trzeba tu dodać, że większość chyba przedszkoli we Włoszech pozostaje w rękach zakonów i to właśnie jest solą w oku dla stronnictw laickich z socjalistami na czele. Moro i w tym wypadku postawił kwestię zaufania i wniosek liberałów odrzucono.

W dyskusji nad ustawą przegłosowano z trudem jej artykuły. Nad całością zażądano głosowania tajnego i... większość była przeciw. Brak było na sali obrad znacznej ilości posłów, z czego 56 chrześcijańskich demokratów, a przy tym liczą, że około setki posłów ze stronnictw rządowych głosowało przeciw ustawie. Rząd podał się do dymisji.

Wtedy dopiero rozpetęła się istna burza polemik pomiędzy partiami koalicyjnymi. Chadecy wspomnieli socjalistom, że otrzymali wszystko czego chcieli, że został upaństwowiony przemysł elektryczny, uchwalona ustawa o kinie w której chadecy musieli się wyrzec jedynego punktu, który bronił moralności publicznej, że wreszcie, państwo, zgodnie z ich wymaganiami, coraz szerzej ingeruje w życie gospodarcze ze szkodą dla inicjatywy prywatnej. A socjaliści w odpowiedzi wystąpili z „alternatywą socjalistyczną“. Wiadomo co to znaczy: trzy stronnictwa laickie plus komuniści to poważna groźba dla Ch. D. I jak gdyby przez przypadek, Kongres komunistów włoskich, który odbywał się akurat w tym samym czasie, zaczął przemawiać na tę samą nutę. Centrolew — mówiły rezolucje — nie zdał egzaminu. Sytuację uzdrowić może tylko rząd oparty na nowej większości, lewicowej. Alternatywa socjalistyczna, zdaniem komunistów, to nakaz chwili.

A przecież, po zasięgnięciu

wstępnych opinii prezydent Saragat powierzył dotychczasowemu premierowi sformowanie nowego gabinetu. Moro zastrzegł sobie czas do namysłu i rozpoczął zwyczajowo długie, ale w tym wypadku szczególnie uciążliwe rokowania. W ich trakcie okazało się, że stronnictwa koalicji są zgodne co do konieczności kontynuowania polityki Centrolewu i widzą w osobie Moro najodpowiedniejszego kandydata na premiera. Ale socjaliści wysunęli zastrzeżenia co do niektórych kandydatów na ministrów z odłamu Centrum ludowego na prawym skrzydle Chadecji, a już ze szczególnym protestem wystąpili przeciw b. premierowi i min. spraw wewnętrznych Selbie. I tu również w sukurs socjalistom pośpieszyli komuniści, wręcz zapowiadają, że jeśli do rządu wejdzie „czarny reakcjonista“ Scelba, masy wyjdą na ulicę! A właśnie rezolucje ostatniego Kongresu Chrześcijańskiej Demokracji zobowiązywały to stronnictwo do włączenia do rządów przedstawicieli wszystkich jego odłamów.

Wobec weta socjalistów rokowania zostały zerwane i Moro udał się do prezydenta, by zrezygnować z misji, ale Saragat prosił go o wstrzymanie się z tą decyzją, a tymczasem sam rozpoczął sondowanie opinii stronnictw.

W tej właśnie fazie sprawy dramatycznie „wyjaśniły się“. Wyszło na to, że Moro stał się jedynym kandydatem trzech stronnictw laickich przy jednoczesnym wysuwaniu z ich strony weto co do osób z prawego skrzydła Ch. D. i szantażowania „alternatywą socjalistyczną“. Veto przecież równało się rozciągnięciu delimitacji po prawicy również na część Ch. D. Tego już było za wiele. Chadecja wycofała Moro, nie ze względów personalnych jako kandydata swego na premiera. Moro udał się na Kwirynał i ostatecznie z misji zrezygnował. „Il Tempo“ napisało, że jest to już „niesławny koniec nieszczęsnego, zniekształconego Centrolewu.“

Ale poważny ten dziennik tym razem pomylił się. Saragat oczywiście musiał rozpocząć wszystko od początku. Ta sama długa, rytuałem przewidziana procedura narad u prezydenta, a jednocześnie obrady w łonie stronnictw i między ich przedstawicielami wykazały, że brak jest jakiegokolwiek innej alternatywy. Kierownictwo Ch. D., uznając słuszość dotychczasowej koncepcji centrolewicowej, zastrzegło się jednak kategorycznie przeciw próbom ograniczania jej swobody decyzji co do osób. Socjaliści, stojąc wobec widma nowych wyborów, na których by chyba nie zyskali, a zarazem w przededniu oczekiwanej fuzji z socjal-demokratami, długo jeszcze upierali się, ale w końcu poszli na kompromis. Moro znowu otrzymał misję tworzenia gabinetu i po kilku dniach przedstawił listę kandydatów, których prezydent mianował ministrami.

W trzecim rządzie Moro nie ma wprowadzie Scelby, ale objął on przewodnictwo Rady Narodowej Ch. D., natomiast w skład gabinetu weszli dwaj przedstawiciele jego kierunku oraz trzech z grupy Fanfaniego, którzy tak jak i centrum ludowe nie byli dotychczas reprezentowani w rządach. Całość tak rozdzielono wg. klucza partyjnego: 16 chadeków, 6 socjalistów tj. o jednego więcej, z Nennim jako wicepremierem, 3 socjal demokratów i jeden republikanin. Ministrem spr. zagr. ponownie został Fanfani; sprawy wewn. pozostały w rękach Tavianiego. Ciężką ofiarą Chadecji na rzecz kompromisu było oddanie teki spraw wojskowych na rzecz socjal demokraty, Tremollogo, zresztą szczerego zwolennika współpracy z zachodem. Dotychczasowy min. obrony Andreotti objął tekę przemysłu i handlu i ma zostać ponadto przewodniczącym frakcji parlamentarnej Chadecji w izbie deputowanych. Według tego klucza rozdzielono 45 podsekretariatów.

W wyniku końcowym trzeba zanotować dość znaczne wzmocnienie spoistości w łonie Chrz. Demokracji, czego wyrazem jest m.in. pełniejsza reprezentacja w rządzie tego największego stronnictwa z ponad 260 posłami. Jakby przeciw tej sile zasiadają na ławach rządowych

przedstawiciele zjednoczonego w pewnym sensie frontu trzech partii laickich (niebawem dojdzie chyba do formalnego połączenia socjalistów Nenniego z socjal-demokratami), którzy natarczywie nastają na wielkie reformy społeczne, mimo, że okres pokryzysowy temu nie sprzyja. Ten „front“ manewruje straszakiem alternatywy socjalistycznej. Ponieważ i komuniści, ostatnio wzmocnieni, operują tym hasłem i oddziaływują przy tym przez związki zawodowe jako czynnik zakłócający, zadania rządu nie będą łatwe. Przypuszcza się jednak, że po wielkim wstrząsie jakiego doznała koncepcja Centrelewu aż do groźby jego rozpadu, uda się chyba obecnej koalicji dotrwać do następnych wyborów, które przypadają na rok 1968.

Jan Gniazdowski

W latach trzydziestych leciało się z Londynu do Paryża dwie godziny i dokonanie to było uważane za szczyt komunikacyjnej szybkości. Po wojnie czas przelotu skrócono do półtorej godziny, a potem wśród wielkich fanfar ogłoszono, że przelot z Londynu do Paryża trwać będzie mniej więcej godzinę. Dzisiaj odrzutowiec startujący z Londynu pokonuje przestrzeń do Paryża dokładnie w 30 minut, a podróżny, który wsiada do samolotu na London Airport, nie orientuje się nawet, że wsiada do samolotu. Jedna z oszklonych werand prowadzących pochyło ku rozbiegom lotniska znajduje się tuż naprzeciwko wejścia do odrzutowca, który podkołowuje tak blisko pod wejście z werandy, że nie ma niemal przerwy pomiędzy chodnikiem pochylni a drzwiami wejściowymi do samolotu. Jest to przyjemne ułatwienie z uwagi na fakt, że w Londynie często pada deszcz i że trzeba wówczas pospiesznie przebiegać przez asfaltowane lotnisko do odlatującego samolotu.

Ale sprawą z samym odlotem nie jest taka prosta. Odrzutowiec zaczyna kołować w stronę startu i nagle staje. Kapitan ogłasza przez głośnik, że jest tak olbrzymi ruch przylatujących i odlatujących maszyn, że trzeba poczekać. To czekanie przedłuża się i w rezultacie przeciąga się ponad 40 minut a zatem ponad czas samego lotu. Podobne doświadczenie mamy przy powrocie z Paryża: w pół godziny po oderwaniu się z lotniska w Le Bourget znajdujemy się w chmurach nad lotniskiem londyńskim. Nie możemy wylądować, albowiem wszystkie rozbiegi są zajęte. Krążymy przez 20 minut zanim wreszcie wieża sygnałowa da nam znak, że znalazł się wolny tarmak, na którym siada nasz „jet“ z charakterystycznym wstrząsem i dygotaniem.

Ta krótka podróż pokazuje nam wizję przyszłości: zatłoczenia nie tylko na ziemi, na szosach i szlakach dojazdowych, ale i w powietrzu. Komunikacja w postaci samolotu czy samochodu, która miała nam ułatwić życie, doszła do punktu, w którym tak się komplikuje i wikła, że szybkość która dawniej była jej atutem, staje się raczej względną zdobyczą.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Ten sam tłok wita nas na ziemi. Dojazd z lotniska Le Bourget do miasta odbywa się z licznymi zahamowaniami, albowiem buduje się nowe szosy pierścieniowe i tak zwane „fly-overs“, czyli mosty i przerzutnie wiodące ponad jednym systemem dróg. Takie same budowle oglądamy w Berlinie i w Londynie. Usiłuje się w ten sposób rozładować zagęszczenie ruchu, który osiąga w pewnych godzinach przerażające wprost rozmiary. Dojazd do Paryża jest zatłoczony, a samo centrum miasta staje się w pewnych godzinach istnym piekłem komunikacyjnym. Między godziną 6-tą a 8-mą wieczorem olbrzymia rozgwieżdżona Place de l'Etoile stanowi wieloramienną strugę samochodów ocierających się o siebie, kłębowiskiem ruchu, w którym na darmo usiłujesz złapać taksówkę, istnym potopem samochodów, które spieszą się i nie mogą zdążyć na czas. Jeżeli tego rodzaju kongestia dotyka Paryża słynącego ze swoich szerokich alei i avenues, to cóż dopiero mówić o miastach mających o wiele węższe przesmyki komunikacyjne?

Samolot, którym lecimy z Londynu nie jest już maszyną z lat trzydziestych i miasto, do którego lecimy nie jest już Paryżem sprzed wojny. Jest to inny Paryż, zagrożony w swoim krajobrazie i w swojej sylwetce, który zaczyna się rozbudowywać i rosnąć w górę podobnie jak Londyn, czy Berlin, który niebawem przeбитym będzie szosą automobilową wiodącą przez samą Cité i wywoła zniszczenie wielu starych domów i rezydencji. Nie będzie to przebudowa na wzór słynnego barona Hausmanna, któremu zawdzięczamy wiele z nowego Paryża, a zatem Paryż w 19-ego — będzie to pokos tradycji i tego wszystkiego co tworzyło Paryż naszej młodości. Paryż naszych oj-

BILETY

KOLEJOWE,
SAMOLOTOWE,
OKRETOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street

Tel. MID 1526

FRANCJA

1966

ców. Będzie to zmiana samej już fizjonomii Paryża, przekształcenie go na miasto nowoczesne. Podobnie cały tzw. paryski Manhattan, który mo powstać wokół dawnego dworca Montparnasse — który już runął pod ciosami kilofów i buldożerów — tuż koło słynnych kawiarni jak Rotonde i Dome, to będzie Paryż à la New York, po 30 i więcej pięter — olbrzymich pudeł z żelbetonu i szkła, tych anonimowych struktur, które rosną jak grzyby po deszczu od Costa del Sol aż po Sztokholm. Paryż za lat 20 nie będzie znanym nam miastem, chociaż na pewno zachowa dwa swoje koronne klejnoty: Place de la Concorde, ten salon Europy i Place de L'Etoile, ten najpiękniej pomyślany jako geometria plac tejeż Europy.

Paryż zmienia się, chociaż powoli i opornie, o wiele mniej spieszenie niż Londyn, albowiem Francja, mająca na swoich sztandarach hasła bardzo radykalne — jest bardzo konserwatywnym narodem. Ale zmienia się i te zmiany pójdą od-tąd w przyspieszonym rytmie. I nie tylko jeżeli chodzi o architekturę Paryża.

Francja jest dzisiaj znowu innym krajem — innym aniżeli pięć czy siedem lat temu. Najgorsza była faza powojenna, kiedy Francja borykała się z brakami wyżywienia, kiedy tonęła w depresji, kiedy zdawała sobie sprawę z tego, że nie należy naprawdę do narodów zwyciężskich i kiedy szukała jakiejś no-

wej idei, któraby ją ożywiła. Potem przyszła ta idea w formie Wspólnego Rynku i politycznego scalania się Europy, ale została pochłonięta przez zamęt polityczny, przez karuzelę zmian gabinetowych. Z kolei mieliśmy do czynienia z dobą gorączki algierskiej, Francji na wulkanie, a potem Francji w pierwszych latach de Gaulle'a. Ten rozmach, to poczucie odnowy, to windowanie narodowego „ego“ — ta faza minęła. De Gaulle zachodzi w cień i nawet jeżeli jego sukces prezydencki jest niewątpliwym sukcesem starzejącego się męża stanu, to jest to w najlepszym wypadku zwycięstwo tego **sense of security**, tej woli zabezpieczenia się, która góruje nad Europą i która sprawiła, że w NRF także wolano znanego już Erharda od nieznanego Willy Brandta.

Uraz społeczeństwa francuskiego wobec 4-tej republiki jest dalej jeszcze zbyt głęboki, ażeby dzisiaj naród mógł uwierzyć, że nowa generacja polityków zachowywać się będzie lepiej aniżeli politycy okresu 1945-1957. Francja chce mieć jeszcze trochę spokoju — zanim rozpocznie się era nowego eksperymentu — eksperymentu po de Gaulle'u. Nikt nie wierzy, ażeby de Gaulle wytrwał na swoim stanowisku przez lat 7 a zatem pełny okres swojej kadencji kiedy skończy lat 82. Panuje ogólne przekonanie, że albo de Gaulle odda władzę w ręce kogoś zaufanego i wybranego, albo, że zostanie zmuszony wypadkami do wyrzeczenia się tej władzy za lat kilka.

Ale kto będzie jego następcą, jaki układ sił wyłoni się po odejściu de Gaulle'a?

Przyszłość jest niejasna, ale częściowo możemy ją już dzisiaj odczytać.

Zanosilo się na to, że wybory stać będą pod znamieniem wyraźnej przewagi de Gaulle'a, a wysiłki Defferre'a spełzły na niczym. Tymczasem w ostatnim niejako momencie przed wyborami wyłoniły się nowe kandydatury, z których dwie traktowane były poważnie: mam tu na myśli kandydaturę Mitteranda i Lecanueta. Jest rzeczą ciekawą, że Defferre'owi nie udało się zmontowanie frontu opozycyjnego i że najwidoczniej zabrakło mu jakiegoś elementu czy to osobistego czaru, czy dyplomatycznej zręczności aby stworzyć alternatywę przeciw de Gaulle'owi. Mitterand dokazał tej sztuki podobnie jak Lecanuet, który zrzekł się przewodnictwa partii MRP, czyli postępowych katolików. Jednakże na Lecanueta nie głosowała solidarnie partia MRP, a niektórzy jej wybitni członkowie jak np. Maurice Schuman, przewodniczący komisji zagranicznej Zgromadzenia Narodowego, głosował ostentacyjnie za de Gaullem.

Wybory prezydenckie wprowadziły zatem pewien zamęt w szeregi partii francuskiej, jeżeli uprzytomnimy sobie fakt, że na tle kandydatury Mitteranda poczęły krążyć pogłoski o szansach odbudowy tak zwanego „Frontu Popularnego“, czyli unii socjalistów z komunistami, oraz, że Lecanuet, który odpadł w pierwszej rundzie, zapowiedział stworzenie nowego ruchu pod mianem „Centre Democratique“. Przyszłość tego ruchu nie wygląda na razie różowo, albowiem popularność Lecanueta była w dużej mierze tworem telewizji i jego atrakcyjnej „personalité“ telewizyjnej. Z chwilą gdy Lecanuet pozbawiony jest broni telewizji nie będzie on mógł apelować ani w części tak skutecznie do opinii francuskiej.

Ale względny sukces Lecanueta daje dużo do myślenia, albowiem kandydat ten najwyraźniej postawił problem zacieśnienia węzłów z EWG i budowy sfederowanej Europy. Powiadano, niewiadomo — czy słusznie — że gdyby Lecanuet wyszedł przed Mitteranda w pierwszej rundzie, to w drugiej pokonałby de Gaulle'a. Chodzi i to, że opinia francuska zorientowała się, iż niechęć de Gaulle'a wobec pogłębienia współpracy z EWG i do scementowania politycznego Europy Zachodniej, jest polityką szkodliwą i przeciwną in-

teresom Francji. Krytyka w stosunku do polityki de Gaulle'a jest dzisiaj żywa i powszechna, a pomysł urządzenia trzech wywiadów-monstre przez Michel Drouat z generałem de Gaullem (grudzień 1965), w których to wywiadach Drouat zadawał badzo szczere pytania prezydentowi, dowiódł, iż de Gaulle zaczyna się dzisiaj poważnie liczyć z opiniami we francuskiej opinii publicznej.

I tu jest właśnie kluczowy moment roku 1966-go: gaulizm jako ruch polityczny jest dzisiaj siłą wyczerpaną, de Gaulle jest zjawiskiem schyłkowym i nie potrafi już podierać Francji do prawdziwie nowych inicjatyw. Nie rozumie on wymowy naszego wieku, a zatem faktu, że nacjonalizm jest siłą wyżyta i przeżyta w Europie Zachodniej i że jeżeli pojawia się on w Europie Wschodniej, to na tle zagrożenia przez obcy nacjonalizm. Takiego zagrożenia w Europie Zachodniej nie ma, gdyż nikt nie wyobraża sobie aby nacjonalizm amerykański istotnie i poważnie Europie Zachodniej zagrażał. De Gaulle pozostał w sferze myślowej po pierwszej wojnie światowej i marzy mu się Francja, któraby odbudowała sieć sojuszów na wschodzie Europy. Nie jest on prorokiem, który wprowadzi Francję do Ziemi Obiecanej, to jest do zjednoczonej Europy.

Czas jego już minął i zarówno w Francji jak i w NRF powtarza się motyw, że „rzecz w tym, by przecze-kać de Gaulle'a“. Oczywiście, czas w którym rządzić on będzie dalej Francją jest niejako czasem straconym dla Europy i trzeba to sobie wyraźnie powiedzieć. Niemniej jednak de Gaulle w nowej kadencji nie będzie mógł poczynić sobie tak bezceremonialnie jak w poprzedniej, albowiem wie on dzisiaj, że nie ma za sobą większości społeczeństwa francuskiego. Nie tylko prestiż i autorytet de Gaulle'a przekroczył swój zenit, ale opinia francuska, która przez parę lat okazywała pewien paraliż i brak wyobraźni, zaczyna się organizować i wysamodzielniać. Chodzi tylko o to, czy naród francuski po odejściu de Gaulle'a będzie miał na tyle dojrzałości i spokoju by wybrać właściwych sterników i aby nie dopuścić do gorszących przetargów w parlamencie i do marnotrawnego korowodu poprzednich gabinetów.

Polityka zagraniczna de Gaulle'a budzi coraz więcej zastrzeżeń w narodzie francuskim. Windowanie prestiżu narodowego i opowiadanie o wielkości Francji skończyło się największą izolacją polityczną tego kraju od lat. Tylko naprawdę wielkie mocarstwo może sobie pozwolić na takie zrażanie sobie sąsiadów i sojuszników, albowiem wie, że jego atrakcja militarna i finansowa przewyżczy względy arogancji. W rzeczywistości polityka de Gaulle'a jest próbowaniem sukcesów na rozmaitych odcinkach od Europy Wschodniej aż po Amerykę Południową i stanowi serię gestów, na które albo nie może być odpowiedzi, albo nie było pokrycia. Gdyby być złośliwym, możnaby nazwać tę politykę „chanson de gestes“.

Francji nie stać na olbrzymie wydatki na cele nuklearne i o tym społeczeństwo francuskie wie coraz lepiej. Te wydatki odbijają się na rynku wewnętrznym, a zatem nie pozwalają Francji na odpowiednią akcję budowy domów i szkół, oraz unowocześnienie ośrodków prowincjonalnych. Sytuacja mieszkaniowa we Francji jest nadal zła i Francja jest pod wielu względami krajem zacofanym jeżeli chodzi o komfort, urządzenie dworców kolejowych, higienę sklepów, wygląd swoich szkół. O ile NRF potrafiła rozwiązać problem mieszkaniowy, to we Francji panuje dalej chaos na rynku mieszkaniowym i niebawem wygórowane ceny, które uniemożliwiają przeciętnemu obywatelowi zdobycie porządnego mieszkania.

Francuzi, którzy zaczęli od kilku lat więcej podróżować po Europie, porównują nieraz przemysł NRF z przemysłem swego własnego kraju orientują się, że przemysł francuski jest pod wielu względami przestarzały i nie może wytrzymać konkurencji z niemieckim. Kto wie, czy w tym właśnie nie tkwi przyczyna obawy de Gaulle'a w stosunku do NRF, lęku, że Niemcy Zachodnie zbyt szybko rozwijają się jako gigant przemysłowy i że Francja nie może Niemcom absolutnie nadążyć. Kto wie czy dlatego właśnie de Gaulle nie hamuje rozwoju EWC i scalania gospodarczego Europy, uważając, że Niemcy zyskałyby w tym

układzie nadmierną dominację ekonomiczną nad Francją.

Ale bez względu na to jakie są źródła obaw de Gaulle'a i jakie są jego przewidywania, wypadki prą ku większemu jednoczeniu Europy i ogół francuski orientuje się w tym coraz lepiej. Fakt, że w Alzacji i Lotaryngii, która była ostoją gaulizmu — Lecanuet zdobył tyle głosów, jest bardzo wymowny.

Francja postanowiła mieć jeszcze trochę spokoju pod starzejącym się prezydentem, a jest rzeczą znamieną, że w przemówieniu sylwestrowym de Gaulle podkreślał przede wszystkim moment stabilizacji i spokoju. Ale życie polityczne Francji będzie odtąd stało pod znakiem większego ożywienia, a de Gaulle będzie zmuszony wypadami do obejrzenia się za swoim następcą, jeżeli nie chce dopuścić do powstania vacuum tak niebezpiecznego dla wszystkich państw rządzonych przez tzw. „wyjątkowe osobistości“. Konstytucja Piątej Republiki okazała się na tle wyborów tworem raczej przypadkowym i niedostatecznie serio pomyślanym, skoro dopuściła do kandydatur takich jak Monsieur Barbu, przedstawiciel związku lokatorów.

Francja znajduje się w nowej fazie, a zatem zmierzchu gaulizmu i poszukiwania nowych dróg rozwoju. Dalej jeszcze nie potrafi ona zabrać się do zasadniczych problemów jak unowocześnienie kraju w sensie mieszkań, jak również i w sensie ożywienia swojej prowincji, która dalej chroma i nie daje odpowiedniego rozwoju utajonym talentom francuskim. Paryż jest dalej ośmiornicą, która wysysa nadmiar energii kraju, a jest paradoksem, że wszystko musi przechodzić przez Paryż — poczynając od plodów intelektualnych aż po plody rolne i jarzyny, które z prowincji wędrują do Paryża, a potem dopiero są rozprowadzane na prowincje. Ta centralizacja, która dowodzi dawności tworzenia państwowego Francji, staje się coraz bardziej szkodliwa i kto wie, czy pierwszą oznaką odwrotu nie jest przykład Grenoble, które to miasto liczące obecnie ćwierć miliona ma ambicję stania się półmilionowym miastem za lat 20-cia i jest dzisiaj ośrodkiem studiów nuklearnych.

Innym problemem, którego Francja jeszcze nie rozwiązała, to powołanie do życia partii politycznych, które odpowiadają nowym potrzebom rzeczywistości. Wydawało się, że MRP stanie się taką partią, ale dzisiaj partii tej brakuje rozmachu lat czterdziestych. Francji jest potrzebna partia chłopska reprezentująca liczny element farmerski i potrzebna jest nowa partia radykalna nie tylko z szyldu.

FRANCJA 1967, 8, 9 ?

Jak wyglądać będzie Francja jutra?

Sytuacja prezydenta na pewno nie została ułatwiona grudniowymi wyborami i przypuszczalnie de Gaulle przygotowuje sobie już teren w parlamencie do przyszłych swoich rozgrywek. Wybory do parlamentu przyniosą niewiadomo jakie wyniki, ale ogólnie panuje przekonanie we Francji, że grupa de Gaulle'a pod mianem UNR wyjdzie z tych wyborów uszczuplona. Była to zawsze grupa luźna, a sprawiedliwość każe przyznać, że de Gaulle nie starał się nigdy o umocnienie swojej partii, a właściwie tego co uważało się i uważa za partię de Gaulle'a. De Gaulle z zasady nie jest człowiekiem partii i jeżeli może coś inicjować, to raczej pewien ruch polityczny „un mouvement“, a nie ściśle określona i ufundowana partię polityczną. Tak też dotychczas było i de Gaulle dawał tylko natchnienie i rozmach dwum kolejno ruchom, które poczęły się pod jego sztandarem. Pozostawił on innym troskę o formy organizacyjne, a sam chciał być wyrazicielem ogółu Francuzów — i stąd wiodą się jego pomysły referendum ludowego, czyli plebiscytu, stanowiącego niewątpliwie najbardziej demokratyczną formę wyborów.

Z chwilą jednak kiedy partia powołująca się na de Gaulle'a utraci większość w Zgromadzeniu Narodowym powstanie problem stabilizacji rządu powołanego do życia przez prezydenta. Dlatego przypuszczalnie de Gaulle dokonał już dzisiaj przekształcenia gabinetu wciągając polityków takich jak Debré, który na

pewno jest zręcznym graczem, oraz Edgar Faure, który przez długie lata ocierał się, by tak powiedzieć — o lewicę. Przypuszczalnie de Gaulle chciałby rozszerzyć bazę swojego gabinetu tak, by w nowym Zgromadzeniu Narodowym rząd ten mógł się utrzymać.

Jakikolwiek będzie wynik wyborów do Zgromadzenia Narodowego, to wydaje się być rzeczą pewną, że do czasu wyborów Francja nie załatwi kapitalnego problemu swej polityki wewnętrznej, a zatem nowego układu partyjnego. Zasadniczo, we Francji istniałyby warunki na stworzenie dwóch wielkich bloków politycznych, a zatem jakiegoś centrolewu i centro-prawu, przy czym ten drugi rządzi dzisiaj w pewnej mierze pod egidą de Gaulle'a. Ale centrolew nie może się wyłonić z bardzo prostych przyczyn, a mianowicie, z racji istnienia sporej i dalej dobrze zorganizowanej partii komunistycznej, która niedawno jeszcze nazywana była przez wielu polityków francuskich „partią cudzoziemców“. Partia ta nie bierze już dzisiaj tak pokornie swoich rozkazów i zaleceń z Moskwy, jak za rządów Thoreza w okresie jego rozkwitu politycznego, ale na pewno nie jest jeszcze partią niezależną. W tych warunkach socjaliści wahają się przed sojuszem z komunistami i dopuszczają do cichych konszachtów tylko w tej formie w jakiej Mitterand, główny rywal de Gaulle'a korzystał z głosów komunistycznych w wyborach prezydenckich. Na ogół jednak socjaliści uważają kontakty z komunistami za „liaisons dangereuses“ i nie można się temu dziwić skoro — pomijając już afiliacje z Moskwą — partia komunistyczna Franji jest o tyle lepiej okrzepnięta i sprawna niż partia socjalistyczna. W takim zaprzęgu komuniści mieliby wszelkie szanse wysunięcia się na pierwsze miejsce, a nawet dominacji.

Życie polityczne Francji stoi zatem dalej pod znakiem rozproszenia a indywidualistyczne nastawienie Francuza sprawia, że nie chce się on zdecydować na dwa wyraźne bloki partyjne — z dodatkiem grupy liberałów — jak to się dzieje w Anglii czy w NRF. Raz po raz pojawiają się nowe kreacje polityczne, jak obecnie ruch Lecanueta „Le Centre Democratique“, ożywiony wielkim zapalem garstki jego współpracowni-

ków, ale przypuszczalnie skazany à la longue na niepowodzenie.

W tej atmosferze niepewności de Gaulle będzie mógł przeprowadzać dalej — chociaż z większą dozą ostrożności — niektóre swoje posunięcia podkreślając motyw samodzielności Francji, która to samodzielność wyraża się na razie w rosnącej izolacji tego kraju. Istnieją nadzieje, że de Gaulle może dokonać niebawem jakiegoś gestu pod adresem Anglii, jeżeli chodzi o Wspólny Rynek. Dlaczego? Otóż z perspektywy czasu orzec można, że istotnym powodem veta de Gaulle'a pod adresem kandydatury Anglii do EWG była narada amerykańsko-angielska na Bermudach. Stanowiła ona nielada szok dla de Gaulle'a. Od dawna marzeniem jego był tryumwirat trzech mocarstw, a zatem Ameryki, Anglii i Francji. Próbował on realizować ten dyktoriat wszelkimi sposobami. Bermudy przekonały go, że jest to plan nierealny i że Ameryka darzy specjalnym stosunkiem Anglię, ale nie dopuści do podobnej intymności stosunków z Francją. Wobec tego de Gaulle systemem wet za wet zablokował wejście Anglii do EWG. Dzisiaj polityka wieżów politycznych, a nawet gospodarczych w ramach EWG, odpowiada zasadniczo Anglii i od dawna już spostrzeżono, że istotnych różnic między suwerenną koncepcją angielską, a „suwerenną“ koncepcją francuską nie ma. Dlatego de Gaulle byłby może skłonny wprowadzić dzisiaj Anglię do EWG, aby zaszachować swoich partnerów z tej organizacji.

MŁODE POKOLENIE FRANCUZÓW

Ażeby odczytać przyszłość polityczną Francji, trzeba by wiedzieć dokładnie co się dzieje w sercach i głowach młodego pokolenia francuskiego. Nie jest to łatwe zadanie. Zasadniczo, młodzież dzisiejsza we Francji jest wyraźnie apolityczna i w tej mierze podobna jest do młodzieży całej prawie Europy. Polityka została zdyskredytowana wybrykami dyktatury, okrucieństwami państwa nowoczesnego i pozami tak zwanych mężów stanu, których nie stać na prawdziwie wielki gest. Młodzież

stroni od polityki i uważa ją za zło konieczne. Żaden polityk we Francji nie potrafi porwać młodzieży. Może najbliższy tej możliwości apelu czy przemówienia do młodej wyobraźni francuskiej był Lecanuet, ale w stosunku do Mitteranda wyrok młodego pokolenia nie był najkorzystniejszy i raczej uważano go za człowieka dużej zręczności i przebiegłości, aniżeli za polityka poważnego kalibru.

Młodzież francuska jest równocześnie bardzo serio, bardziej serio, aniżeli młodzież przedwojenna. Studiuje ona zawzięcie a studia we Francji są chyba najtrudniejszymi w całej Europie. Jest ona o wiele mniej lekomyślna w odniesieniu do spraw uczuciowych aniżeli młodzież dawna i obserwujemy we Francji podobne zjawisko jak w całej niemal Europie, a zatem wczesnych małżeństw kolegów i koleżanek i wczesnego macierzyństwa i ojcostwa. W tym procesie przemian olbrzymią rolę odgrywa dziewczyna i kobieta francuska i tutaj rozmowa jaką przeprowadziłem z redaktorką niezmiernie popularnego tygodnika „Elle” panią Heleną Lazareff, była wysoce pouczająca. Przypomniała mi ona fakty znane mi z obserwacji kraju, a mianowicie silny wzrost ilości kobiet i dziewcząt pracujących, podniesienie się liczby studentek na rozmaitych fakultetach i tak dalej. Kobieta francuska została wciągnięta na wielką skalę w procesy pracy zawodowej, czyta ona dzisiaj więcej książek poważnych i interesuje się problemami ogólnymi. Była ona dotychczas kobietą natury uniwersalnej, czyli jak się to mówi po polsku „I do tańca i do różańca”, miała wielkie cnoty i zalety jako „la femme d' intérieur”. Dzisiaj pogłębiła się ona niewątpliwie i jest jeszcze lepszą towarzyszką intelektualną swojego mężczyzny. Jak powiada pani Helena Lazareff „elle est beaucoup moins frivole.”

Młodzież francuska podróżuje o wiele więcej aniżeli ich poprzednicy w latach 1919—1939. Jeżdżą na obozy międzynarodowe, ogląda Europę, spotyka swoich rówieśników w innych krajach świata. Jest ona dzisiaj bardziej otwarta na wpływy zagranicy niż dawniej i prowadzi życie zdrowsze, chociażby przez element sportu, który dzisiaj we Francji przeniknął w najszersze warstwy. Nawet typ fizyczny Francuza uległ zmianie pod wpływem racjonalniejszego odżywiania

się jak i pod wpływem sportów — zjawisko obserwowane zresztą w całej Europie. Młody Francuz zna się dalej na kuchni, ale nie celebrowe już tak jedzenia, jak jego dziadowie i ojcowie.

Zainteresowania humanistyczne młodego Francuza dalej istnieją i cieszyć się należy, że we Francji dział między tak zwanymi dwoma kulturami, jak się to mówi w krajach anglo-saskich, jest o tyle mniej do-

tkliwy niż gdzie indziej. Młody inżynier będzie dyskutował o sprawach muzyki, literatury i sztuki i uważa, że te wartości są konieczne dla wzbogacenia jego życia. Utrzymuje on zatem piękne tradycje swojego narodu, który zawsze znajdował równowagę między intelektem i uczuciem, między wiedzą ścisłą a humanistyką. Więzy zerwane w innych krajach pomiędzy tymi elementami, są dalej utrzymywane i mocne we Francji.

NOWA WIZJA WIELKOŚCI

Młodzież francuska zdaje sobie sprawę z tego, że wielkość ich ojczyzny należy w dużej mierze do ery przeszłości i że trzeba szukać tej wielkości w innym kontekście i na innych płaszczyznach. Idea europejska przemawia istotnie do tej młodzieży, a nieraz słyszy się głosy, że jedynym pozytywnym owocem i wynikiem tak zwanego „Traktatu Elizejskiego” zawartego przez Adenauera i de Gaulle'a jest żywa wymiana młodzieży i studentów poprzez Ren. Młodzież francuska uczy się dzisiaj obcych języków, a znajomość angielskiego jest bardzo częsta, niemieckiego dosyć częsta. Spotyka się również przykłady znajomości języka rosyjskiego i przejawy sympatii dla Europy Wschodniej, o której mówi się dzisiaj z mniejszą może dozą protekcyjnalizmu niż dawniej. Młodego Francuza interesują przejawy intelektualne Europy Wschodniej, a pisma i periodyki francuskie przynoszą stale duży plon, jeżeli chodzi o literaturę krajów spoza Żelaznej Kurliny, głównie z Polski i Rosji.

Młodzież francuska wierzy dalej w wielki geniusz swojego kraju, w wynalazczość francuską. Nie sądzi jednak, aby zbrojenia i ambicje nuklearne stanowiły odpowiedni wyraz dla dzisiejszej Francji. De Gaulle odegrał na pewno swoją rolę jako przebudziiciel francuskich ambicji, jako ten, który, wytłumaczył Francuzom, że powinni być dumni ze swoich dokonań. Stało się to po momencie niewątpliwego załamania psyche francuskiej w latach 1944 do 1954, kiedy Francuzi czuli, iż ich rola w Drugiej Wojnie nie była nadmierne heroiczna i że przez umysł niejako zbiorowości francuskiej przebiegał dwoisty prąd: oporu i zachowania swej rasy. Ten rozłam wywołał głębokie urazy w całej psychice

francuskiej i de Gaulle na pewno odegrał rolę lekarza-psychiatry, który rozładował część przynajmniej kompleksów, nagromadzonych w umysłach francuskich na skutek klęski i reżymu Vichy.

Ale lekarz ten spełnił już swoją rolę i nie potrafi porwać młodzieży, która jest bardzo uczuciowa i ostrożna i niechętnie się angażuje. Ta młodzież orientuje się w wysokim poziomie życia Niemiec Zachodnich i wie, że przemysł francuski nie jest ani w części tak nowoczesny jak przemysł NRF. Ambicje swoje wyraża ona — jak młodzież całej prawie Europy — przede wszystkim w kategoriach materialnych. Chodzi zatem o rychłe zdobycie dobrego stanowiska, o własny domek, lub mieszkanie, o samochód, o możliwość wyjazdu na wakacje. Francuzi wojażują może gęściej i częściej niż inne narody Europy, albowiem na schyłku tygodnia całe rodziny opuszczają Paryż na wiosnę i w lecie, aby biwakować wśród lasów i łąk i oczywiście rozkoszować się przyjemnościami kuchni zimnej lub gorącej — Francuz bowiem wciąż jest takim entuzjastą stołu, że zawsze znajdzie miejsce w swoim samochodzie na prymus lub maszynkę spirytusową.

Młode pokolenie jest zdania, że w przyszłym układzie europejskim Francja będzie zawsze członem czołowym, chociażby z uwagi na siłę atrakcyjną swojego obyczaju i swojej kultury. Jest rzeczą znamionną, jak od kilku lat Paryż przestawia się niejako na tory ogólnoeuropejskie. Poznac to można między innymi, po wystawach organizowanych w stolicy Francji. I tak na przykład, ostatnio przez kilka tygodni otwarte były wystawy pod hasłem renesansu europejskiego, a wystawy te podzielone były na cztery części: trzy od-

bywały się w Louvrze a jedna w Petit Palais na Polach Elizejskich. W Petit Palais pokazano nam malarstwo całego renesansu europejskiego, w wybranych płótnach i było to jedno z najciekawszych doświadczeń plastycznych, jakie odniosło się w latach ostatnich w Europie. Widać bowiem było jak Renesans załamywał się w każdym narodzie w Europie w sposób odmienny. Najbardziej pocieszającym momentem tej wystawy był może fakt, że w dzień powzedni chodzili po niej tłumy młodziutkich uczniów i uczennic szkół paryskich, przy czym objaśnienia dawali profesorowie tych szkół w sposób, który fascynował każdego przysłuchującego się dorosłego.

Francja przewyciężyła swój ciężki kryzys ludnościowy i od czasów wojny wypełniła luki populacyjne, a napływ Francuzów z Algierii sprawił, że dawniej opustoszałe wioski i miasteczka Południa znowu się załadniły. Kraj znajduje się ponownie

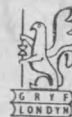
„GESTA DEI PER FRANCOS“

Z tymi wszystkimi brakami i niedoborami poczynając od drożyzny a kończąc na układzie sił politycznych, Francja jest dzisiaj krajem nieskończenie bardziej żywym i dynamicznym niż jeszcze 10 lat temu. Sprawiała ona niespodziankę pesymistom, którzy w roku 1945-tym prorokowali, że padnie ona ofiarą komunizmu i gospodarczej katastrofy. Dowiodła ona raz jeszcze zdolność regeneracji, ale do tego by stała się ona narodem na nowo wielkim trzeba już innych natchnień, trzeba pracy zespolowej, trzeba oparcia się na całe

na fali dobrobytu, ale walka z wysokimi cenami nie została wygrana. Przeciwnie, Paryż jest dzisiaj najdroższym miastem nie tylko Europy, bo statystyka mówi że jeżeli przyjąć Nowy York jako poziom 100, to Paryż wyraża się poziomem 108. Jeżeli zważymy różnicę płac między Nowym Yorkiem a Paryżem, to zrozumiemy, że stolica Francji nie jest najlepszym miejscem do mieszkania dla ludzi niezamożnych. Przemysł francuski musi być zmodyfikowany i unowocześniony a proletariatus Francji niknie o wiele wolniej aniżeli to stało się w Niemczech, czy dzieje się w Anglii. Warunki mieszkaniowe są dalej złe, a niekiedy haniebne. Turyści obcy coraz to bardziej stronią od Francji, gdyż jest to kraj zbyt drogi, uprzejmość wobec cudzoziemców pozostawia wiele do życzenia a rozmaite pozycje doliczane w rachunkach sprawiają, że nigdy prawie niewiadomo jaki będzie wynik końcowy tego rachunku.

Europie. Geniusz francuski jest dalej żywy, inteligencja tego kraju jest dalej zastanawiająca, zdolności tego kraju są niemal bezkonkurencyjne a bogactwo tej ziemi jest niepowtarzalne. Wielkie pytanie, jakie nad Francją zawisło, streszcza się w tym oto co zrobi ona z tymi talentami i tymi darami Bożymi i z tym poczuciem misji, które przed wiekami wyraziło się w dumnej formule Gesta Dei per Francos — czyni Boże wyrażają się przez Francję.

Zbigniew Grabowski



GRYF

P. C. A.

PUBLICATIONS LTD.

KSIĘGARNIA SPK

POLECA

WYDAWNICTWA

WŁASNE

I WSZYSTKICH

WYDAWCÓW

POLSKICH

★

Kupując polskie książki i pisma:

- sprawiasz sobie dużą przyjemność,
- spełniasz obowiązek obywatelski,
- pomagasz autorowi, wydawcy i polskim instytucjom,
- krzewisz najlepiej polskie słowo na emigracji.

★

Polska książka w polskim domu

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najwłaściwszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

★

WSZELKIE ZAMÓWIENIA
POCZTOWE
ZAŁATWIAMY ODWROTNIE

Adres:

20, Queens Gate Terrace,

London, S. W. 7.

Tel.: KNI 3500

LWÓW

1782

WIENŃ

J. A. BACZEWSKI

WÓDKI I LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI
ST. BERNHARD

Likier ziołowy

KRUPNIK
STARKA

WIŚNIAK
WIŚNIOŹKA

J. A. BRUCE & CO.

9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W. 7.

Tel. FRE 5808

(Koło stacji kolejki podz. Gloucester Road)



MALARIA

W dzisiejszej gawędzie zajmę się chorobą dobrze znaną wielu Polakom, szczególnie tym, którzy w szeregach wojska lub jako cywilni zesłańcy wydostali się z Rosji na Daleki Wschód, do Afryki lub do Indii. Chorobą tą jest malaria.

Przyczyną malarii jest ucięcie przez moskitą. Lecz nie przez każdego moskitą. Charakteryzują nawrotne ataki wysokiej gorączki. Aby nabawić się malarii trzeba mieć sporo pecha, bo uciąć człowieka musi samiczka moskitą, gdyż tylko samiczka nosi w sobie pasożyta, który wywołuje chorobę.

Zasięg lotu moskitów może być różny. Zasadniczo oblicza się, że moskit może przelecieć około 3 kilometrów od miejsca, gdzie stale przebywa. Gdy jednak leci z wiatrem — może dolecieć do miejsc oddalonych nawet i o 15 lub więcej kilometrów.

Cykl zakażenia przez moskitą jest dosyć skomplikowany: samiczka moskitą ucina człowieka, zakażając go noszonym w sobie pasożytem. W dwie godziny po ugryzieniu, pasożyt, który dostał się do krwi, wydostaje się z krwiobiegu i lokuje się w wątrobie, gdzie przechodzi przez skomplikowane stadia dalszego rozwoju — poczem na wpół rozwinięte pasożyty powracają do krwi i, lokując się z kolei w czerwonych ciałkach — rozmnażają się dalej. W momencie wtargnięcia pasożyta do czerwonych ciałek, chory dostaje wysokiej gorączki, czyli klinicznego ataku malarii.

Po ataku gorączki pasożyty pozostają nadal w krwiobiegu, aby po pewnym czasie zginać, ukończywszy cykl swego rozwoju. Jeżeli jednak moskit utnie człowieka zanim nastąpił koniec cyklu — wysane przez moskitą wraz z zakażoną krwią pasożyty rozwijają się dalej — w żołądku moskitą, gdzie dzieli się na dwie grupy: męską i żeńską i tworzą cystę, w której znajdują się jajeczka. Po pewnym czasie cysta pęka, a sformowane już, nowe pasożyty przechodzą do gruczołów ślinowych moskitą, gotowe od nowa zakażać malarią.

Warunki sprzyjające zapadnięciu na malarię są przede wszystkim natury geograficznej: malarię spotyka się najczęściej w klimacie tropikalnym — w Indiach, w Afryce i w Ameryce, a także, choć o wiele rzadziej — w Europie południowej. Drugim czynnikiem jest temperatura. Przeciętna temperatura 60 stopni Fahrenheita, czyli 15,5 Celsjusza, trwająca co najmniej przez dwa tygodnie, jest niezbędna dla cyklu rozwo-

jowego pasożyta w żołądku moskitą. Trzeci czynnik: stojąca woda, gdyż ułatwia rozmnażanie się moskitów. Po rą roku i wysokość opadów deszczowych też odgrywają pewną rolę w rozwoju choroby. Wiek: dzieci zapadają łatwiej od dorosłych, malarią jest jednak wrogiem każdego wieku.

Pacjent, który uległ atakowi malarii odczuwa — przeważnie około południa — dreszcze, ma mdości i boli go głowa. Może się także skarżyć na uczucie zimna i mieć wymioty. Po okresie mniej więcej dwóch godzin, skóra czerwienieje, staje się gorąca, ból głowy wzrasta. Ta faza ataku malarii może trwać od dwóch do trzech godzin, poczem następuje okres przykrego pocenia się z natychmiastowym ustaniem innych symptomów.

Badając chorego stwierdzamy, że w pierwszej fazie, gdy pacjent odczuwał zimno, skóra jego miała nienormalnie biały odcień, a temperatura ciała wynosiła około 40 stopni Celsjusza. Puls był bardzo przyspieszony, ale w chwili, gdy pacjent czuł się najbardziej rozgorączkowany — temperatura zaczęła się właśnie obniżać, a gdy nadeszła faza silnych potów — gorączka spadła już do normalnej lub nawet poniżej normalnej.

Pełny okres ataku trwa około 12 godzin, pozostawiając chorego w stanie wielkiego wycieńczenia.

Znany kilka rodzajów moskitów, powodujących malarię. Przebieg ataku malarii zależy od tego przez jaki gatunek moskitą zostało się ugryzionym. Pewien gatunek moskitą może wywołać atak co trzeci dzień — inny co czwarto. Tak więc człowiek pocięty przez kilka gatunków moskitą naraz, może miewać ataki codziennie, lub w nieregularnych odstępach czasu.

W krajach obfitujących w moskity malaria jest najczęstszą przyczyną powtarzającej się wysokiej gorączki. Gdy jednak zakażony wyjedzie na kilka lat z rejonu malarycznego, pasożyty znajdujące się w jego krwi wymrą z czasem i infekcja wygaśnie. Przy stawianiu diagnozy trzeba jednak uważnie rozróżnić, czy ma się rzeczywiście do czynienia z malarią, czy też z inną chorobą tropikalną, albo też z gruźlicą, tyfusem, porażeniem słonecznym, zapaleniem opon mózgowych lub cholera. Bo każda z tych chorób odznacza się także skokami wysokiej gorączki. Diagnozę trzeba więc oprzeć na dwóch sprawdzianach. Pierwszym z nich, to znalezienie pasożyta we krwi chorego. Kropla zakażonej krwi ujawni pod mikro-

skopem obecność pasożyta w różnych stadiach rozwoju. Może się jednak zdarzyć, że chory otrzymał środki przeciwmalaryczne w niedostatecznych dawkach. W tym wypadku badanie mikroskopijne nie wykaże obecności pasożytów, ale pacjent będzie dalej cierpieł na malarię. Należy więc znów zastosować środki przeciwmalaryczne w wystarczająco wysokich dawkach. Jeśli po przyjęciu ich gorączka spadnie będzie to dowodem, że istotnie mamy do czynienia z malarią.

Drugi sprawdzian — to ilość białych ciałek krwi. Stwierdziwszy ich nadmiar będziemy wiedzieć, że gorączka nie jest pochodzenia malarycznego.

Komplikacje spowodowane przez malarię mogą być następujące: bronchit, neuralgia, astma, zapalenie płuc.

Prognozy dla chorego są przeważnie dobre, oczywiście jeśli leczenie zastępuje się dostatecznie wcześnie.

Zwalczanie choroby. Przede wszystkim przez zapobieganie jej. Najważniejszym momentem jest eliminowanie miejsc rozmnażania się moskitów przez drenaż stojącej wody i bagnisk, jak i przez posypywanie rejonów bagnistych substancjami niszczącymi larwy moskitów. Proszek DDT, rozpylany z samolotów w ilości jednej dziesiątej funta na akr, jest najbardziej skuteczny. Z nadejściem zimy należy wytepić dokładnie wszystkie moskity pozostałe z lata, które mogły się ukryć po domach lub oborach. W życiu codziennym wskazane jest spanie pod siatkami, oraz ochrona kończyn, chociażby grubą parą skarpetek, szczególnie wieczorem i wczesnym rankiem, gdy moskity są najbardziej żarłoczne.

MOŻESZ WYSLĄC
WSZYSTKO
przez
Grabowskiego
Lekarstwa
żywność
Pieniądze
Owoce
Ortaliony
(bez podpink i z podpinką)
i tak dalej

Każdy artykuł do wyboru
JEŚLI LEKI TO Z APTEKI
M. B. GRABOWSKI
175, DRAYCOTT AVENUE,
London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

Jest rzeczą ważną, aby osoby udające się do krajów tropikalnych lub cieplejszych krajów Europy, a które nie miały przedtem malarii, na dwa tygodnie przed zamierzonym wyjazdem zaczęły przyjmować środki przeciwmalaryczne i zażywały je jeszcze przez następne cztery tygodnie po wyjeździe z rejonu zagrożonego malarią.

Leczenie. Pacjent w ataku malarii, gdy dojdzie już do fazy tzw. „chłodnej“ powinien nadal pozostawać w łóżku, okryć się ciepło i rozgrzewać termoforami. Na rynku farmaceutycznym jest już dzisiaj ogromna ilość bardzo skutecznych środków przeciwmalarycz-

nych. W wypadkach szczególnie ciężkich środki te stosuje zastrzykiem doustnym, w lżejszych — doustnie.

Malaria jest dziś „przenośna“ w sposób nie spotykany dawniej. Na przykład w Anglii mało kto dzisiaj myśli o malarii, Moskity są nieznane. Musimy jednak pamiętać, że wypadki malarii zdarzają się także i w W. Brytanii dla tej prostej przyczyny, że przy dzisiejszym rozwoju lotnictwa, ktoś kto jeszcze wczoraj był w Karaczi lub w Kongo może jutro ulec atakowi tej przykryj choroby w zupełnie „niemalarycznym“ klimacie swego miasteczka.

Dr Michał

NOWE WYNAZDKI

MIKROKAPSUŁKI

Mikrokapsulacja jest chyba jednym z niewielu wynalazków współczesnych, które w stosunkowo krótkim czasie znalazły bardzo szerokie zastosowanie tak w gospodarstwie domowym, jak i w przemyśle. Jak już bywało z wieloma innymi wynalazkami, człowiek raz jeszcze podpatrzył naturę i wykorzystał ją do swoich celów. Wszyscy oczywiście wiemy jak wygląda jajko. Jest to zosobnik o charakterystycznym kształcie, zawierający płyn, o skorupce bardzo kruchej, łatwo tłukącej się, a jednak wystarczająco mocnej, aby można było nim manipulować podczas na przykład pakowania czy transportu. Pojemnik taki nadaje się idealnie do magazynowania i transportu cieczy, a po rozbiciu skorupki ciecz ta może być łatwo zebrana do innych pojemników. Oto wzór mikrokapsulacji. Mikrokapsulacja jest procesem chemicznym, w którym kropelki cieczy zostają otoczone odpowiednim materiałem. Materiał ten po przejściu procesu stwardnienia, tworzy mikroskopijnej wielkości kapsułki. Materiały użyte na otoczkę zależą oczywiście od cieczy, którą się okrywa. Mogą one być rozpuszczalne w wodzie, lub w rozpuszczalnikach organicznych, bardzo twarde, pękające tylko pod wysokim ciśnieniem, lub też bardzo miękkie, konsystencją swą przypominające żelatynę.

Dlaczego właściwie ten wynalazek wzbudza tak wielkie zainteresowanie wśród naukowców i producentów? Otóż zastosowanie go może w bardzo dużym stopniu wpłynąć na nasze życie w przyszłości oraz na rozwój zupełnie nowych przemysłów.

Wyobraźmy sobie astronautów w drodze na planetę Mars lub Wenus. Muszą wziąć ze sobą zapas pożywienia, któryby im wystarczył na tygodnie lub nawet na miesiące. Cóż miałby astrona-

ta zrobić z puszką lub plastikowym pudełkiem po zjedzeniu obiadu? Wyrzucić — gdzie? Całe więc pożywienie jakieś zabrał ze sobą będzie składało się z kapsulek pokrytych materiałem łatwym do strawienia. A więc problem opakowania zostanie w ten sposób rozwiązany, gdyż astronauta skonsumuje kolację razem z jej opakowaniem.

Rycyna lub tran nie należą do przyjemnie pachnących środków. Pod względem smaku pozostawiają także wiele do życzenia. W formie mikroskopijnych kapsulek można je dodać do mleka, tak że nie tylko małe dziecko, ale i dorosły nie zorientuje się co połyka, ponieważ kapsułki rozpuszczają się dopiero w żołądku. W farmaceutyce wynalazek ten znalazł już szerokie zastosowanie i może w bardzo dużym stopniu wpłynąć na leczenie pewnych chorób. Zamiast połykać pigułki co kilka godzin, można będzie zażyć tylko jedną kapsułkę składającą się z mikroskopijnie małych kapsulek, których otoczki będą rozpuszczać się w organizmie, w regularnych odstępach czasu, w zależności od składu chemicznego otoczki.

Okres użytkowy lekarstw może być także przedłużony przez zastosowanie kapsulek, które będą nieprzepuszczalne ani dla cieczy, ani dla gazów; w ten sposób będzie można uniknąć rozkładu chemicznego danego lekarstwa.

Zastosowanie środków owadobójczych stwarza duże trudności i niebezpieczeństwo dla zdrowia, można je pokonać przez użycie mikrokapsulek. Płynny owadobójca mogłyby być użyte w formie proszków, których otoczki rozpuszczając się powoli wyzwalająby truciznę, co z kolei powodowałoby, że rośliny byłyby wolne od insektów przez dużo dłuższy niż dotychczas okres czasu.

Organiczne rozpuszczalniki i paliwa, takie jak toluen i benzyna mogą być

zamienione w proszek lub żelatynową masę o zawartości 95 proc. cieczy. Przechowanie i manipulacja takimi materiałami jest ogromnie uproszczona, a ryzyko pożaru znacznie zmniejszone. Proszek taki może być z powrotem zamieniony w ciecz przez prasowanie pod ciśnieniem. Właśnie ta ostatnia metoda została użyta do zaopatrzenia w paliwo amerykańskiej ekspedycji naukowej na Antarktydę, gdzie zapasy benzyny w formie bloków żelatynowych zostały zrucone z samolotów.

Innym zastosowaniem, które cieszy się już dużym powodzeniem jest kapsulacja nowych perfum, którymi pokrywa się powierzchnię np. druków rachunkowych. Podczas wypełniania takiej formy, kapsułki pękają, wyzwalając zapach. Klient w ten sposób otrzymuje rachunek do zapłacenia, a jednocześnie reklamę nowej perfumy. Należy tylko mieć nadzieję, że odurzony miłym, a nowym zapachem — odbiorca chętniej taki rachunek zapłaci...

Jak więc widzimy, zastosowanie mikrokapsulek jest bardzo różnorodne i w dużym stopniu zależy od pomysłowości i przedsiębiorczości inżynierów i naukowców, którzy obecnie wykorzystują tę metodę aby nie tylko ułatwić życie, ale także uprzyjemnić.

ZANIEDBANY WYNAZEK

Mniej więcej czterdzieści lat temu Amerykanin J. Lillienfeld opatentował w Kanadzie, a w kilka lat później i w Stanach Zjednoczonych, swój wynalazek, będący metodą i aparatem kontrolującym przepływ prądu elektrycznego. Wynalazek jego nie był niczym innym, jak formą tranzystora, składającego się z dwóch płytek szklanych, pokrytych pewną substancją chemiczną i przedzielonych folią aluminiową. Oczywiście żaden inżynier obecnie nie przyjąłby wytłumaczenia Lillienfelda w jaki sposób te przyrządy działały. Najważniejszą jednak rzeczą było to, że działały one w sposób podobny do współczesnych nam tranzystorów.

Wydaje się nam teraz wprost nieprawdopodobne, by wynalazek o tak wielkim potencjale został pominięty w tamtych czasach, chociaż inżynierowie borykali się właśnie wtedy nad udoskonaleniem lamp termo-elektronowych. Prawdopodobnie trudności w masowej produkcji wynalazku p. Lillienfelda stanowiły jedyny powód do zaniedbania tego odkrycia.

Można jednak sobie wyobrazić, jaki miałyby to wpływ na szybszy rozwój elektroniki w latach dwudziestych i trzydziestych, specjalnie przy projektowaniu mózgow elektronowych, czyli inaczej mówiąc komputerów.

W. Lewandowski



Zwornik ze sklepienia prezbiterium katedry w Exeter. Przełom XIII i XIV wieku.

SYRENA HERBEM TWYM ZWODNICZA

Mieczysław Paszkiewicz

wyspach, ale także — jeśli nie przede wszystkim — na południowo-zachodnim brzegu Italii, a więc w Kalabrii i dalej, w głąb Kampanii, aż po Sorrento i Neapol, gdzie kult ich ma świadectwa bardzo wczesne. Sam Neapol powstał obok grobu jednej z syren: Partenope, i wziął od niej swą pierwotną nazwę. W połowie IV wieku przed narodzeniem Chrystusa, wizerunek patronki o pięknej i smutnej twarzy zdobił lokalne monety.

Z podróżnych, którzy oparli się melodyjnym pokusom najwięcej rozgłosu — dzięki Homerowi oczywiście — zdobył Odysseusz. Nie należy jednak zapominać i o drugim, może bardziej godnym podziwu: Orfeuszu, który ocalił siebie i swych towarzyszy — Argonautów nie fortelem, ale poezją. Oto groźnemu urokowi słowa przeciwstawił słowo. Zwyctężył wyższością swej sztuki, używając skutecznie broni przeciwniczek.

NA CZYM jednak polegała moc syrenia? I czemu, wiedząc o niej, nie znaleziono jakiegś niezawodnej obrony; ofiary czy zaklęcia? Otóż tajemnica i potęga czarownicy tkwiła w tym, że Śpiewaczki za każdym razem inną wymyślały pieśń, trafiając ją niechybnie do najtajniejszych tęsknot i pragnień ofiary. Nie należy zapominać, że bogowie i Los obdarzyli je wszechwiedzą: „...bo wszystko wiemy — wołały do Odysza — i co z woli bogów wycierpieli Argiwi na równinie trojańskiej, i co się dzieje na całej ziemi żywiącej rzesze“. I oto brzegi zamieszkiwane przez złowróżbne siostry zdawały już białą kośćmi ofiar. A siła pieśni — jeśli wierzyć Hezjodowi — tak była wielka, że uciszała nawet ślepe żywioły, rozhukane wichry.

Zaciekawia oczywiście skąd się bierze w tych pięknych i utalentowanych stworzeniach owa niszczyielska, mściwa pasja? Nicktórzy widzą w tym skutki słusznej kary jaka spotkała syreny za pychę. Oto śmiały one bezrozumnie opierać się wszechwładzy Afrodyty. Upierały się przy dziewictwie. Rozgniewana Cypryda ukarała je

TRZEBA to sobie powiedzieć wyraźnie: pokrewieństwo syren z olimpijskimi bogami jest nie tylko dalekie, ale wręcz wątpliwe. Zrodziły się one i wyrosły z tej samej ciemnej, ciężkiej siły z której ulepiono ludzkie ciała i dusze. To dlatego znają tak dobrze nasze słabości i pragnienia, dlatego pieśń ich tak jest brzemienna w pokusy; pociągająca i groźna.

Franciszek Bacon, baron Verulam i wicehrabia St. Albans (filozof, ale także dworak, więc mający naturalną słabość do świetnych koligacji i zawitych genealogii) uważa je za córki Achelousa, bożka rzeczno- i Terpsychory, muzy tańca. Byłyby więc syreny po kądzieli wnuczkami Zeusa i Mnemozyny-Pamięci. Ta z kolei jest córką Uranosa-Nieba i jednej z Tytanid, córki tegoż Uranosa i Gei-Ziemi. Sam Uranos zresztą jest nie tylko mężem ale i synem Gei. Trzeba na to Greków by wierzyć, że to Ziemia zrodziła Niebo! Taka właśnie wiara pochylała się wesoło nad kolebką każdej cywilizacji.

Wróćmy do genealogii syren: Nawet w wersji, którą (za późniejszymi auto-

rytetami starożytności), przyjął Bacon — tylko ich dziadek, Zeus, zasiadał na Olimpie. Wszyscy inni przodkowie należą do bóstw wczesnych, prastarych, lub do ich potomstwa. Otóż wersja pierwotna jest prostsza. Według niej Zagładonośne Śpiewaczki były córkami Ziemi-Gei, więc siostrami (lub przynajmniej przyrodnymi siostrami) Nieba, a także wnuczkami odwiecznego Chaosu, który zrodził Ziemię.

Łatwo zauważyć, że obydwie wątki są tylko odmianami tej samej mitologicznej prawdy: syreny wywodzą się z Ziemi i w tej nieuchronnej ziemskości szukać trzeba wyjaśnienia ich natury i obyczajów, oraz owej pięknej a niebezpiecznej mocy, która stała się, z upływem wieków, ich głównym atrybutem.

ZAMIESZKIWAŁY ustronne wyspy i skaliste brzegi, kusząc śpiewem przepływających żeglarzy, a tym którzy ulegli czarowi pieśni — przynosząc zagładę. Starożytni geografowie (jak np. Strabo) umiejscawiali ich siedziby nie tylko na Sycylii i okolicznych

dając pokraczny kształt pół-ptaków i pozbawiając w ten sposób tego, czego same nie chciały używać. Upokarzająca kara źle miała wpłynąć na uformowanie się charakteru Siostr. Jednak istotnych jego źródeł szukać trzeba głębiej. I nie należy mieć im za złe ich śmiercionośno rzemiosła. Tak także natura, tak zrządził Los — Ciemna Konieczność: Jeśli nie uda się czarodziejska praca, jeśli ofiara oprze się pokusom — jak było w wypadkach Odyssa i Orfeusza — syreny płacić za to muszą własnym życiem. Gina ze smutku jeśli nie potrafią przynieść zażyłości.

Oczywiście śmierć w mitologii nie jest znowu tak ostateczna jak w innych, bardziej wulgarnych, formach istnienia: Często nieboszczyk, jak aktor w teatrze, wstaje z desek sceny by ukłonić się publiczności i, dzięki fantazji twórcy, rozpocząć nowe, pełne przygód, życie. Bądź co bądź, skoro

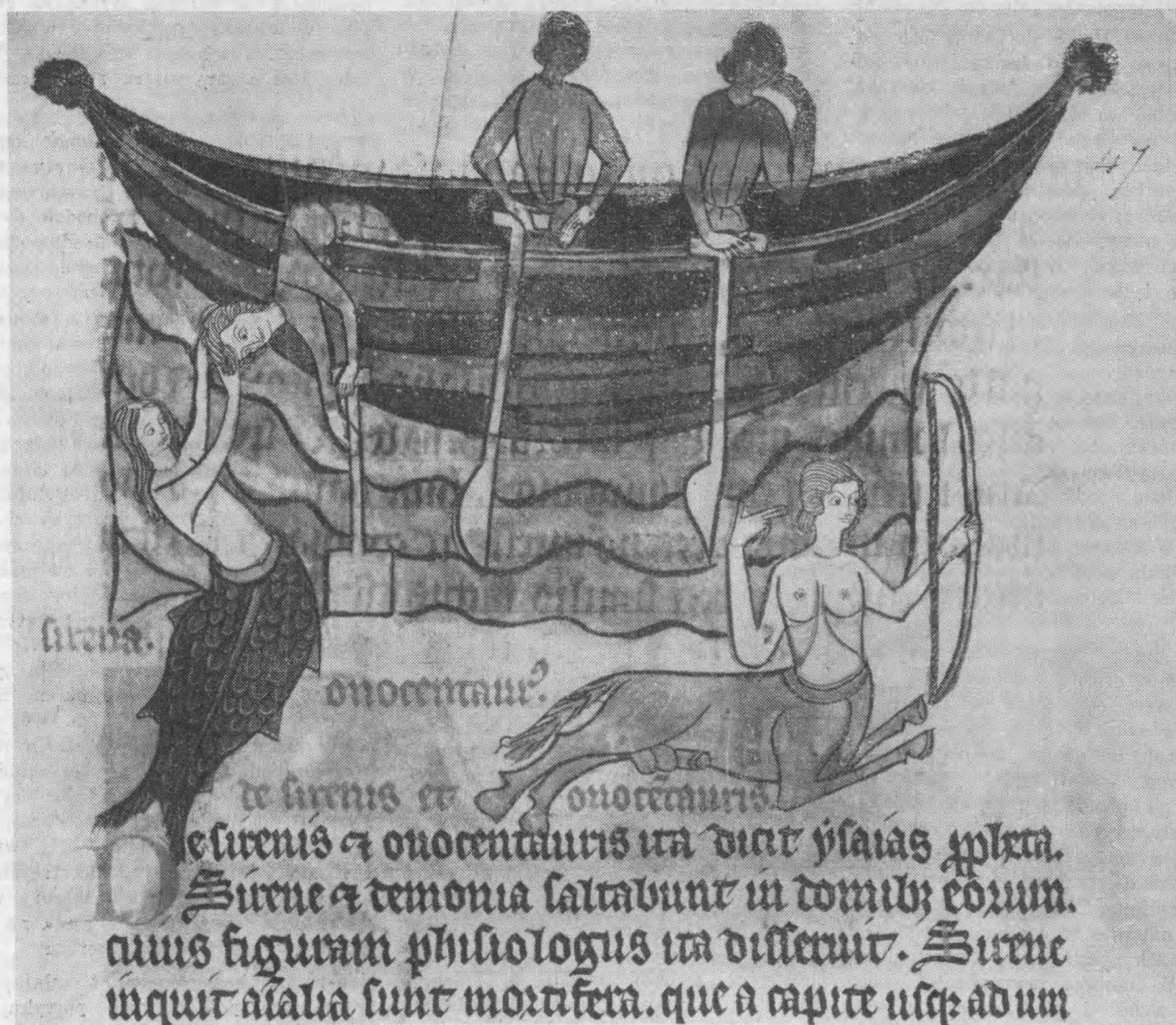
sztuka zwodzenia jest dla syren rzeźbą życia i śmierci nie dziwnego, że z upływem tysiącleci usprawniły ją znakomicie. Dziś doszły już w niej do czegoś w rodzaju doskonałości: udało im się bowiem przekonać badaczy o swym własnym nieistnieniu.

POMNIK ich pomysłowości oglądać było można w 1961 roku na uroczej wystawie falsyfikatów w British Museum. Znajdowała się tam mianowicie zamumifikowana syrena, własność profesora Sir Alister Hardy. Okaz ten jest arcydziełem siedemnastowiecznego kunsztu rymarskiego, składa się bowiem ze zszytych nieznacznie: rybiego ogona i tułowia małpy. Katalog wystawy nie informuje oczywiście o tym ile trudu zadały sobie prawdziwe syreny by wyprodukować ten falsyfikat, a szczególnie, by zwabić nieczulego na śpiew zwierzaka z wysokości palm w chłodną toń. Sztuka udała się w końcu

i najpoważniejsi naukowcy spoczęli wygodnie na laurach „dowodu“ i swej własnej naiwności.

OCZYWIŚCIE łatwiej nabrać zoologów niż poetów. Nie na darmo ojcem tych ostatnich był zwycięzca syren, Orfeusz. Nie wierzą oni do dziś — jak nigdy nie wierzyli — w podstępne, fałszywe *nieistnienie* wodnych śpiewaczek. Ale tą porażką syreny się nie martwią. Wiedzą bowiem, że jeśli poetów nie łatwo jest oszukać w ich własnym świecie, świecie wzruszeń i bajki, to za to bez trudu pokonać ich można jasną falą włosów, kapryśnie wtórującą rytmowi pieśni, słodyczą uśmiechu, przepastną głębią oczu, niebezpieczniejszą, bezpowrotniejszą od morskiej topieli.

Tak to więc poci od czasów Homera zaczawszy aż po dzień dzisiejszy żyją z syrenami w ryzykownej komitywie:



Ilustracja z łacińskiego Bestiariusza — Zwierzyńca. Wiek XIV. British Museum. Kolekcja Slone 278. (Copyright)

„...O Train me not sweet mermaid with thy note,
To drown me in thy sister's flood of tears.
Sing, Siren, for thyself, and I will dote.
Spread o'er the silver waves thy golden hairs,
And as a bed I'll take them and there lie;
And in that glorious supposition think
He gains by death that hate such means to die...“

woła Shakespeare w „Komedii Omyłek“ a jest w tym okrzyku i czułość i sporo poufałości.

Przytoczony cytat nasuwa — a równocześnie pomaga rozwiązać — problem językowy, z którym każdy miłośnik i znawca syren boryka się na żyznych w Morskie Panny brzegach Albionu. Język angielski bowiem zachowuje nazwę: „syrena“ (siren) dla kobiety-ptaka, gdy dziewczynę-rybę nazywa „mermaid“. Podział to jednak przestrzegany tylko przez pedantów, a ignorowany z niefrasobliwą pogardą przez poetów, jak sam ich arcyksiążę Wilhelm, w cytowanym fragmencie udowodnił, zwracając się do tej samej istoty na przemian, obu nazwami.

W Polsce Staff, Leśmian i inni, próbowali wprowadzić „pannę morską“ czy „pannę wodną“. Była śliczna, ale nikt jej nie chciał. Miejsca w sercach i na ustach zajęte już były przez syrenę, a także przez jej bliską krewną — rusalkę. Francuzi znają także jedną tylko nazwę idąc w tym za łaciną i uważając widać, że skrzydła, szpony, ogon, to tylko cechy stadiów rozwoju tej samej w gruncie istoty.

Bo rzeczywiście, z wiekiem syreny coraz bardziej z pół-ptaków dojrzywały w pół-ryby, chociaż proces ten odbywał się opornie. Forma kompromisowa — łącząca uroki dziewczęce z rybim ogonem, skrzydłami i ptasimi szponami występuje nie tylko we wczesnych bestiariuszach-zwierzyńcach ale nawet w herbie Warszawy z przełomu XVI i XVII wieku, zdobiącym widok miasta w VI tomie „Civitates Orbis Terrarum“ Brauna.

Owa „ptasia“ forma miała swe wytłumaczenie, poza wspomnianą już zemstą Afrodyty, także w fakcie, że syreny w swej wczesnej młodości spełniały, obok uwodzenia podróżnych, jeszcze inne, poważniejsze funkcje: w opiece nad poezją i muzyką współzawodniczyły z Muzami, towarzyszyły umarłym w ich ostatniej drodze przez Styks, szukały uprowadzonej przez Hadesa Persefony. Otóż kształt ptasio-rybi był w napowietrznych podmorskich i podziemnych podróżach bardzo przydatny. W nowych warunkach, wobec nowych zadań i obowiązków, nowego życia, także i powolna zmiana kształtu nie powinna dziwić.

SMIERĆ po klęskach zadanych przez Orfeusza i Odyssa stała się dla nich nie tylko początkiem nowego życia ale i cudownego rozmnożenia. W starożytności uważano, że jest ich dwie, trzy, w najlepszym wypadku osiem. Tymczasem od wczesnego Średniowiecza pojawiają się masowo. Spotykamy je wszędzie; na skałach przybrzeżnych i w grotach, na pełnym morzu, w zaciszu mniszych księgozbiorów, ale najczęściej w kościołach: oplatają wyzywającą siedzenia w stallach, gnieźdzą się w ciasnym kręgu zwornika, nie brak ich na chrzcielnicach, kapitelach kolumn, tympanonach.

Zapewne furtką, którą zdołały się przecisnąć ze świata antycznego, ze śródziemnomorskiego blasku, w pobożny półmrok romańskiej katedry, w świadomość młodej, ciekawej dziwów Europy — były klasztorne biblioteki. Tam powstał —

Zwierzyńiec — Bestiariusz,
dzieło poważne, zoologii i moralności poświęcone. O jego popularności świadczą zdumiewająca ilość przeróbek, kopii, tłumaczeń, „wydań“, które zachowały się do dziś.

Powiązania tej książki ze starożytną literaturą są oczywiste. Mnicha, który ją pisał i tych jego współbraci, którzy uzupełniali dzieło, obowiązywała — obok innych cnót — pokora. Zamiast wierzyć własnemu doświadczeniu, o którym wiedzieli że jest zawodne, woleli czerpać swe informacje z tak niewątpliwych autorytetów jak Pliniusz, Solinus, w pewnym sensie nawet Arystoteles, a przede wszystkim ów tajemniczy anonim, którego zwykło się nazywać „*Physiologus*“.

G. C. Druce, niestrudzony badacz rzeźbionej i malowanej fauny średniowiecznej za najwcześniejszy znany *Bestiariusz* uważa fragment rękopisu z X wieku zachowany w Bibliotece Królewskiej w Brukseli. Syreny wyglądają tam bardzo podobnie do tych, które — na amforze w British Museum — atakują Odyseusza: nie wiele różnią się od drapieżnych ptaków.

Ale już ta, która za czuprynę wciąga do wody wioślarka — zdołająca manuskrypt z XIV wieku w kolekcji Slone — to powabna, jasnowłosa dziewczyna od bioder w dół figlarnie udająca rybę. Zdumiewa to nieszczęsny chłop-

ca, który, zamiast myśleć o zbawieniu duszy i ciała, wytrzeszcza oczy na miejsce gdzie zaczyna się ów rybi kształt, wyglądający bardziej na obciśniętą suknię czy pidżamę, niż na integralną część ciała. Tak właśnie syrenę przedstawiano najczęściej: taką widzimy choćby na mizerykordiach w Carlisle, Ludlow, czy (szczególnie wyzywającą) w Westminster Abbey, w kaplicy Henryka VII.

Nie powinno to dziwić: średniowieczni malarze, rzeźbiarze, snycerze lubili rozwiązywać zagadki, dociekać prawdy, a przy tym myśleli praktycznie. Wielka i coraz rosnąca ilość syren zmuszała ich do dania odpowiedzi na pytanie: jak się one rozmnażają. Nie śmieli jednak powiedzieć — czy raczej pokazać — ostatniego słowa. Uczynił to wreszcie mistrz, którego imię wypisane być winno ozdobić zarówno na kartach podręczników anatomii jak i prawdomówności. A imię jego sprawiedliwy Los ocalił: Wiemy bowiem niemal z pewnością, że sprośną syrenę na zworniku w prezbiterium katedry w Exeter wyrzeźbił, u schyłku VIII wieku Wilhelm Montacute, mistrz z Somerset.

DZIEŁO to zresztą pomaga ugruntować inną jeszcze — poza anatemią syren — prawdę. Prawdę o swobodzie — ryzykownej swobodzie — jaką się cieszyli artyści w Średniowieczu, o tolerancji ówczesnego społeczeństwa i Kościoła. Wątpię bowiem czy dziś znalazły się biskup, który wnosząc nową katedrę, zezwoliłby na umieszczenie podobnej rzeźby na stopie prezbiterium, w bliskim sąsiedztwie głównego ołtarza. A Tomasz de Bytton, biskup Exeter w owych latach odznaczał się nabożnością. Wiadomo o nim przykład, że wyjednał u Bonifacego VIII odpust dla tych, którzyby chcieli modlić się za jego wieczny spoczynek, zapisał sporą część majątku na msze w intencji swego zbawienia (jak zresztą i na schroniska dla trędowatych); wznosił i odnawiał kościoły. Nie był więc bynajmniej libertynem. Był tylko niezwykle światłym dostojnikiem Kościoła. A przy tym pasterzem swej diecezji, dbałym o dobro wszystkich istot, którymi podobało się Panu ją załudnić. Wszystkich — nie pomijając syren. Postąpił podobnie, choć może nie tak krańcowo, jak w połowie XII wieku mistrz z Barfreton (lub Barfreystone, jak wolą pisać nazwę autochtoni), wioski położonej w hrabstwie Kent, na południowy-wschód od Canterbury.

Tam, w kościele św. Mikołaja, na tympanonie południowego portyku, w całej glorii zasiada Chrystus otoczony aniołami i monarchami. Ale niżej, w

zwojach fantastycznej roślinności cisną się dziwne stwory, mieszkańcy Bestiariuszy. A najbliższej łagodnych, bosych nóg Zbawiciela — dwie syreny: jedna w ptasiej, druga w rybiej pół-postaci. Pan na kolanie oparł księgę, drugą dłoń wznosił w górę, jakby pouczał, że cały świat — realny i fantastyczny — i wszystkie zamieszkujące go dziwy są dziełem Stwórcy, należy się im więc szacunek, czułość i miejsce każdemu z nich właściwe.

PRZYZNAC trzeba lojalnie, że wyrozumiała sympatia, a nawet czułość jaką darzyli syreny artyści, a głównie rzeźbiarze i snycerze, nie była w pełni usprawiedliwiona przez źródło ich natchnienia: tekst Bestiariusza. Rzecz w tym, że jednym z dwóch głównych celów tej książki było umoralnienie. Dlatego każde opisane stworzenie, każda nawet stworzenia takiego czynność czy cecha, miała znaczenie symboliczne. Otóż syrenom przypadło — czemu trudno się zresztą dziwić — symbolizowanie pokus. A szczególnie tych pokus, którymi wabi i zwodzi sztuka:

„Syreny... — pisze w XII wieku cysterski mnich z Rewesby — wydają z siebie pieśni w melodyjnym sposobie, pieśni bardzo piękne, którymi oczarowują uszy żeglarzy i zwabiają ich ku sobie. Kuszą słuch tych niešťęśliwców cudowną słodczą rytmu... Tak to właśnie niešťwiadomi i nieostrożni ludzie bywają omamiani ślicznymi głosami, oczarowani bezwstydem, ostentacją i rozkoszą, lub gdy stają się rozwięzli dzięki komediom, tragediom i wszystkiemu co temu podobne. Tracą oni całą tężyznę umysłu jakby zapadali w sen i oto nagle drapieżny szpon Nieprzyjaciela spada na nich“.

Najwidoczniej rzeźbiarze, albo nie czytali Bestiariuszy, ograniczając się do oglądania obrazków, albo nie wierzyli — sami będąc artystami — by sztuka w jakimkolwiek swym przejawie przynosić miała duszom zgubę. Przedstawiają bowiem syreny z sympatią i w sposób powabny: niekiedy z rybą w dłoni, ale najczęściej z grzebie niem i lustrem, długowłosa, zalotna, godną pożądanja.

Taką musiał wyobrażać sobie Cyprian Norwid gdy o niej, a równocześnie o Warszawie, pisał w „Dedykacji“:

— *Syrena herbem twym zwodnicza
Lecz ja zmierzylem Ocean,
A pamiętam Cię z oblicza,
Niekiedy równie zapomniany!...*

Mistrzostwo poety polega m.in. na tym, że pozornie przeciwstawiając Mia-

sto i jego kapryśną Opiekunkę w istocie utożsamia je. Bo to przecież dzięki owemu szczególnemu urokowi, którego Warszawa nauczyła się od herbowej patronki — on, wędrowca, nie zapomniał o niej. Domyślamy się, że urok ten jest tak wielki, prawie magiczny, jak urok śpiewu syreny. Element podróży morskiej gra tu dodatkową ale ważną rolę w formowaniu skojarzeń. Bo na skojarzeniach w naszym umyśle, nie na konkretnych obrazach, polega wywołane wzruszenia. Gdy zwrotkę tę przeczytać „na świeżo“, bez próby analizowania, to Miasto poety nabiera w naszej wyobraźni jakby dziewczęcych, a przy tym bajkowych cech. Jest w tym uroku jednak — jak w syrenie — niepokój. Przeczucie tragiczne.

Przeczucie to odezwalo się późnym echem: Gdy przed ostatnią wojną postanowiono wzniesć nad Wisłą pomnik syreny, rzeźbiarka, Ludwika Nitschowa, użyła jako modelki młodej dziewczyny, Krystyny Krahelskiej. W czasie wojny Krystyna wstąpiła do Armii Krajowej. Była autorką popularnych piosenek żołnierskich. Zginęła w pierwszym dniu powstania warszawskiego, w nieudanym ataku na Dom Prasy...*)

ALE DZIELNA syrena warszawska, z mieczem i tarczą, należy w swym rodzie do wyjątków. Zwykle urok pieśni i wdzięk postaci bywały jedyną ich bronią. Bronią, którą niosły — jak świadczą żeglarskie opowieści — nawet na dalekie, nieznanne wody.

Dr E. Behelly-Hennedet zapewnia, że Krzysztof Kolumb napotkał trzy syreny u brzegów San-Domingo. John Smith w swej drodze do Ameryki, zbliżając się już do Nowego Łądu w 1614 roku widział — wielkooką i zielonowłosą. Dnia 17 lutego 1603 roku „...wielu wiarogodnych ludzi widziało rybę-kobietę... u przylądka Gylmanes, w parafii Pendine, w hrabstwie Carmarthen“ (w Południowej Walii). Z inną, siedzącą na Czarnej Skale koło Liverpool rozmawiał John Robinson; wrócił bezpiecznie do domu, ale zmarł po pięciu dniach.

W latach dwudziestych XIX wieku widzieli syreny podróżnicy udający się ku Biegunowi Południowemu. Dużo wcześniej, w 1430 r. burza wyrzuciła jedną na brzeg holenderski, niedaleko miasteczka Edam. Biedaczka ugrzęzła w mule i tak była wyczerpana, że pozwoliła się ubrać i poić mlekiem. Z cza-

*) Monografię o Krystynie Krahelskiej wydało w roku 1964 w Londynie Koło AK swoim nakładem.

sem nauczono ją prząść. Znikła nagle i bez śladu.

W wiosce Zenner, w Kornwalii, na ławce w parafialnym kościele wyrzeźbiono — zapewne jeszcze w XV wieku — portret syreny, która zakochana w chłopcu z chóru, Maćku Trehwella, zwykła była przypluwać strumieniem, wbrew prądowi, od nadmorskich skał, by słuchać jego śpiewu. Siadywała na tej właśnie ławce. Kiedyś oboje zniknęły na zawsze. Ale w grocie Pendour sły chać niekiedy coś jakby strzępy miłosnej pieśni dobywającej się spod fal. Nie odważyłem się tam zejść i powstrzymałem przyjaciela. Posłuchał niechętnie, z żalem i dąsem. Ale widzieliśmy z daleka kormorany i mewy siedzące na skałach spokojnie. Śpiew z grotty tylko dla ludzkich uszu był wi dać słyszalny, tylko dla człowieka niebezpieczny.

WYPADNIE jednak przerwać ten katalog, by w powodzi faktów nie utopić sprawy najważniejszej: kruchości uroku. Bo nie ulega chyba wątpliwości, że syrena jest uosobieniem uroku, lub raczej samym urokiem. Dlatego właśnie widzujemy ją w tak różnorodnych sytuacjach i kształtach. Dlatego to co o niej wiemy pełne jest sprzeczności. Bo sprzeczności niemal zawsze urokowi towarzyszą, a pozorny brak konsekwencji najskuteczniej strzeże go przed spowszednieniem, przed banalnością.

Tłok, pośpiech, arogancja naszych dni, powszechna a płytka wiedza połączona z równie powszechnym analfabetyzmem uczuć — wszystko to nie sprzyja urokowi, płoszy syreny. Skazuje je — zdawałoby się — na zagładę, lub co najmniej na wygnanie w jakiś skromny, ciemny zakątek historii kultury. Na szczęście niszczycielska, ślepa moc władza tylko powierzchnią życia — tam, gdzie oślepią wrogi blask sztucznych słońc. W głębi, w zielonym półmroku, panuje młoda ciekawość. Niepokój. Wszystko zachęca do podróży. Aż po horyzont roztacza się granatowa topiel. Bieleją tajemnicze wyspy. Wołają melancholijne głosy, których nie umiemy, nie śmiemy nazwać.

I każdy z nas, oczami wilgotnymi z tęsknoty, widzi kalabryjski brzeg i sam układa fatalną pieśń, sam podpowiada ją uroczym śpiewaczkom. To w nas ukrywa się klucz ich wszechmocy.

Niekiedy umiemy znaleźć w sobie głuchą siłę; potrafimy się oprzeć. Na wargach pozostaje wtedy gorzki smak tryumfu. Reszta życia upływa w żalu za utraconą pokusą...

Mieczysław Paszkiewicz

ŻYCIE KULTURALNE POLSKIEGO LONDYNU

LITERATURA: Rok przedmilenijny był w kilku dziedzinach rokiem wyraźnego zastoju, a co najwyżej pierwszych przejawów przebudzenia się życia w kilku ważnych dziedzinach polskiego życia kulturalnego na emigracji. Po uroczystościach swego 25-lecia teatr zamarł niemal zupełnie. Dopiero po rocznej przerwie przebudził się i teraz rzec by można prawie że kwitnie jak za dobrych lat, wbrew wszystkim pesymistycznym przewidywaniom i wbrew nieuchronnym procesom jakie następują w szeregach głównych jego przedstawicieli. Podobnie stało się w dziedzinie literatury, jakkolwiek tutaj sytuacja wydaje się jeszcze cięższa — to paradoks — niż w teatrze. Minęło chyba pół roku od urzędzonej przez Związek Pisarzy „dyskusji podłużnego stołu“ na temat „Czy literatura emigracyjna ma przyszłość?“ z dość minorowym wydźwiękiem, że jeśli w ogóle ma przyszłość, to nie dla każdego z jej przedstawicieli. Obecnie Związek Pisarzy urządził kolejny zbiorowy „Wieczór lekkiej noweli“, którego cechy bohaterskie upatrywać można w tym, że był próbą zaatakowania zagadnienia literackiego, bynajmniej nie najłatwiejszego.

Nie ma bowiem medium bardziej opornego dla słuchaczy, jak czytanie dłuższych wyjątków prozy opisowej, o wątlej akcji dramatycznej i o niewyszukanej problematyce intelektualnej. Sprawy nie ułatwiło też postawienie przez przewodniczącego zebrania J. Żywnię wysokich przeszkód autorem uczestniczącym w tym popisie, w postaci klasycznej teorii „noweli należącej do najtrudniejszej formy utworu literackiego“. I oto, jak w tym wysiłku do doskonałości przyszło brać tę przeszkodę przez poszczególnych uczestników wieczoru.

Pierwszą była Teodozja Lisiewicz, jedna z najplodniejszych pisarek emigracyjnych, zarówno w zakresie form teatralnych, jak i prozy beletrystycznej. Odczytała ona nowelę pt. „Młode pokolenie“, której sytuacja rzucona została w fantastyczną przyszłość (życie przeważnie na setnych piętrach budynków miejskich i zdolność latania na własnych skrzydłach), a tęsknoty i

LITERATURA ET CONSORTES

ideały sprowadzone zostały do zwykłych marzeń duszy romantycznej, w myśl zasady — mającej już długą tradycję — że wszystko się zmienia, tylko człowiek nie ulega zmianie. W Teikhard de Chardin, założenie to wydaje się biec trochę przeciw prądowi.

Adolf Fierla wycofał się z współzawodnictwa i zamiast noweli i do tego „lekkiej“ dał długi wspomnieniowy raport z uroczystości ku czci Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie r. 1932. Prostota i szczerłość autora złożyły się na „archaizowaną malowaną“ o urokach regionalnej makaty.

Gen. Z. Bohusz-Szyszko sięgnął do swego dłuższego opowiadania, wydane już w r. 1941, pt. „Szulcr“. (W zbiorze „Wrześniowym szlakiem“, Londyn, 1942). Dzięki atrakcyjnej i niepozbawionej cech humoru tematyce prostymi środkami pisarskimi osiągnął żywy oddźwięk u słuchaczy.

Niewątpliwie najkunsztowniejszą z przedstawionych była nowela pt. „Powrót“ Mieczysława Lisiewicza, powrót z lotu bombowego, łącząca wierność faktyczną z stylizowanymi elementami surrealistycznej psychologii.

Znów nie nowela, a gadkę góralską opowiedział Jan Walewski, z właściwą sobie swadą na temat jak „Górale wybrali wójtów kobietę w Odrowążu“ w r. 1928. Wieczór zamknięty został odczytaniem przez T. Lisiewicza opowieści Beaty Obertyńskiej pt. „Konkury“ (sprzed stu laty). Pozostawiła ona niewątpliwie w pamięci obecnych wspomnienie tętentu galopujących snów.

KONTYNENTY: Życie literackie nie ścieśnia się bynajmniej do zorganizowanych ram i raz po raz wzbiera to mikami prozy nowelistycznej zapóźnionych lub nowych talentów lub szuka sobie innych form manifestacji. Do tych ostatnich należą kolacje „Kontynentów“, które dzięki doborowi atrakcyjnych przynęt zyskują sobie coraz więcej popularności. Ta, trochę kosztowna dla sprawozdawcy, forma zebrań zmusza go do posługiwania się echemi, jakie one znajdują w oficjalnym organie grupy. Stąd wiadomo z ostatniego numeru za styczeń i luty br., że styczniowa kolacja ściągnęła tylu amatorów, że salka w Domu Kombatanta nie mogła ich wszystkich pomieścić. Zaciekawienie wzbudził udział Romana Polańskiego, reżysera filmów „Nóż w wodzie“ i „Repulsion“ (Odraza), którego udział w jednej z poprzednich kolacji zawiódł. Niewątpliwie uwagi tego jednego z najwybitniejszych młodych reżyserów współczesnych zasługiwałyby na utrwalenie i udostępnienie szerszemu kręgowi zainteresowanych za pośrednictwem miesięcznika.

To samo odnosiłoby się do zagajenia i dyskusji, jaka miała miejsce na lutowej kolacji, poświęconej sztuce S. Mrożka „Tango“ z udziałem dr L. Kielańskiego, jeśli tego rodzaju zebrania nie mają mieć tylko ograniczonego znaczenia, chwilowych spotkań o charakterze towarzyskim, które „przemijają z wiatrem“. Marcowa Kolacja „Kontynentów“ poświęcona była dyskusji nad książką Józefa Mackiewicza „Lewa wolna“ zagajonej przez Lwa Sapiehe, autora „Wojny z wysokości siodła“.

O tym, jak forma b'esiady jest dziś popularna, świadczy również fakt, że z okazji pobytu w Londynie Walerego Tarsisa, autora „Sali 7“, uchodzący PEN-CLUB urządził kolację w „Ognisku Polskim“ na 80 osób. Z uwagi jednak na zasadniczy motyw polityczny związany z tym zebraniem, wychodzi ono przynajmniej „jedną nogą“ poza ramy tej kroniki.

ODCZYTY: Odbytwane się jednocześnie w Londynie dwóch kursów wiedzy o Polsce Współczesnej, jednego popularnego i związanego bezpośrednio z Millennium i drugiego na poziomie Wolnej Wszechnicy, ożywienie akcji odczytowej organizacji kobiecych, stała działalność naukowa Polskiego Towarzystwa Historycznego, a nadto szczególne ożywienie się ośrodka wiedzy wojskowej, razem z przebudzającym się życiem literackim składa się przy wciąż żywych echemi soborowych na niezwykle intensywne życie intelektualne w ostatnich miesiącach środowiska londyńskiego. Szczegółowe zreferowanie 12 odczytów, jakie miały miejsce mniej więcej w ciągu ostatnich kilku tygodni rozbiłoby całkowicie ramy tej rubryki. Ograniczając się do ogólnej charakterystyki wystarczy powiedzieć, że w dalszym ciągu wykładów na Kursie Wiedzy o Polsce Współczesnej mówili pp.: dr W. Czerwiński o rozwoju gospodarczym Polski w latach 1918 — 1939, dyr. J. Poniatowski o ludności Polski, dr A. Ciołkosz o zarysie dziejów Polski Współczesnej (1945 — 1965), a K. Trębicki o dziejach i obecnej sytuacji Kościoła Katolickiego. Dobrze się dzieje, że wykłady te są ogłaszane w prasie i nie tylko mobilizują uczestników kursu, ale również ściągają nowych słuchaczy, których łączna liczba na kursie przekracza już 100, z czego 1/3 stanowią słuchacze czynni, a 2/3 otrzymują wykłady drogą korespondencyjną.

Na kursie Millenniumnym na Devonii p. J. Płoska mówiła o pierwiastkach religijnych w literaturze polskiej. Z odczytów urządzonych przez organizację kobiece wypada wspomnieć o dwóch wieczorach poświęconych książce o W. Ciszka „Z Bogiem w Rosji“ omówionej

przez p. M. Dubanowiczową oraz wieczór z cyklu „Nasze problemy“ o wychowaniu dzieci, z udziałem pp. L. Horbaczewskiej, J. Treszkowej i H. Witkowskiej.

Ostatnio omówiony został bardzo szeroki wachlarz zagadnień wojskowych i historycznych. Gen. G. Łowczowski mówił o dyscyplinie i karze, płk. K. Czechowicz o wojsku mongolskim, płk. A. Sawczyński przedstawił zagadnienia doktryny wojennej u progu II Wojny Światowej. A nadto Sekcja Muzealna P. T. H. „Broń i Barwa“ urządziła demonstrację pokazowej gry wojennej na temat potyczki w początku XIX wieku.

W ramach „Spotkań Posoborowych“ urządzanych przez P. K. S. U. Veritas, odbył się wieczór dyskusyjny poświęcony specjalnie tzw. Schematowi XIII „Kościół w świecie współczesnym“. Pod przewodnictwem p. A. Pospieszalskiego dyskusję zagaili dr Z. Grabowski i red. P. Zaremba. Zebrania te stały się ostatnio bardzo popularne, i z zasady wypełniają sale Instytutu Sikorskiego. Tak samo było i tym razem, zwłaszcza, iż dyskusja dotyczyła jednego z najbardziej aktualnych zagadnień, związanych z Soborem.

TECHNIKA: Czynni byli również i technicy polscy. Stowarzyszenie Elektryków Polskich urządziło dwa odczyty, na jednym inż. A. Ossowski mówił na temat telewizji kolorowej, która od przyszłego roku, z etapu doświadczalnego ma przejść do praktycznej rzeczywistości w W. Brytanii, a drugi p. A. J. Szansera, B. Ec., F. I. L., poświęcony był zagadnieniu „Automatycznych przekładów języków“, szczególnie interesującym, nie tylko ze strony technicznej, ale również i pod względem zastosowań naukowych i gospodarczych.

Temat telewizji powraca w ostatnio wydanym zeszycie „Techniki i Nauki“ (Nr 24 z 1965 r.), gdzie inż. K. Szware, B. Sc. (Eng.), rozważa w swym artykule sprawę telewizji na ultra wielkich częstotliwościach. Poza tym zeszyt zawiera artykuł prof. inż. R. L. Wajdy, o tworzonych sztucznych (plastykach, ich własnościach i zastosowaniu w budownictwie oraz inż. W. K. Kluza, o automatycznej regulacji szybkości wagonów kolejowych na dworcach rozrządowych.

TEATR: Gdy ostatnia sztuka Eugene Ionesco „Pragnienie i głód“ (La soif et la faim), grają w Comedie Française, nie dziwnego, że „Tango“ Sławomira Mrożka dostało się — jeśli nie do Teatru Narodowego — to jednak do Teatru ZASP w „Ognisku“. Po nim, wbrew zapowiedziom, na razie w „Ognisku“, (a nie w Comedie Française lub Teatrze Narodowym) wystawiona będzie nie przeróbka M. Hemara ze sztuki J. Bielawskiego „Natreści“ sprzed 200-tu

lat, lecz tegoż Hemara — dość zupełnie nowego (stąd skojarzenie z Ionesco), a mianowicie komedia pod tytułem niezwykle długim, ale zachęcającym „Pierwiastek z minus jeden, czyli najpiękniejszy dzień w życiu“, w reżyserii autora, pod dyrekcją artystyczną L. Kielanowskiego. O ile „Tango“ dawało sposobność do nawiązań do cybernetyki, to teraz „Liczba urojona“ Hemara wprowadza nas w sedno nawiązań do matematyki i powinna pobić wszystkie dotychczasowe pomysły teatru absurdu, — sama nie popadając w absurd — bo urojenie to zupełnie co innego. Premierę wyznaczono na koniec marca.

A że nie samymi urojeniami człowiek żyje, dano nam zawczasu dobrze zaciągnąć się „Dymkiem z papierosa“, którego zespół zawiązał gościnnie z Wrocławia do Londynu, aby jeśli nie nasycić go głód, to co najmniej zaspokoić pragnienie humoru. Bo, jak uczył nas Oscar Wilde, doskonałość dymku z papierosa polega na tym, że zaspakaja, ale nie nasycza.

Pod tym hasłem przyjąć wypada ten prawie jednoosobowy zespół z przemysłowym Wojciechem Dzieduszyckim, dziś już londyńczykiem honoris et humoris causa na czele. Dwoi się nam on i troi na scenie, przebiera i rozbiera na niej i poza nią, śpiewa i dowcipkuje, jakby strzelał seriami z karabinu maszynowego. Sekundują mu trzy urocze partnerki o różnej barwie i skali talentów: fertyczna Lena Dąbrowska, liryczna Ewa Łagodzka i dramatyczna Halina Dzieduszycka.

Przedstawienie mieni się i miga nam przed oczyma niezwyklej różnorodnością repertuaru, na który składa się dobre pół wieku polskiego kabaretu, od „Zielonego Balonika“ Boya i Szyfmanowskiego „Momusa“. Program wylicza tylko 25 autorów i wykonawców, do których dochodzi jeszcze spora garstka wspomnianych w konferensjerce odtwórców, jak Fryderyk Jarosy i Lopek Krukowski oraz Zula Pogorzelska, Maria Strońska i Mira Zimińska. Te encyklopedyczne zakusy „Dymka z papierosa“ zmusiły go zapewne do wyrobienia sobie właściwego, „szczypankowego“ stylu w podaniu tekstów i melodii. Widz otrzymuje wszystkiego po trochu i pośpiesznie w żywym, nieco surowym skrócie, bez nacisku czy troski o walory głosowe, dykcji czy ruchu, zadowalając się młodzieńczym rozmachem, urodą i pieprzem.

W trosce o rozruszanie widowni niedługo raz po raz przedstawione piosenkarki lądują na kolanach szczęśliwych wybrańców w pierwszych rzędach. Swobodną zabawę przeplatają występy o poważniejszej wartości artystycznej, jak „Majni idźże mame“, czy „Maryla“ Hemara, która jednak w stylizowanej wy-

mowie „wileńskiej“ nie dorównywała klasycznej interpretacji Toli Korian. Scenki podwórkowe“ trafiły jednak na publiczność przesyconą popisami Kociubińskiego u Ref-Rena. Na widowni znalazł się kwiat emigracyjnego kabaretu w Londynie z Zofią Ternę, Lodą Halamą, Renatą Bogdańską i Ireną Delmar na czele, który na premierze, bardzo serdecznie przyjmował popisy kolegów i koleżanek z Wrocławia w programie nazwanym „Spacerkiem po Kabaretach Dawnej Warszawy“.

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY: „O bazyliżku, szewczyku i burmistrzance“ (Legenda starej Warszawy) — oto tytuł nowej sztuki przygotowywanej przez Teatr dla Dzieci i Młodzieży „Syrena“, którego zarząd z p. Sulatyckim na czele urządził konferencję informacyjną dla przedstawicieli organizacji społecznych i zainteresowanej prasy. Stronę artystyczną sztuki i przygotowani scenicznych omówiła kierowniczka artystyczna tego teatru i jego reżyserka p. Regina Kowalewska. Przypomniała, że przygotowywana sztuka której autorką jest Marta Reszczyńska-Stypińska, otrzymała pierwszą nagrodę na konkursie na sztukę teatralną dla młodzieży im. Z. Nowakowskiego i odmalowała tło XVI-wiecznej Warszawy, z okresu, kiedy nie była jeszcze stolicą Polski, i w której rozgrywa się legendarna akcja widowiska. Jest ono tym razem znów zakrojone na wielką skalę, gdyż składa się nie tylko z czterech aktów, ale również z czterech zmian dekoracji wyobrażających Rynek miasta, warsztat szewski, jaskinię bazyliżka i zasobny dom burmistrza. Na scenie występuje 28 postaci scenicznych, w wykonaniu 9 aktorów zawodowych, 9 przedstawicieli młodzieży aktorskiej i trojga dzieci. Wśród aktorów jest J. Jakubówna, T. Lisiewicz, M. Łacińska, D. Michniewiczówna, B. Reńska oraz Ludwik Lawiński, E. Chudzyński i J. Rymśza-Szymański. Pięć piosenek skomponował dr C. Halski w oparciu o muzykę renesansową, dekoracje przygotowuje F. Matyjaszkiewicz, a kostiumy J. Matyjaszkiewiczowa.

O stronie organizacyjnej mówiła p. Olga Lisiewiczowa, która podkreśliła, że dla wystawienia tak wielkiego widowiska trzeba było urządzić je w sali teatru Lyric-Hammersmith, który ma bardzo dużą scenę i mieści znacznie więcej widzów, niż stale używana przez „Syrenę“ sala Rudolf Steiner Theatre. Z uwagi na duże koszty, które łącznie sięgają £1000 — na wystawienie tej sztuki, ograniczyć się trzeba było do 4 przedstawień, dwa w niedzielę 17 kwietnia i dwa 24 kwietnia br. Wymaga to wzmoczonego wysiłku w zakresie należytego zorganizowania widowni, tak aby na

(Dokończenie na str. 41)

LIBAN —

NASZ samolot ma cztery godziny opóźnienia i — zamiast o północy — przylatujemy do Bejrutu o wschodzie słońca. Może z tego powodu nasze pierwsze zetknięcie z tą starą ziemią fenicką jest zupełnie niezapomniane: pasmo górskie Libanu tonie w różnym świetle, poczym wybuchają całą gamą czerwieni, woda zatoki cicha, jeszcze śpiąca, odbija błękit, lotnisko pachnie zapachem żywicy.

W godzinę po przylocie do Bejrutu, o piątej rano w niedzielę, ubijamy wynajęcie samochodu i stwierdzamy z zachwytem, że duch fenicki nie umarł, że żyje on w nowożytnym Libanie. Libańczyk jest w najwyższym stopniu kupcem, handlowcem i to mu jest a priori narzucone samym położeniem kraju i jego brakiem bogactw naturalnych. Istotnie, z jednej strony podłoże Libanu nie zawiera metali ani minerałów, z drugiej strony prawie trzy czwarte powierzchni tego bardzo górzystego kraju nie nadaje się do uprawy. Natomiast Bejrut posiada międzynarodowe lotnisko odznaczające się kolosalnym ruchem — 123 przyloty i odloty dziennie, najbardziej ruchliwe lotnisko całego Bliskiego Wschodu. Przez porty Bejrutu i Trypoli przechodzi przeszło 3.500 statków rocznie, bo to są (z wyjątkiem Lattaguié, syryjskiego portu obecnie w rozbudowie) jedyne porty wylotowe na morze śródziemne całej arabskiej Azji Mniejszej.

Libańczyk jest więc siłą rzeczyją tysiąc pięćset lat.

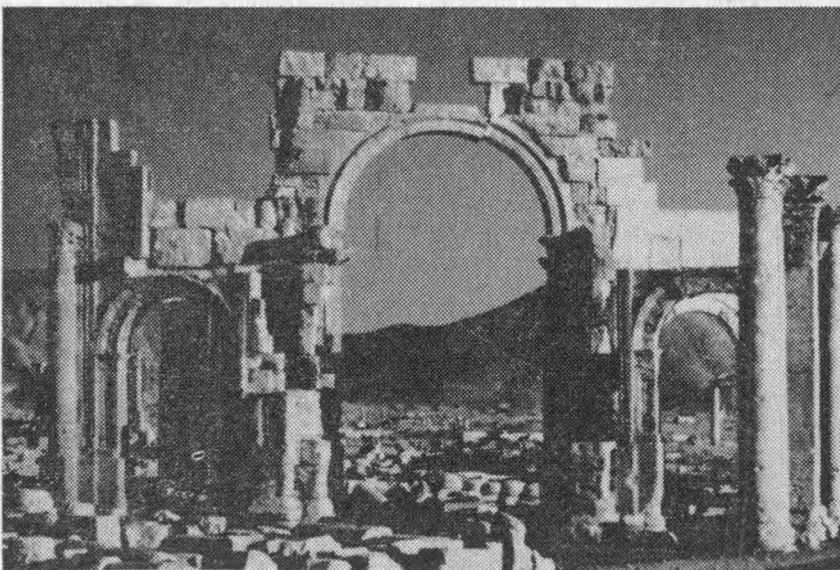
kupcem, jak kiedyś był nim Fenicjanin, potrafi sprzedać wszystko, kupić wszystko, zarobić na wszystkim, i to zupełnie uczciwie, ale niezawodnie. Ta cecha, która mogłaby wydawać się czasem rażąca, jest w pełni okupiona faktem, że jest on jednocześnie gościnnie w sposób rozczulający chwilami z prawdziwą rozrzutnością. Ludzie są zresztą czarujący, bardzo naturalni, bardzo życzliwi, spontanicznie służący pomocą, uśmiechnięci, pełni entuzjazmu, zadowoleni z życia, z siebie i — dosłownie — zakochani we własnym kraju. Mieliśmy sporo kontaktów z przyjaciółmi z różnych sfer społecznych: inteligencją w średnim wieku, studentami, robotnikami, „société“ i każdy powtarzał nam prawie tymi samymi słowami: „Tak, tak, takie są u nas niedociągnięcia, takie popełniamy błędy, ale — nie, drugiego tak wspaniałego kraju, jak nasz, nie ma na świecie“. I, po kilku dniach, po wzięciu się w atmosferę lokalną, jesteśmy w dużej mierze skłonni z nimi się zgodzić.

Zabawny, mały kraik — 200 km długości na 50 km szerokości — z dwoma starymi pasami górskimi Libanu i Anty-Libanu dochodzącymi do 2000 m, a przedzielnymi wysoko położoną, żyzną doliną Beeka, rzymską Coele-Syria, kiedyś śpichlerzem zbożowym Rzymu.

Zabawny, mały kraik, gdzie można w zimie kąpać się w ciepłym morzu i w godzinę później jeździć na nartach wśród drzew, które ma-

Zabawny, mały kraik, niefrasobliwy, radosny, a posiadający przecież potworne problemy: bo co zrobić kiedy ma się 1.750.000 ludności własnej i 1.300.000 uciekinierów arabskich z Palestyny? Albo kiedy się posiada taką różnorodność grup religijnych (z których pewne przetrwały tylko na Bliskim Wschodzie) jak np. Maronicy, katolicy ortodoksyjni, przynależący do kościołów greckiego, syryjskiego lub armeńskiego, rzymsko-katolicy i wreszcie całą warstwę społeczeństwa wyznania muzułmańskiego, dzielącą się też na rozliczne sekty, jak Szyci, Sunnici, Druzowie, Alauici i inne. Ta mozaika różnorodnych religii jest zadziwiająca i niemiłej zadziwiający jest fakt, że pomimo jej istnienia Liban potrafi tworzyć zwartą całość.

Wszystko to prowadzi mnie do różnych „filozoficznych rozmyślań“. Bo Bliski Wschód jest obszarem geograficznym, częścią świata, ale jest bardziej jeszcze pewnym procesem historycznym, Mówić o tych krajach znaczy, mimowoli, nawiązywać do historii. Azja Mniejsza była zawsze na przestrzeni wieków kolebką rozlicznych cywilizacji. W jednym choćby Baalbeku znajdujemy Baal'a fenickiego boga słońca, który później przybrał imię Jupitera Heliopolitańskiego; znajdujemy też Bacchusa, który ma dużo cech wspólnych z Adonidem, i Wenus, która jest rodzoną siostrą Astarte. Chrystus króluje w kościele, Ałach w sąsiednim meczecie, a w synagogach czci się Jehowę. Od Tyru do Kartaginy Molochowi składano krwawe ofiary z dzieci. Nie mówię już o bogach Hettytów, Assyryjczyków, Babilończyków i mieszkańców Sumeru, których imion sobie nawet nie przypominam, ale o których kulcie świadczą ruiny stopniowanych piramid, rozsiane po Mezopotamii. Na Bliskim Wschodzie powstał wreszcie kult Zoroastri i Mitry. Wiele z tych religii umarło już na zawsze i wspomnienie ich przetrwało tylko w kilku — najwyższych na świecie — kolumnach, w małej okrągłej świątyni,



Fotografia autorki

ZIEMIA KONTRASTÓW

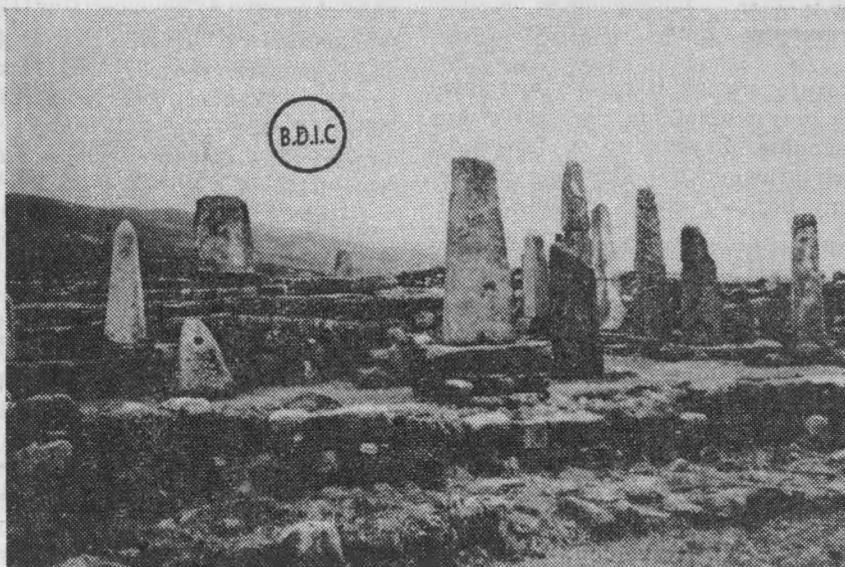
której plan skopiował chyba Bramante, czy w źródle, nad którym kwitną na wiosnę pola asfodeli.

Może część z tych religii umarła, ale przecież ich widmo błądzi nad krajami, które kiedyś je stworzyły i własną wiarą wlały w nieducha życia. Dwie z najbardziej wzniosłych i potężnych religii nowożytnych — chrystianizm i islam, jak zresztą i judaizm, który jest dla nich tym czym korzeń jest dla rośliny — te religie żyją stale.

Dużo jest tych pytań, które człowiek żyjący w Zachodniej Europie i przerzucony paroma godzinami lotu na teren Azji Mniejszej zadaje sobie ciągle. Liban jest wprawdzie zupełnie nowoczesny, Bejrut jest miastem ultra-współczesnym, zabudowanym kilkunastopiętrowymi gmachami, drogi są doskonałe, samochodów jest pewno co najmniej dwa razy tyle, co Libańczyków, stopa życiowa niesłychanie wysoka, ale duch przeszłości jest ciągle obecny, jako coś zupełnie żywego, naturalnego, jak dobry towarzysz i przyjaciel.

Jeszcze parę słów o Bejrucie, bo miasto — chociaż my go nie lubimy — jest zabawne niezwykle rozmachem, barwnym ruchem ulicznym, bardzo rozwiniętym życiem nocnym i pewną niefrasobliwością, typowo wschodnią i śródziemnomorską. Hotele wspaniałe, pokój nie jest pokojem, tylko apartamentem, klimatyzacja, super luksus, na który nigdy nie byłoby nas stać poza ramami zbiorowej wycieczki. Z wyjątkiem bazarów starego centrum miasta wszystko jest tak niesłychanie nowe, że ciągle zadają Zbyszkwowi pytanie — „Ale kiedyż oni zdążyli „to wszystko wybudować?“

Po czym okazuje się „to wszystko“, to jest dużo więcej, niż sobie pierwotnie wyobrażałam, bo buduje się wszędzie, w górach i nad morzem, buduje się olbrzymie gmachy, albo czarujące wille, a nowoczesna architektura w Libanie jest prawdziwie elegancka. Buduje się z lokalnego kamienia ociosanego, jak diament, używając dla ozdoby, ale też i funk-



Fotografia autorki

cjonalnie, pewnych motywów geometrycznych typowo arabskich.

Należy wspomnieć jeszcze o muzeum archeologicznym w Bejrucie, bardzo ładnie urządzone, gdzie dwa obiekty przyciągają najbardziej naszą uwagę: sarkofag z prześliczną płaskorzeźbą, przedstawiający galerię fenicką, i inny sarkofag, o piętnaście wieków starszy od poprzedniego, który jest niebywale cenny, bo posiada pierwszy znany nam napis pismem alfabetycznym. Sarkofag ten pochodzi z Byblos i jest grobowcem króla fenickiego Ahirama.

W obecnych czasach ma się mało wolnych chwil na myślenie i zainteresowanie się; wiem o tym dobrze. I odkąd każdy z nas w szkolnym wieku przyswoił sobie z mniejszym lub większym trudem elementarne zasady alfabetu (mnie osobiście przyszło to tak bardzo mozolnie, że mój ojciec, zrozpaczony, twierdził: „Ta moja biedna kretynka nigdy się nie nauczy pisać“), to już nie myśli się nigdy o tym, jak kolosalnym wynalazkiem był wynalazek alfabetu. Poprzednio używane typy pisma, typy „obrazkowe“ lub ideogramy wymagały używania setek znaków i znajomość ich była dostępna tylko dla bardzo nielicznych fachowców. Jakby wyglądała cała nasza dzisiejsza wiedza i kultura bez tego kapitalnego wynalazku fenickiego? I czym jest w porównaniu z tym radio lub telewizja? Muszę jednak specjalnie podkreślić, bo uważam fakt ten za symptomatyczny, że ten wynalazek został spowodowany potrzebami ma-

terialnymi, związanymi z handlem (łatwość prowadzenia rejestrów itd.), a nie potrzebami literackimi lub naukowymi. Można by podumać o prawdziwej naturze człowieka...

Dosyć jednak filozofowana — życie zaczyna się dla nas w Libanie w momencie wejścia w posiadanie wynajętego samochodu. Jest to Chevrolet, długi jak dwa autobusy i przerażająco szeroki w naszych oczach, przyzwyczajonych do samochodów średnich wymiarów. Zasadniczo tabor samochodowy Libanu składa się z wozów amerykańskich, jest też trochę Mercedesów i Volkswagencików. Samochodów jest potwornie dużo; nigdy nie mogłam znaleźć żadnych statystyk oficjalnych (czy takie w ogóle istnieją?), ale podobny ruch widywałam w Europie tylko na drogach północnych Włoch, w okolicach Mediolanu, podczas największego natężenia ruchu. W końcu nieraz zastanawiałam się, czy Libańczycy nie jeżdżą po prostu w kółeczko po tym swoim małym, zabawnym kraiku. Do tego, reguły jazdy są bardzo specjalne i, powiedzmy, uproszczone faktem, że ich jest przedziwnie, zastraszająco mało. Pierwszeństwo z prawej ani z lewej strony nie istnieje, nie sygnalizuje się, gdy się skręca, nie patrzy się w lusterko. Jedzie się (do przodu albo do tyłu, bo mnóstwo się jeździ do tyłu, dla jakichś niezrozumiałych powodów) i kto się czuje pewniejszy siebie, ten posiada pełną przewagę. Mija się na trzeciego, na czwartego, na białej linii, pod górkę, nie o to chodzi.

Okazuje się, że wszystko jest kwestią przyzwyczajenia i że system gra doskonale. Zrobiliśmy w Libanie i Syrii prawie 3.000 km i nie widzieliśmy najmniejszego wypadku.

W każdym razie, kiedy wzięliśmy po raz pierwszy naszego Słonia, po wyjeździe z garażu byłam tak przeżrana, że scenicznym szeptem błagałam Zbyszka — „Jedź wolno, ooo, wolniusieńko! Jezu Chryste, w życiu chyba tak się jeszcze nie bałam“. Na co Zbyszek z rozbrajająco szczerym uśmiechem: — „A żebyś Ty wiedziała, jak ja się boję...“

I tak, bojąc się oboje (ale coraz mniej), dojechaliśmy do Sydonu. Co zostało z dawnej wspaniałości miasta? Niewiele, bo większość zabytków została przeniesiona do Bejrutu, ale stary port fenicki dziś jeszcze jest używany przez barki rybackie, a olbrzymi kopiec muszli, dochodzący do 50 m. wysokości przypomina, że fabrykacja purpury była ważnym przemysłem w starożytności. Otrzymywało się ją z pewnych gatunków dużego ślimaka śródziemnomorskiego, murexa, i dochodziła ona do takich cen, że na początku imperium rzymskiego założony został monopol na fabrykację purpury (sama nazwa Fenicji znaczy — Ziemia Purpury).

Na małym cyplu, z drugiej strony portu, znajduje się czarujący „Zamek Morski“ zbudowany przez Krzyżowców i to jest pierwsze nasze zetknięcie z zabytkiem tej epoki, których zresztą jest pełno na terenie Libanu i Syrii.

Nad brzegiem morza młodzi chłopcy bawią się w wyścigi konne po mokrym piasku i patrzymy z zachwytem na ich śliczne konie arabskie, smukłe, całe w muskułach, z cienkimi pęciami, z ogniem w oku.

W Sydonie jest jeden z największych obozów uchodźców z Palestyny, są czarujące ogrody i kilometry bazarów z produktami spożywczymi w starych murach obronnych. Nie rozumiem, komu są w stanie sprzedać takie ilości jedzenia, setki, jeśli nie tysiące kilogramów przeróżnych ciast, owoców, zakąsek. Zdobywam się na heroizm, podchodzę do straganu i palcem pokazuję smakowicie wyglądające ciastko. W odpowiedzi,

zawołowany Arab podaje mi cenę w doskonałym języku francuskim. Tak, prawda, wszyscy w Libanie mówią po francusku, kraj jest prawdziwie dwujęzyczny. Libańczyk jest dumny, że w szkolnictwie używa się francuskiego.

Wieczorem idziemy na kolację do niedużej restauracji w równie niewielkiej miejscowości, gdzieś między Sydonem i Bejrutem. Co za kolacja! Duże stoły, a na nich rozstawione narodowe danie libańskie — „mezzé“ — przekąski. O, to jest cały rytuał, bo muszą być przynajmniej 42 rodzaje przekąsek. Do picia: zsiadłe mleko albo arak. Niektóre z tych przekąsek, to zsiadłe mleko — to mi jakoś dziwnie chwilami Polskę przypomina... Arak natomiast, jest to wódka o smaku anyżku, którą rozcieńcza się wodą. Nie znoszę anyżku, uważam, że ten napój jest dziwnym świństwem, ale nie później niż po dwóch dniach dochodzę do wniosku, że jest wyjątkowo odświeżający i „pasuje“ do wszystkiego, co się je i co zresztą jest bardzo smaczne. Całą książkę można by poświęcić wspaniałym owocom z Beeka, pachnącym słońcem i gorącym wiatrem. Te piramidy arbuzów, słodkich, soczystych... Te góry brzoskwiń, z których każda waży pół kilo i każda ma różany kolor wschodu słońca nad Libanem...

Idziemy na przedstawienie folklorystyczne, które znowu daje nam do myślenia (zdecydowanie, trzeba uważać, bo nie jesteśmy do takich wysiłków przyzwyczajeni i szybko się wyczerpiemy). Ale jakimi drogami folklor wędruje? Słyszymy wyraźnie hiszpańskie cante jondo: czyżby ono z Arabami w VIII-IX w. zawędrowało do Hiszpanii? I widzimy tańce, które znamy dobrze i Zbyszek mi szepcze: — „Zupełnie jak kozacy w Białymstoku“. Odszeptuję: — „Albo teraz Czerwona Armia na scenie“.

Po tym widowisku myślimy, mówimy o Polsce: jakie różne wpływy tam się spotykały, krzyżowały, jak, chociaż byliśmy bardzo zachodnio-europejscy silne były prądy ze Wschodu, jak to wszystko, co widzimy tu, w Libanie, czy gdzieś indziej, nie jest dla nas właściwie obce... Ciekawe...

Zofia Wojciechowska

W maju 1908 wyjechałem wraz z rodzicami do Tyflisu. Ojciec pisał wówczas rozprawę na temat taktyki, stosowanej przez Rosjan i Górali w czasie wojen o niepodległość Kaukazu, a ponieważ odpowiednie dokumenty i literatura rosyjska były stronicze i bałamutne, postanowił osobiście zwiedzić pola bitew i zebrać relacje od jeszcze żyjących uczestników walk. Miałem piętnaście lat, więc ojciec postanowił wziąć mnie ze sobą.

Przygotowania do podróży trwały prawie miesiąc. Mieliśmy jechać do Górnego Dagestanu, bo tam urodził się i walczył słynny wódz góralski Szamil i tam stoczono największe i najbardziej krwawe boje. Ojciec zgromadził odpowiednie mapy, pozawierał znajomości z ludźmi znającymi Dagestan i zakupił potrzebny sprzęt.

Najbardziej pomocnym doradcą okazał się miejscowy proboszcz parafii polskiej, nazwiska którego nie pamiętam, a który od kilkunastu lat mieszkał w Tyflisie, doskonale orientował się w miejscowych stosunkach i miał przyjaciół po obu stronach gór. Książd przestrzegał ojca przed niebezpieczeństwem wycieczki w głąb gór bez wojskowej ochrony. Twierdził, że chociaż od zakończenia wojen minęło już 30 lat, to jednak żaden wojskowy lub cywilny Rosjanin nie odważy się jechać tam inaczej, jak pod osłoną conajmniej plutonu kozaków.

Ojciec nie chciał się ubiegać o przydzielenie nam konwoju, gdyż obecność kozaków ograniczyłaby swobodę jego poruszeń i mogła przeszkodzić w nawiązywaniu przyjaznych

GÓRACH

OPOWIADANIE
Z MŁODYCH
LAT

NA

KAUKAZIE

Napisał

Zygmunt Bohusz-Szyszko

(Fragment wspomnień)

stosunków z Góralami, a przecieŜ o to właŝnie mu chodziło. Proboszcz uwaŜał, wobec tego, za konieczne wcześniejsze powiadomienie górali, Ŝe jesteŝmy Polakami i Ŝe jedziemy prywatnie. Wyjaŝnił następnie, Ŝe wśród plemion góralskich, a szczególnie w Czeczenii i Dageŝtanie podtrzymywana jest tradycyjnie przyjaŝń dla Polski i Polaków datująca się z okresu wojen niepodległościowych. Znaczna liczba Polaków, wcielanych wówczas przymusowo do wojska rosyjskiego i wysyłanych na kaukaski front, przechodziła na stronę górali, by bić się przeciwko Rosji. Ksiądz radził, by przy spotkaniach z przygodnymi góralami pozdrawiać ich nie po rosyjsku, lecz polskim „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“. Pozdrowienie to miało być dobrze znane góralom i prawie zawsze zapewniało goŝcinne przyjęcie.

Uczynny proboszcz zaprowadził ojca do znajomego kupca Dageŝtańczyka, który istotnie odniósł się do nas bardzo Ŝyczliwie i od ręki na-

B.D.I.C

pisał list do swego krewnego, właściciela gospody w miasteczku Szyr Urt, z którego mieliŝmy rozpocząć naszą wędrowkę.

Z literatury rosyjskiej i z opowiadań słyszanych w Tyflisie wie dzieliŝmy, Ŝe mieszkańcy północnego Kaukazu słynęli z nadzwyczajnej odwagi, pogardy ŝmierci, niezrównanej zdolności do konnej jazdy i mistrzowskiego wladania bronią, więc byle czym zaimponować im nie było moŜna. Polacy, którzy znaleźli się wśród nich za czasu wojen, musieli posiadać nielada zalety, skoro zdołali zaskarbić sobie nie tylko przyjaŝń, lecz również i uznanie tych groźnych i hardych wojowników.

W drugiej połowie czerwca ruszyliŝmy w podróż wynajętą pocztową bryką, bowiem jechaliŝmy przez góry słynną i rzeczywiŝcie wspaniałą „wojenno-gruzińską“ drogą. Dopiero we Władykawkazie, stolicy północnego Kaukazu, przesiedliŝmy się do pociągu i po kilku godzinach znaleźliŝmy się w Szyr Urt. Było to małe miasteczko, leżące nad brzegiem sporej rzeki Sułak, u wrót Górnego Dageŝtanu. Zgłosiliŝmy się, tak jak to było ułożone w Tyflisie, do gospody starego Dageŝtańczyka, a list jego krewnego zapewnił nam Ŝyczliwość i pomoc w koñcowych przygotowaniach. Gospodarz wysukał dla nas arbę na rzece, wynajął cztery wytrzymałe kabardyńskie wierzchowce z kozackimi siodłami i namówił swych dwóch młodych siostrzeńców, by podjęli się roli przewodników.

Trasę podróŜy i przypuszczalny czas trwania poszczególnych jej etapów ułożył ojciec przed wyjazdem na podstawie map i zebranych wiadomości, ale opuŝciwszy Szyr Urt od razu przekonaliŝmy się, jak bardzo rzeczywistoŝ odbiegała od jego obliczeń. Pierwszym celem podróŜy był rodzinny aul Szamila — Gimry, leżący w dolinie Sułaku w odległości około 60 kilometrów w linii prostej. Pogoda nam dopisywała, droga była dobra chociaŜ bardziej falista niŜ to wyglądało z mapy, siodła kozackie całkiem wygodne, ale juŜ po kilku godzinach jazdy okazało się, Ŝe nasze nogi, a częściowo i siedzenia odmawiają posłuszeŝstwa. Nie przejechaliŝmy w tym dniu nawet połowy zamierzonej odległości i musieliŝmy zanocować w sporym aule

Zuwut. Tylko kąpiel w lodowatych wodach Sułaku i kilka energicznych ćwiczeŝ gimnastycznych, nakazanych przez ojca sprawiły, Ŝe następnego ranka zdołałem z trudem wdrapać się na siodło.

Za miasteczkiem Jewgeniewsk dobra droga uciekła nam na wschód w kierunku morza Kaspijskiego, a my ruszyliŝmy wąską dróŜką na południe do Gimr. Dolina Sułaku gwałtownie się zwęŜiła, a góry po bokach wyrosły do dwóch i więcej tysięcy metrów. Stromizny stały się miejscami tak znaczne, Ŝe przewodnicy musieli zbiegać w dół by do pomocy arbie dołączyć do nas. Sakli i gospód było tutaj mało, więc częściej odpoczywaliŝmy w zacisznych dolinkach przy potoku.

Jeźdźcy dageŝtaŝcy

Podczas jednego z postojów usłyszeliŝmy nagle tętent kopyt koŝskich i dziką wrzawę, szybko zbliŜającą się do nas. Za chwilę na grzbiecie najbliŜszego wzgórze ukazało się kilku jeźdźców, którzy nie zatrzymując się zaczęli cwałem zjeżdŜać po stromym zbocz. Zerwaliŝmy się na równe nogi, a ojciec od ruchowo odpiął pochwę pistoletu lecz zapiął ją zaraz, bo to był tylko wyŝcig, a nie napad. Staliŝmy się ŝwiadcami jednego z takich wyczynów dŜygitskich, o których legendy krąŜyły na Kaukazie.

Jeźdźców było pięciu. Zatrzymali zgrzane konie i patrzyli na nas zdumionym, niezbyt przychylnym wzrokiem. Jeden z nich, postawny i przystojny człowiek w ŝrednim wieku, ubrany w białą czerkieskę i burkę, wysunął się naprzód i, wskazując na nas oczami zapytał o coŝ przewodników po dageŝtaŝsku. Po skwapliwości, z jaką ci ostatni podbiegli do niego i odpowiadali na pytania moŜna było wnioskować, Ŝe jest to ktoŝ znaczny i znany w Górach. Wysłuchawszy odpowiedzi, nieznamy zwrócił się do ojca i płynnie, chociaŜ z góralskim akcentem, zapytał po rosyjsku:

— Panowie sã Polakami?

— Tak. — odpowiedział ojciec.

— Przewodnicy mi powiedzieli, Ŝe pan jest wojskowym ale nie widząc odznak na kurtce nie wiem jak mam tytułować.

— Jestem pułkownikiem.

Usłyszawszy to, góral zeskokczył

z konia, rzucił wodze jednemu z towarzyszy, stanął przed ojcem na baczność, zasalutował i powiedział:

— Nazywam się Osman Bek, jestem podporucznikiem rezerwy Dagestańskiego Konnego Pułku.

Ojciec odsalutował, podał mu rękę, wymieniając nazwisko i dodał:

— to mój syn.

Po przywitaniu się ze mną, Bek mówił dalej:

— Jestem naprawdę wzruszony, że tu na dagestańskiej ziemi mogę przywitać przedstawiciela narodu polskiego, dla którego żywimy szacunek i przyjaźń. Jadę obecnie do starszego brata, który mieszka tu niedaleko i żeni swego starszego syna. Byłoby zaszczytem dla nas, gdyby zechciał pan przyjąć wraz z synem zaproszenie które czynię teraz w imieniu brata. Mam nadzieję, że nie pogardzi pan gościna w skromnej sakli góralskiej.

Ojciec wiedział, że odmowa byłaby poczytana za obrazę, więc wyraził zgodę i wkrótce wszyscy razem ruszyliśmy w dalszą drogę. Bek wysłał jednego ze swych ludzi naprzód, by uprzedził brata o naszym przyjeździe.

„Sakla“ Omara Beka

Po kilku godzinach stanęliśmy na przełęczy, z której otworzył się widok na szeroką dolinę. Jej dno stanowiło zielone błonie, na którym pasło się bydło i konie, łagodne zbocza okolicznych gór były pokryte szachownicą pól i winnic, a wyżej, gdzie góry stawały się bardziej strome, stała ciemna ściana lasu i sterczały iglicowate turnie. Prawą stroną doliny płynął potok, a na jego urwistym brzegu szeroko rozłożyła się góralska wieś. Dalej, w kępie wysokich drzew sterczały dachy większych budowli. Bek wskazał na nie palcem i powiedział:

— Tam jest sakla mojego brata Omara.

„Skromna sakla“ okazała się wielkim dworzyszczem, podobnym do siedzib rosyjskich ziemian. Miała spory ganek, taras z podłogą z płyt kamiennych i rozległy dziedziniec, dookoła którego stały solidne stajnie, obory i stodoły.

Gospodarz, mężczyzna po pięćdziesiątce, uroczyście przywitał ojca przed gankiem, przedstawił go rodzinie i zebrany gościom, powiedział kilka życzliwych słów o Pol-

sce i Polakach oraz podkreślił, jakim zaszczytem dla niego będzie goszczenie w swoim domu of'cera tak wysokiego stopnia.

Mną zajęli się dwaj młodszy synowie gospodarza, poznajomili mnie z kilkoma kuzynami, chłopcami mniej więcej w moim wieku, oprowadzili po obejściu, poczym całą gromadką poszliśmy na łąki obejrzeć i napić w potoku konie.

Słońce miało się już schować za górami, lecz upał jeszcze dawał się we znaki, więc moi towarzysze zaproponowali kąpiel w jezioru, utworzonym wśród skał przez potok podczas dawniejszych powodzi. Nie przeczuwałem, że kąpiel ta będzie dla mnie pierwszą wśród górali próbą sprawności fizycznej i odwagi.

Powyżej jeziora potok płynął głębokim korytarzem skalnym, a górą biegła droga i był przerzucony kamienny most. W pewnej chwili moi towarzysze wyskoczyli wszyscy co do jednego z wody, pędem pobiegli w kierunku wawozu, wołając żebym podążył za nimi, wdrapali się jak małpy na skały i usiedli rzędem na parapecie mostu zwiesiwszy nogi na zewnątrz. Gdy dobiegałem do nich, jeden po drugim z dzikimi okrzykami zeskoczyli z mostu, porwanym prądem wnet znaleźli się na jeziorze, dopłynęli do brzegu i zaczęli wołać na mnie, żebym skakał do wody.

Stanąłem na parapecie mostu i spojrzałem w dół. Ojciec, gdy byliśmy na Krymie nauczył mnie dobrze pływać i skakać, ale nigdy jeszcze nie skakałem z tak wysoko. Do wody było chyba ze cztery metry, a byłem tak speszony, że nie przyszło mi do głowy zeskoczyć nogami w dół, jak to uczynili moi towarzysze. Nie było jednak czasu na rozmyślenia, bo chłopcy wołali na mnie i w ich głosach brzmiał odcień drwiny. Z duszą na ramieniu wykonałem skok, a gdy wpadłem do potoku byłem tak oszołomiony, że nie wygiąłem odpowiednio dłoni i przez dłuższy czas płynąłem nurkiem. Dopiero brak powietrza w płucach uprzytomnił mi że przecież trzeba wypłynąć na powierzchnię. Gdy uczyniłem to, byłem prawie przy przeciwległym krańcu jeziora, bo prąd potoku i tu był bardzo szybki.

Młodzi górale, zaniepokojeni moją długą nieobecnością, zamierzali już skakać do wody by mnie ratować.

to też przywitani mojego pojawienia się okrzykami radości i uznania. Mój skok załmonował im, bo nigdy dotąd nie widzieli skoków prawidłowo wykonanych, a na szczęście tej „duży na ramieniu“ nie mogli dojrzeć. Każdy z nich poklepał mnie po plecach i zwracał się do mnie per „kunak“, co w ich języku oznacza „przyjaciela“.

Na ich żądanie odbyła się na oczekaniu lekcja skoków, a że to byli chłopcy świetnie wygimnastykowani i bez zastrzeżeń odważni, wkrótce już skakali nie gorzej ode mnie. Po powrocie do domu opowiedzieli rodzicom o tych skokach, więc mimo woli stałem się poniekąd bohaterem dnia.

Ojciec wysłuchawszy mojej relacji zapytał:

— Ale pewno pietra miałeś porządne, gdyś skakał pierwszy raz?

— Bałem się, ale co miałem robić, trzeba było skakać.

— Masz rację, chłopcze, trzeba było skakać. Pamiętaj — nie wolno nam przed nimi zblaźnić się.

Próba łowiecka

Następnego dnia ojciec przeszedł próbę znacznie poważniejszą, gdy wyjechaliśmy na polowanie na dziki. Mnie, ze względu na wiek, nie zaliczono do liczby myśliwych, lecz, pozwolono towarzyszyć ojcu. Zatrzymaliśmy się i zsiadli z koni przed wysoką bramą skalną, dnem której płynął potok, spadający sporym wodospadem do rozległej, porośniętej gęstym lasem doliny. Wąska ścieżka, biegnąca wzdłuż potoku, doprowadziła do głębokiej kotliny otoczonej ze wszystkich stron górami. Dno było bagniste i gęsto zakrzaczone. Wzdłuż krawędzi bagna biegło pasmo otwartej poloniny, a za nią stała zwarta ściana lasu. Wąwoz, którym dostaliśmy się tam, był jedynym wejściem i wyjściem z kotliny.

Gospodarz wskazał ręką na krzak kosodrzewiny, sięgający do ramion dorosłego mężczyzny i powiedział do ojca przyciszonym głosem:

— To jest najlepsze stanowisko. Stare odynce nie szukają schronienia w lesie, a wychodzą wprost na tę bramę i idą do niższej doliny. Ale tu nie można spuszczać, bo ranny odyniec nie żartuje a schować się przed nim nie ma gdzie, chyba że

stanie pan na tym oto głazie. Jest na nim bezpiecznie, lecz jest on płaski i goły więc dzik z daleka dojrzy człowieka i skręci w las.

Górale pilnie patrzyli na ojca, w ich oczach, zdawało mi się, igrał ten sam filuterny błysk, który poprzedniego wieczoru widziałem w oczach moich rówieśników.

— Zostanę przy tym krzaku. — odpowiedział ojciec.

— To i dobrze. Następny myśliwy będzie stał pod tamtą rosochatą jodłą, a młodego człowieka wsadzimy na tę oto turniczkę, z której będzie widział dobrze całe polowanie i będzie tam bezpieczny.

Po tych słowach gospodarz z resztą myśliwych ruszył w głąb kotliny, a jeden z górali dopomógł mi wspiąć się na wysoki głaz, z którego jak z loży teatru widziałem całą kotlinę. Rozejrzawszy się, dostrzegłem ze zdumieniem górala z karabinem w ręce, zacząjonego w skalnej wnęce za stanowiskiem mojego ojca. Po polowaniu dowiedzieliśmy się, że gospodarz nie wiedząc czy ojciec jest doświadczonym myśliwym i czy dobrze strzela umieścił za nim na wszelki wypadek najlepszego w tej okolicy strzelca.

Naganiacze z psami już o świcie przeszli kozimi ścieżkami przez góry i po drugiej stronie kotliny czekali na sygnał. Na dźwięk rogu ruszyli z wielkim wrzaskiem w krzaki, a po kilku minutach psy dały głos.

Zwierzyna nie kazała na siebie długo czekać. W odległości około stu kroków od ojca wypadł z gęstwiny olbrzymi, stary odyniec prawie czarny, z gęstą szcztoką siwego chyba na karku i grzbiecie. Gdy znalazł się na twardym gruncie, galopem ruszył wprost na ojca. Dygotałem z podniecenia i nie rozumiałem dlaczego ojciec nie strzela. Z trudem powstrzymałem się od zawołania: dzik!

Dopiero wówczas, gdy zwierzę było w odległości 10-15 kroków, ojciec podniósł sztucer do oka i wystrzelił. Odyniec usiadł na zadzie, poderwał się, przebiegł kilka kroków na chwiejnych nogach i upadł tak, że jego gwizd znalazł się w odległości kilku cali od stóp ojca.

Pod ścianą lasu również zaczęły padać strzały i już wkrótce na zielonej trawie poloniny czarnymi plamami legło kilkanaście dzików. Oj-

ciec zastrzelił jeszcze sporego wy- cinka, a do lochy z warchlakami nie strzelał i pozwolił jej spokojnie wyjść z kotliny.

Po skończonym polowaniu myśliwi i naganiacze zebraли się przy stanowisku ojca. Ich powściągliwe, lecz aprobujące odezwania się, świadczyły o tym, że ojciec zdołał za imponować im zimną krwią i celnością strzału. Gdy nieco później

„Gazawat“ święta wojna o wolność Kaukazu

W drodze powrotnej gospodarz przepuścił naprzód wszystkich uczestników polowania, a ojca i mnie poprowadził z ostatniej przełęczy na szczyt panującej nad nią góry. Znaleźliśmy się wśród ruin starego aulu. Widoczne były tu fragmenty potężnego muru obronnego i czworokątnej wieży oraz rumowisko rozwalonych sakli. Wszystko to było porośnięte trawą i chwastami, pełno tu było jaszczurek i żmij.

— To dawna siedziba mojego rodu, obszerna i bogata, a dzisiaj tyle z niej zostało. Zniszczyli ją Rosjanie, bo w czasie Gazawatu, bronili się tutaj mój pradziad i tutaj zginął. Tylko jego syn, a mój dziadek z kilkoma nukerami, wysłany z wiadomością do Szamila, ocalał. Reszta załogi po zdobyciu aulu została wykłuta bagnietami.

Z dalszej opowieści Beka o historii jego rodu dowiedzieliśmy się, że jego dziadek dostał się później wraz z całą rodziną do niewoli rosyjskiej i tam umarł, a ojciec został przymusowo oddany do korpusu kadetów, po skończeniu którego wstąpił do oficerskiej szkoły kawaleryjskiej, służył następnie w pułku huzarów i na ostatku po stworzeniu przez Rosjan Kaukaskiej Konnej Dywizji, został rotmistrzem i dowódcą szwadronu w Dagestańskim pułku. Zginął w czasie szarży na umocnione pozycje podczas wojny rosyjsko-japońskiej. Służba w wojsku rosyjskim wybitnie przyczyniła się do zwrócenia mu przez cara, po ogłoszeniu amnestii, jego tytułu szlacheckiego „Beka“ i rodowego majątku.

Na zapytanie o udziale Polaków w walkach z Rosjanami, Bek nie umiał udzielić żadnych ściślejszych wiadomości, wiedział tylko, że byli i doskonale się bili. Oświadczył przy tym, że wśród gości weselnych jest

pytałem ojca dlaczego tak długo nie strzelał odpowiedział mi z uśmiechem: „Dla tej samej przyczyny, dla której wczoraj skoczyłeś z mostu prawidłowo, a nie nogami w dół.“

Zabity odyniec był nawet na kaukaskie warunki wyjątkowo duży, a jego szable i fajki przez długie lata stanowiły ozdobę gabinetu ojca i budziły podziw przyjaciół myśliwych.

jego krewny Naurow, który interesuje się tymi sprawami i będzie mógł udzielić ojcu znacznie więcej ciekawych wiadomości.

W domu gościnnego Beka spędzi- liśmy sześć dni, braliśmy udział w barwnych uroczystościach ślubnych, byliśmy świadkami wyścigów konnych i popisów najslawniejszych w Dagestanie dżygitów oraz walki jeźdźca z giurzą największą i najbardziej niebezpieczną miejsową żmiją, które to widowisko już podówczas zaliczane było do najrzadszych na Kaukazie.

Ała werdy, ała werdy!

Muszę wspomnieć o zdarzeniu, skojarzonym ze znaną piosenką góralską „Ała werdy“, znaczenie której poznałem, że się tak wyrażę, na własnej skórze. Młodzież zwykle nie brała udziału w ucztach gości starszych, ale na ostatnią, pożegnalną wieczerzę Bek zaprosił mnie, jako syna honorowego gościa. Nie znałem jeszcze wówczas przyjemności, zawartej w smaku dobrego wina, więc jadłem z apetytem, ale nic nie piłem. Nastrój przy stole był wesóły, starszyzna tego popijała, gwarzyła i śpiewała. Było już dość późno, gdy gospodarz wniósł pożegnalny toast na cześć mojego ojca i oświadczył, że teraz odbędzie się, zgodnie ze starym kaukaskim zwyczajem, wybór „księcia biesiady“.

Po tych słowach do izby weszło dwóch górali, jeden z nich niósł duży bawoli róg, oprawny w srebro i osadzony na srebrnej podstawie, a drugi trzymał w rękach „burdziuk“ (worek z nierozciętej owczej skóry) z winem. Ku memu wielkiemu zdziwieniu róg postawiono przede mną i napełniono go ciemnym, kwaskowato pachnącym płynem.

Gospodarz, wesoło uśmiechając się oznajmił, że według starodawnego

zwyczaju „księciem wieczery“ zostaje ten z biesiadników, który zdoła wypić do dna wino nie odejmując rogu od ust, zanim reszta towarzystwa skończy śpiewać „Ała werdy“. Próbę zaczyna się od najmłodszego przy stole, a więc ode mnie.

Piosenka ma sześć zwrotek i przy wyborze „księcia biesiady“ śpiewa się ją dość rozwlekle, lecz dzisiaj już zdaje sobie dokładnie sprawę, że nawet dla wytrawnego moczomordy czas na wypicie wina jest diabelnie krótki. Wówczas o tym nie wiedziałem i sądziłem, że nie wypada mi wymówić się z tej próby. Wziąłem więc róg w obie ręce i przyłożyłem go do ust. Wino było chłodne i miało przyjemny smak, piłem więc go z przyjemnością, słuchając równocześnie piosenki:

„Ała werdy! Niech Bóg cię
 chroni
Oto treść słów tych, które nie
 raz
Wzywały wszystkich nas do
 broni,
Gdy nadszedł Gazawatu czas.
Ała werdy, Ała werdy...
Tu gościa przyjmą w każdej
 chacie,
Czy ja nim będę, czy też ty,
Czy żebrak w polatanej
 szacie —
Przywita go; Ała Werdy.
Ała werdy, Ała werdy...

Tyle tylko zdołałem usłyszeć, bo przy trzeciej zwrotce stwierdziłem, że wina w rogu wcale nie ubywa, chociaż piłem go już całą wieczność, a góral siedzący naprzeciwko mnie rozdwoił się i rozplął we mgle.

Nazajutrz, gdy obudziłem się, ojciec podkpiwał sobie ze mnie mówiąc:

— No ten skok do bawolego rogu, to ci się nie bardzo udało.

Wysoki Kaukaz

Kuzyn gospodarza, adwokat Naurow, postanowił towarzyszyć nam do Gimr. Był potomkiem starej, arystokratycznej rodziny czeczeńskiej, mieszkał stale w Groznm i dość dobrze znał historię Czeczenii i Dagestanu. Człowiek ten uznawał wielkość Szamila, jako przewodcy duchownego, lecz krytycznie odnosił się do jego poczynań, jako naczel-

negu wodza. Twierdził, że z chwilą mocnego usadowienia się Rosjan w Armenii i Gruzji, plemiona północnego Kaukazu zostały odcięte od swych naturalnych sprzymierzeńców Persji i Turcji, zaopatrujących je w broń i środki do walki, a wobec tego wynik wojny został już z góry przesądzony. Szamil, według zdania Naurowa, przyspieszył klęskę, stosując zasadę bronięcia każdego aułu do ostatniego człowieka. W ten sposób stracił niepotrzebnie w Gimrach ponad tysiąc najdzielniejszych wojowników, w tej liczbie około 400 najlepszych muridów i naibów. W Achulgo straty były jeszcze większe. W końcu musiało Szamilowi zabraknąć zdolnych dowódców i młodych dżygitów, a kraj leżał w ruinie i cierpiał dotkliwy głód i nędzę.

— Czeczenia i Dagestan do dnia dzisiejszego nie mogą podźwignąć się z biedy, wówczas, gdy sąsiednie plemiona Ingusze, Kabardyńcy i Osetyni mają nie zniszczony kraj i kwitnący przemysł i handel. Gdyby Szamil od samego początku stosował taktykę unikania większych bitew z silniejszym przeciwnikiem oraz nękania go nieustannymi napadami na mniejsze oddziały i głębokimi zagonami w głąb zajętych przez niego terenów, wojna może trwałaby o dziesięć, lub nawet dwadzieścia lat dłużej. Końcowy wynik jednak byłby ten sam. Jeśli Polska wspaniała i silny kraj, nie mogła oprzeć się potędze Rosji, to cóż można powiedzieć o nas, małych, a w dodatku skłóconych ze sobą, plemionach — mówił z goryczą Naurow.

Wysoki Kaukaz jest z punktu widzenia geologicznego formacją młodą. Przyroda i gwałtowne zmiany klimatyczne nie zdążyły jeszcze zładzić ostrych kształtów gór, zbudowanych z czarnych bazaltów i kolorowych granitów. Wysokie prostopadłe ściany skalne, ostre iglice licznych turni i głębokie szczeliny, dnem których płyną z łoskotem zawsze pełnowodne potoki — pomieszane są ze sobą bez żadnego składu i ładu, a tam, gdzie wznoszą się olbrzymie główne grzbiety, mające ponad 5 tysięcy metrów, spływają w dół sine lodowce, huczą lawiny i przewalają się gwałtowne

huragany nad płaskimi dachami sakli górskich, przylepionych do stromych zboczy, jak jaskółcze gniazda. Więcej jest słoły i mroźnych burz w tym rozległym opadającym ku północy kraju, niż słońca i pogody.

Wspominam o wspaniałym, lecz nad wyraz groźnym i dzikim charakterze gór Północnego Kaukazu, by łatwiej było sobie uprzytomnić, jak twarde jest życie miejscowych plemion i jak niezwykle ciężkie musiały być przeżycia tych Polaków, którzy przybyli tu przed laty, by walczyć z Rosjanami.

Dalszą podróż mieliśmy ułatwioną, bo jeden z górali Naurowa stale wyprzedzał nas, więc nocleg zawsze był przygotowany, a życzliwość zapewniona. Słowa proboszcza tyfliskiego wszędzie w pełni się sprawdzały.

Droga do Gimr biegła ostrą górną stromą wznoszącą się od dna doliny Sułaku ku szczytowi samotnej góry, na którym ongiś zbudowano auł. Po obu stronach drogi, przy szczelinach przecinających grań, widzieliśmy strzelnice i schrony wykute w skałach. Samo osiedle przedstawiało smutny widok, bo i ruiny murów i wież porastały chwasty, a większa część sakli leżała w gruzach, bądź też była opuszczona przez mieszkańców, którzy zeszli w doliny, by szukać tam wygodniejszego życia i większych zarobków.

Obrona aułu Gimry

Naurow zaprowadził nas do sędziwego mułły, który w czasie upadku aułu w 1832 roku miał 12 lat i widział walkę z sąsiedniego szczytu. Obecność adwokata ułatwiła nam rozmowę, więc staruszek rozgadał się na dobre.

Z jego opowiadania dowiedzieliśmy się, że auł bronił się prawie miesiąc, a zdobyli go Rosjanie dopiero wówczas, gdy okrężnymi, prawie niedostępnymi ścieżynami zdołali przeprowadzić wojsko i wciągnąć armaty na szczyt bliskiej góry panującej nad warownią. Z załogi tylko jeden Szamil uszedł z życiem, bo według słów mułły „Allah posłał anioły swoje, które przeniosły go na drugą stronę doliny i uchroniły przed pościgiem wroga.“

Legenda jest w tym wypadku trochę zgodna z prawdą historyczną,

bo rzeczywiście Szamil, posiadający fenomenalną siłę i zwinność, zdołał przerąbać się przez nacierającą tyralierę i, korzystając z mroku nocy, zejść po dwusto-metrowej, prostopadłej ścianie skalnej, przeprawić się przez rwącą rzekę i ukryć się w gęstwinie leśnej. Po dwu dniach wyczołgał się na grań, został tam znaleziony przez pasterzy i ukryty w niedostępnej sakli.

Radość Rosjan, przekonanych, że Szamil zginął i w związku z tym wojna będzie wnet zakończona, okazała się przedwczesną. Szamil wyzdrowiał i prowadził wojnę przez dalszych 26 lat.

Na zapytanie ojca o Polaków, mułła oświadczył, że było ich w Dagestanie dużo, że w samych Gimrach widział osobiście straż przyboczną ówczesnego Imama — Gazi Mollacha, naczelnego wodza i najwyższego kapłana, złożoną z samych Polaków w liczbie ponad stu ludzi. Ubrani i uzbrojeni byli tak, jak górale, a bili się wtedy i później bardzo dobrze.

— Co się z nimi stało? — zapytał ojciec.

— Z tymi, którzy byli w Gimrach? Mówiłem ci już, że tylko Szamil wyszedł żywy. Inni zginęli.

Szlak bojów Szamila

Mułła zaprowadził nas następnie na miejsce, gdzie dawniej stała sakla, w której się urodził Szamil. Rumowisko było tu uprzątnięte, a kamienna podłoga czysto wymieciona. Dowiedzieliśmy się, że starzy górale często tu zbierają się na modły i wspominki.

Staruszek mówił o Szamilu z białochwalczą czcią. Według jego słów, był to człowiek ponad dwa metry wysoki, a zręczny i silny tak, że mógł jednym zamachem szabli przeciąć kozaka prawie do siodła. Ponadto był to człowiek uczony, który ukończył w Persji słynną w owym czasie akademię. Był mężem świętobliwym i słusznie stał się przywódcą Muridów — sekty maho-metańskiej, proklamującej wstrze-mięzliwe surowe życie, i nieubłagana walkę z niewiernymi.

O innym sławnym przywódcy góralskim Hadży Muracie, mułła mówił z najwyższą pogardą. Twierdził, że był to człowiek zły i przewrotny. Wspólnie ze swym bratem zamor-

dował Imama Hamzat Beka, myślał tylko o sobie i własnym wzbogaceniu się, rywalizował z Szamilem i zdradził go w najtrudniejszym okresie wojny przechodząc do Rosjan.

Po trzech dniach pobytu w Gimrach, pożegnaliśmy się z Naurowym i mułłą i wyruszyliśmy w dalszą drogę do aułu Gunib, leżącego nad dopływem Sułaku — Kara Kojsu. Teraz dopiero oceniliśmy dobrodziejstwo doskonałych burek, podarowanych nam przez gościnnego Beka. Jechaliśmy ciągle w górę doliny Sułaku. Spadki i wzniesienia stawały się coraz większe, przeprawy po dziurawych, kołyszących się mostkach, zawieszonych nad otchłanią i przez niepewne brody coraz niebezpieczniejsze, a do tego pogoda zepsuła się, ciężkie chmury zawały niebo i lodowaty deszcz moczył nas raz po raz. Dużą część tej drogi przebyliśmy w gęstej mgłę, dziwiąc się umiejętności przewodników wyszukiwania właściwej ścieżki.

Spotkaliśmy w tym czasie jeszcze kilku starych górali, pamiętających końcowy okres wojny, którzy chętnie o niej opowiadali. Ojciec skrzętnie notował ich opowieści i powoli odsłaniał się przed nim ogólny obraz wojny, zupełnie nie podobny do przedstawianego przez Rosjan.

Szczególnie chętnie i dużo opowiadano nam o największym zwycięstwie Szamila nad Namiestnikiem carskim Woroncowa-Daszkowym, który osobiście stanął na czele dużej wyprawy, postanowiwszy zdobyć ówczesną siedzibę Szamila, auł Dargo, a samego Imama ująć, bądź zabić.

Wódz Dagestańczyków, nauczony smutnym doświadczeniem poprzednich lat, nie bronił już żadnego aułu i zasadniczo zmienił taktykę działania. Od szpiegów zawczasu wiedział o zamierzonej wyprawie Woroncowa, wykonał więc kilka śmiałych zagonów w głąb ugrupowania rosyjskiego i zdobył sporo broni, amunicji i żywności. Najcenniejszą zdobyczą było kilka dział z zaprzęgami i pociskami, ponieważ słabą stroną wojsk góralskich był brak artylerii.

Szamil do tej rozprawy cofnął swoje siły główne głęboko w góry, mniejsze oddziały ukrył po obu stronach drogi, po której armia Woroncowa musiała iść, a do przodu wysunął drobne patrole, które broniły zniszczonych uprzednio mostów

i bez przerwy organizowały zasadzki. Dargo było opuszczone przez mieszkańców i przygotowane do spalania.

Woronców dał się wciągnąć do pułapki. Jego piętnastotysięczny korpus czołgał się powoli po jedynej wąskiej drodze, ciągle niepokojony, ciągle zatrzymywany przez zniszczone przeprawy, ciągle pozbawiony możliwości użycia kozaków i artylerii. Płonące Dargo wyminęło bez oporu ze strony Szamila, a Woroncowa w ślepych uporze postanowił ścigać go dalej. Doszło do tego, że cały korpus rosyjski stłoczył się na wąziutkich drózkach na stromych zboczach niebotycznych gór i nie mógł przełamać oporu, zorganizowanego przez górali. W szeregach wojska zapanował głód i choroby, bo droga do tyłu została przecięta i zapatrzenie już nie mogło nadejść.

W tych warunkach Namiestnik nakazał odwrót, ale wykonać go nie było łatwo, bo drożyny miały kształt wąskich gzymsów, wijących się nad przepaściami, więc zawrócić na nich sześciokonne zaprzęgi dział i ciężko ładowane wielkie wozy taborowe było fizyczną niemożliwością. Zamieszanie ogarnęło kolumnę rosyjską na całej jej długości.

Szamil znakomicie wykorzystał ten moment, masakrując Rosjan ogniem ukrywanej dotąd baterii, zorganizowanej i obsługiwanej przez Polaków. W tym samym czasie oddziały górali ukrytych po bokach drogi, i wozów rozpoczęły atak. Większą część dział i wozów stracili Rosjanie do przepaści, a pozostałe wpadły w ręce górali. Odwrót rosyjski był nieprzerwanym pasmem krwawych walk wręcz i bohaterskich czynów. Górale bynajmniej nie lekceważyli wroga i, jak to wynikało ze słyszanych przez nas opowieści, uznawali żołnierzy rosyjskich za odważnych i niebezpiecznych przeciwników.

Z rozgromu zdołał wyprowadzić Woroncowa zaledwie 5 tysięcy ludzi, ale działanie to zostało uznane przez cara za zwycięstwo i Woroncowa otrzymał za nie tytuł księcia.

Polacy wśród górali

Ostatnim z aułów, zwiedzonych przez nas był Achulgo, leżący na płaskim szczycie odosobnionej góry w ciasnym zakolu rzeki Andy Kojsu.

Była to druga po Gimrach warownia, broniona przez Szamila do ostatniego człowieka. Pod względem obronnym, było to miejsce znacznie od Gimr silniejsze, lecz to Szamila nie zadowoliło i postanowił tak aul ufortyfikować, by rzeczywiście stał się twierdzą nie do zdobycia.

Jeden z sędziwych mieszkańców aulu, oprowadzał nas po dawnych umocnieniach i opowiadał o obronie aulu. Wtedy właśnie padło jedyne nazwisko lub może tylko imię polskie z jego ust. Starzec przypomniał sobie, że w aule było wówczas kilkunastu Polaków, którzy nadzorowali wykonanie przez rosyjskich jeńców prac fortyfikacyjnych. Przewodził im również Polak Janou Naib, ponoć ceniony i szanowany przez samego wielkiego Imama. Czy był to jakiś Jankowski czy tylko człowiek mający na imię Jan, nie udało się ustalić.

Polak ten musiał być dobrym inżynierem wojskowym, bo to co zobaczyliśmy zaimponowało ojcu zarówno z punktu widzenia taktycznego, jak i technicznego wykonania. Były tam dobrze zachowane rowy strzeleckie i łącznikowe, schrony dla ludzi i amunicji, magazyny żywnościowe, obszerny zbiornik na wodę i nawet stajnie dla kilkudziesięciu koni, a wszystko to wykute w litym granicie góry.

Mimo dziesięciokrotnej przewagi Rosjan posiadających silną artylerię, Achulgo broniło się przez dwa miesiące. Do jego upadku przyczynił się błąd Szamila, który pozwolił znacznej liczbie cywilnej ludności schronić się w aule. Zapasy żywności skończyły się, więc głód i choroby osłabiły siłę oporu. I w tym wypadku tylko Szamil z rodziną i kilkunastoma Muridami uratował się, opuszczając potajemnie twierdę po pniach drzewnych, zawieszonych nad wąwozem. Reszta załogi i ludności cywilnej zginęła od kul i bagnatów rosyjskich. Wojna na Kaukazie w owe czasy prowadzona była w okrutny sposób, a miłosierdzie i litość nie istniały u żadnej z walczących stron.

Auły zwiedzone przez nas, nawet te, których nie zniszczyła wojna, miały małą liczbę mieszkańców. Było zrozumiałe, że ludzie w zmienionych w zasadniczy sposób warunkach życiowych, nie chcieli mieszkać w niewygodnych szałkach na

szczytach gór. W dawnych czasach, gdy nie tylko plemiona, lecz również poszczególne chanaty, szczepy i rodziny prowadziły ze sobą nieustającą walkę, a głównym źródłem bogactwa i sposobem zdobywania środków do życia był rozbój, — budowanie osiedli na szczytach gór i otaczanie ich murami było koniecznością. Obecnie, kiedy Rosjanie spacyfikowali kraj, a rozbój stał się niemożliwy trzeba było poszukać innych sposobów zarobkowania i zejść w doliny.

W końcowym etapie podróży, jadąc z Achulgo do Groznego, zwiedziliśmy ruiny świątyni Czicieli Ognia i podziwialiśmy wysokie pióropusze płonącego gazu. Zamiast wysmukłych minaretów widzieliśmy w dolinach i na zboczach gór czarne wieżyczki szybów naftowych. One to właśnie ściągały z gór coraz liczniejsze rzesze młodzieży, dając jej chleb i łatwe życie. Rozmowy z tymi ludźmi pozwalały jednak sądzić, że tęsknią oni do dawnego życia i do dawnych orlich gniazd, a w niejednym sercu tli się płomień nadziei, że dni Gazawatu znów nadejdą.

Alła werdy!

Zygmunt Bohusz-Szyszko

SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.
171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

Pamiętników gen. broni Jerzego Bordziłowskiego część Pierwsza „Żołnierska Droga“. „Wojskowy Przegląd Historyczny“ Rok X, tom 4, Warszawa, 1965.

Z uporem maniaka twierdzą, iż jedyne ciekawym wydawnictwem ukazującym się dziś pod auspicjami „P.R.L.“ jest „Wojskowy Przegląd Historyczny“, drukowany w Warszawie sumptem tamtejszego Ministerstwa Obrony narodowej pośrednio, a bezpośrednio wydawany przez Komitet Redakcyjny. Przewodniczącym jego jest gen. broni Jerzy Bordziłowski i komplet generałów i pułkowników ludowych, występujących bądź pod własnymi nazwiskami, bądź pod pseudonimami „Drzewiecki“, „Gliwicz“, „Halicz“, „Krwawicz“ oraz „Okęcki“. Przypuszczam, na oko, iż Herbst, Bednarz, Bugajak, Korczyński, Kuropieska oraz Stąpor są nazwiskami, jakie panowie ci nosili przy urodzeniu.

* * *

Tak czy inaczej powyższy zespół — przepraszam: „kolektyw“ — cztery razy do roku wydaje doskonałe opracowany kwartalnik. Jest on też niezmiernie cennym źródłem dokumentacji ilustracyjnej. Fotografie niektórych „sowgerojów“ zamieszczone w „Przełądzie“ wystarczą za dziesiątki stron studiów psychologicznych. Ot, chociażby „Dowódca artylerii I Armii Polskiej w ZSSR, gen. bryg. Aleksander Modzelewski“ (str. 9), albo „Dowódca 1 BAA płk. Józef Błoński“ (str. 11).

Specjalną zaś ozdobą jest fotografia samego gen. broni Jerzego Bordziłowskiego (str. 69).

Uśmiecha się na niej lekko zażywny i niewątpliwie inteligentny, dobrze zachowany starszy pan. Jest albo eunuchem, sądząc z wyglądu klasycznej „babiej“ twarzy, dość często spotyka-

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Biuro Podróży: *ANGLOPOL TRAVEL, 38, Thurloe Pl., London, S.W. 7.*

PRODUKT KOŃCOWY I PRZETRAWIONY

nej wśród Słowian, około sześćdziesiątki, albo też cierpi na poważne zaburzenia gruczołów wewnętrznych wydzielania. Jest schludny, w dopasowanym mundurze i ma starannie utrzymane i ciągle jeszcze własne włosy. Jak na szefa „nadziratielej“ sił zbrojnych Priwiślenskiej Riepubliki Ludowej wygląda bardzo sympatycznie; bardzo po polsku.

Jest to tym ciekawsze, iż gen. Bordziłowski jest tylko w połowie Polakiem. Matką jego była — czy też jest, czego należy mu życzyć z całego serca, pani Wiera Gejda, „Ukraińska z Kijowa, kobieta średniego wzrostu, o ciemnych piwnych oczach“ (str. 71). Ojcem generała był Wacław-Wieczesław „wysoki, spokojny, zrównoważony mężczyzna, o włosach ciemnobłond i jasnych oczach“. W ogóle rodzinie wprowadzenie wspomnień generała Bordziłowskiego czyta się ze wzruszeniem. Rodzina liczna, kochająca się i zgodna. Autor nie wypiera się polskiego, szlacheckiego pochodzenia czy rodzinnych tradycji, nie znieje doktrynalną nienawiścią do rodziny Lewandowskich. W majątku ich Chwojnie, koło Mozyrza dziad Jerzego, Kajetan Bordziłowski pracował jako rzadca. Należy sądzić, iż stosunki ułożyły się pomiędzy obu rodzinami jak najlepiej. W roku 1918 np. Jerzy Bordziłowski wstąpił do Armii Czerwonej, po ucieczce z Ukrainy, właśnie na Białorusi, koło rodzinnego Mozyrza, dokąd się schronił.

Ojciec jego wówczas już nie żył. Był lekarzem wojskowym. Pełnił służbę w 22 Niżowskim pułku piechoty im. Feldmarszałka hr. Sałtykowa. Oddział ten stacjonował się w Ostrowi Mazowieckiej, w roku 1900, kiedy przyszedł na świat późniejszy generał broni ludowego wojska polskiego.

Dr Wacław Bordziłowski dosłużył się w armii rosyjskiej stopnią podpułkownika i zmarł, pełniąc służbę czynną, tuż przed wybuchem rewolucji październikowej. Niewątpliwie, musiał być bardzo przyzwoitym człowiekiem:

„W domu kultywowano tradycje polskości. Rozczytywano się w sienkiewiczowskiej „Trylogii“, a zwłaszcza w „Potopie“ i w innych polskich powieściach historycznych, a przede wszystkim w dziełach, związanych tematycznie z walkami narodowyzwoleniczymi. Jedną z tych powieści, „Zaklęty Dwór“ Walerego Łozińskiego starannie kompletowano z odcinków, które drukowała jedna z polskich gazet, wychodzących w Kijowie.“ (str. 71).

Czesław Jeśman

B.D.I.C

Mimo to dr Bordziłowski awansował, rodzina jego była nastrojona radykalnie, należy przypuszczać, że nie kryła się z tymi przekonaniami. W carskiej Rosji wśród inteligencji cywilnej i wojskowej stanowisko tego rodzaju było świadectwem siły przekonań, a nie luzosostwa czy przepłoszenia. To przyszło w trenach „wielkiej październikowej“. W ogóle, pozostawiając na stronie zagadnienie stosunków polsko-rosyjskich i, tym bardziej, złowieszczonego działania infekcji komunistycznej gen. Bordziłowski wzbudza nie tylko zaufanie, ale i szacunek. Nie łże, nie podlizuje się, nie koloryzuje. Robi znacznie sympatyczniejsze wrażenie aniżeli np. płk. Marian Romeyko, inny memorialista „Wojskowego Przeglądu Historycznego“. Ten mały Radziejowski, zawiadziony w ambicjach, czasu jego biskopowej służby w siłach zbrojnych II-giej Rzeczypospolitej, aż gnę się w lansadach wstecznych i na krzyż, byle tylko „utrafić w nurt“. Siedząc, zresztą w kapitalistyczno-soc-zradzieckiej Australii.

I nie mogę oprzeć się podejrzeniu, iż soweccy „nadzirатели“ w stosunku do Romeyki mają podobne reakcje, co car Mikołaj II wobec „Ochrany“: „Donosy lubię — mawiał — ale donosicielami pogardzam“. Mała ilustracja: Romeyko pisze (str. 224) w „Przed i po maju 1926-go roku — Ze wspomnień oficera Sztabu Generalnego“, cz. XI“ Na skutek pewnych ograniczeń, stosowanych względem oficerów-katolików, liczba oficerów Sztabu Generalnego — Polaków była minimalna“. A redakcja „Przeglądu“ opatruje to lakonicznym przypisem: Po powstaniu styczniowym katolików w ogóle nie przyjmowano do rosyjskiej Akademii Sztabu Generalnego“. Romeyko określenie „zaiski wajuszczij padchalima“ jest niewątpliwie znane. Znajomość języka rosyjskiego na ogół nie jest rozpowszechniona na świecie. Nie będę więc tłumaczył tu, o co chodzi. Jeśli jednak niżej słowa dojdą do Mariana Romeyki trafem, to niech je sobie zapamięta i niech przestanie zgrywać się. Żadnych zastrzeżeń tego rodzaju nie można mieć wobec gen. Bordziłowskiego.

„Co więc sprawiło, że mój stosunek do rewolucji — pisze generał Bordziłowski — kształtował się w sposób jednoznaczny, stale rozwija-

jący się w słusznym, prawidłowym kierunku, bez zakłócających go wahań i zwątpień?... nie jakieś marzenia, skłonnego do pochopnych decyzji młodzieńca, lecz historyczne wydarzenia okresu w którym dojrzywałem. Przygotowała mnie zaś do podejmowania słuszych decyzji życiowych, do wejścia na drogę rewolucji, atmosfera domu rodzinnego i środowiska młodzieżowego, w której wyrastałem.“

Prosto i zgodnie z prawdą. Generał myli się tylko, co do jednego, zadecydowała nie konieczność historyczna, ale jego własny, osobisty i wolny wybór. Akurat z tego samego i podobnych środowisk wyszli inni zruszczeni Polacy i Litwini (...nie będę wdawał się tu w argumenty, kogo i dlaczego uważam za Litwiną, z sobą włącznie. I w jakim sensie. Tłumaczyłem to obszerne, pod przymusem, w miejscowości Kinghorn, nad zatoką Fife, w Szkocji, przed aeropagiem, jako żywo nadającym się uwiecznienia, przez nieboszczyka George'a Orwella w „The Animal Farm“, wywinąłem się co prawda. Ale więcej było w tym szczęścia, niż rozumu. Małuczko, a byłbym odśledził wojnę na Wyspie Wężów...). Były ich setki tysięcy, z wszelkich środowisk społecznych. Wybrali inną drogę od generała Bordziłowskiego. Sądząc ze wzmianek o przesunięciach jego macierzystego oddziału Czerwonej Armii podczas wojny polsko-sowieckiej i rosyjskiej wojny domowej, 6 kompanii 422 pp., 47 DP, 12 armii, młodociany „czerwonoarmiejec“ Bordziłowski musiał nieraz brać udział w ich egzekucjach. Na ziemiach byłego cesarstwa rosyjskiego olbrzymi odsetek stulećkudziesięciomilionowej ludności powzięło decyzję przeciwną decyzji gen. Bordziłowskiego. Dopiero po 3-ech latach krwawych bojów i zniszczeniu około 15 procent ludności i zdemorali-zowaniu reszty terrorem, banda krwawych rzezimieszków z „Leninem“ na czele mogła przystąpić do tworzenia „Kraju Rad“. Dopiero wówczas bakcylnieczajewszczyzny rozpoczął swój złowieszczy pochód, ponadnarodowy w swojej treści, acz narodowo-rosyjski w formie. Jak w innych wypadkach zbiorowej epidemii psychicznych bolszewizmu, włącznie z jego dzisiejszą formą imperialistyczno-sowiecką, nie da się wytłumaczyć, ani uzasadnić wyłącznie motywami gospodarczymi, intelektualnymi czy nawet psychopatologią. Wystarczy przejrzeć fotografie ilustrujące opasły tom René Fülón-Millera „The

Mind & Face of Bolshevism“⁴, żeby zrozumieć, o co chodzi. Książka ta jest zresztą mało ciekawym pamfletem, jako komentarz czy synteza. Ale daje rzeczywiście doskonały obraz „Oblicza i Treści Bolszewizmu“, jako schorzenia psychicznego. Pamiętniki gen. Bordziłowskiego są w tej materii cennym przyczynkiem klinicznym.

* * *

Bordziłowski postawiony w obliczu wyboru pomiędzy odradzającą się Rzeczpospolitą, a rosyjską rewolucją, wybrał tę drugą alternatywę. W porządku. Nikt nie może go winić czy potępiać z tego powodu. Ale koniecznym jest, wyciągnięcie konsekwencji i wobec niego i jemu podobnych. I nie tylko na polskim podwórku, ale w ogóle. Podobnie, jak wyciąga się nieuchronne konsekwencje wobec nosicieli tyfusu czy ludzi pokąsanych przez wściekłe psy, u których zaczynają występować objawy wodowstrętu. Bo, że gen. broni Bordziłowski jest klasycznym przykładem „moral insanity“ — zwyrodnienia psychicznego, pod wpływem „jednoznacznego stosunku do rewolucji“ — nie ulega najmniejszej wątpliwości. Jego uczuciowy stosunek do Polski i Polaków odznacza się tym, iż jest całkowicie wyprany z jakichkolwiek kategorii uczuciowych. Ani za, ani przeciw. Jak partia każe. Albo „kolektyw“. Rozpoczyna służbę bojową nad Płyczą.

„Opodal ... stacjonował 4-ty pułk ułanów Piłsudskiego. Na dzielącym nas froncie panowała wtedy względna cisza“. (str. 81).

Ani słowa komentarza, chociażby rytualnej wzmianki, iż „ułani Piłsudskiego“, bądź co bądź „pół-rodacy“ młodszego Bordziłowskiego „broniłi obszarników“ czy coś w tym rodzaju, i wobec tego, każdy „prawdowo myślący Polak“ musiał się znaleźć raczej w 6-ej kompanii, 422 pułku piechoty Czerwonej Armii, a nie wśród ułanów, nie tyle „Piłsudskiego“, co Zaniemeńskich,

W styczniu, czy też w lutym 1920 roku, Bordziłowski dostaje się do polskiej niewoli w Winnicy:

„Trafiłem do Petlurowskiego szpitala w Winnicy, skąd później przeniesiono mnie do szpitala radzieckiego, utworzonego w tym samym mieście. Chorowałem od lutego do kwietnia, dręczony gorączką i dreszczami. Wkrótce miasto zajęły wojska Piłsudskiego. Władze polskie nakażały wypisać wszystkich ozdrowieńców. Jeżeli chodzi o mnie, nastąpiło już przesilenie choroby, lecz byłem bardzo słaby. Ale w nadgorliwości wypisano i takich pacjentów, jak ja.“ (str. 86).

Był to zresztą jeden z niewielu zarzutów, jakie Bordziłowski sformułował pod adresem „wojsk Piłsudskiego“. Traktowano go życzliwie i po ludzku — szef kuchni w więzieniu był jedynym okazem ćwierć sadysty. Nie znalazłby zatrudnienia w Berezie Kartuskiej, nie mówiąc już wcale o „Bezpiecie“, i tej Różańskiego i tej dzisiejszej, zakamufłowanej w Pałacu Mostowskich, z czystymi paznokciami od terroryzowania starszych kobiet szantażami i korumpowania durnych Londopolaków politycznie białych, acz handlowo czerwonych. Ile, że sztandar polski jest biało-czerwony.

W obozie jenieckim z młodym Bordziłowskim rozmawiano przyjaźnie, dzielono się, jak on, oficerski syn, ziemiańskiego pochodzenia przystał do bolszewików, ale żadne przykre konsekwencje z tego nie wynikły. Raz mu nawet polski konwój uratował życie, kiedy oddział Petlurowców chciał roznieść na szablach bolszewickich jeńców. Skądinąd, Bordziłowski wiedział, jak zachowywali się bolszewicy wobec swoich jeńców. Tym bardziej, iż w przełomowych latach rosyjskiej wojny domowej służył w Kijowie „tragicznej stolicy Ukrainy“.

„Batalion — w którym znalazł się — spełniał funkcje oddziału zaporowego, ale jego uzbrojenie nie różniło się niczym, od uzbrojenia innych batalionów.“

Naczelnym zadaniem tych „batalionów zaporowych“ w sowieckim Ordre-Bataille“, wówczas, jak i dziś, jest posuwanie się za własnymi oddziałami i wystrzeliwanie własnych żołnierzy, bądź cofających się pod naporem nieprzyjaciela, bądź uznanych za „słabych duchem“. Dochodzi tu „niszczenie sabotażystów i zbytecznych etatów wyżywienia“. Podczas II wojny światowej np. kobieta-lekarka jednego z takich „zaporowych Batalionów“ zastrzeliła osobiście około stu rannych Niemców, Rumunów i Ukraińców w szpitalu polowym, powierzonym przejściowo jej opiece. Została odznaczona za swój wyczyn orderem Czerwonej Gwiazdy i z niewinną dumą, opowiadała o tym „podwignie“ jesienią 1945 roku w międzyalianckim kasynie oficerskim w Berlinie. Dziewieczyna zresztą była śliczna, wysoka i smukła. Niczym nie przypominała kwadratowe „baryszenie“ z biustami wypchanymi gazetami pod mundurowymi koszulami. Mogłaby być jedną z Trzech Sióstr, czy zewnętrznie, Anną Kareniną. Na pewno nie kłamata.

Bordziłowski, jako generał broni „Polskiego Wojska Ludowego“ wydaje się nie przeprowadzać żadnych porównań pomiędzy metodami i duchem

„wojsk Piłsudskiego“, a „Batalionam Zaporowym“ Armii Czerwonej. Dla niego oceny moralne i naukowe się stąd logiczne wnioski, nie istnieją.

To zniekształcenie psychiczne, nieodłączne od bolszewizmu, pozwoliło mu na funkcjonowanie „w sposób jednoznaczny, stale rozwijający się w słusznym, prawidłowym kierunku“ w ludowo-polskim mundurze. Zresztą i w tym względzie należy podziwiać jego prawdopodobność:

„Za szczególnie przychylny uśmiech losu poczytuję sobie dziś fakt, że mogłem brać udział w wyzwaniu ojczyzny moich ojców, że jej ludowemu wojsku służyłem wiedzą fachową w czasie wojny i nadal służę w latach pokoju.“ (str. 70).

Generał Bordziłowski nie jest błaznem i nie twierdzi, iż Polska jest ojczyzną nie tylko jego ojców, ale i jego własną. Nie twierdzi też, iż jest Rosjaninem. Jest „sowieckim człowiekiem“, żywym trupem, „zombie“ popychanym niewidzialnymi bodźcami, bezwolnym narzędziem w ręku wszechobecnego, wielopostaciowego „kolektywu“ Partii.

Stara legenda o wilkołakach twierdzi, iż nie mogą się one dostać do domu bez zaproszenia przez co najmniej jednego z mieszkańców; po to, by wampir mógł wyssać krew z żywego człowieka i tym sposobem poddać go swojej woli. Konieczną jest początkowa zgoda na to przyszelej ofiary.

Gdzieś, kiedyś i z jakichś powodów, sobie tylko wiadomych, „Georgij Wiaczesławowicz Bardziłowski, potomstwiennyj dworzanin polskowo-proischoźdzenia“ zezwolił na ukąszenie przez bolszewickiego Draculę. Od tej chwili przestał istnieć, jako indywidualność, zachowując zresztą wiele dodatnich cech swojej powłoki cielesnej.

Teraz się rozumie, dlaczego Kreml, obojętne Stalin czy jego diadochowie, aż takim zaufaniem darzą Bordziłowskiego i jak, z psychologicznego punktu widzenia, ten pół-Polak, doskonały wojskowy i dzielny człowiek i, z pamiętników sadząc, pełen domowych cnót, z zimną krwią likwidował AK, „ukraińskich bandytów“ Świerczewskiego, domniemanego kandydata na czerwono-polskiego Bonapartego, innych sowieckich „Popów“ z chwila, kiedy wobec nich rozdziły się podejrzenia wśród „nadzirateliej“. Musiał czytać codziennie raporty z tego, jak wybijano zęby p. Marianowi Spychalskiemu, dziś „Marszałkowi Polski“, podczas przestłuchiwań w Bezpiecie i jak „likwidowano“ tępych, a ambitnych oficerów, z autentycznej armii polskiej: Utników i Tatarów i w jaki sposób

wszystkich przedstawieniach była ona wypełniona.

Ceny miejsc zostały znacznie zróżniczkowane i utrzymane na niewysokim poziomie, co pozwoli i większym rodzinom zobaczyć tę nową sztukę. Nawet przy pełnych kompletach zdoła się zaledwie pokryć wydatki. Rozumiejąc sytuację teatru „Syrena“ i jego wielkie znaczenie wychowawcze, szereg organizacji społecznych zgłosiło swoją pomoc. Przedstawicielka ZASP p. J. Conrada mogła zapowiedzieć subwencję w wysokości £ 100. —, na którą w 75 % składa się zasiłek z funduszu Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom, p. mgr. M. Goławski w imieniu Polskiej Macierzy Szkolnej zapowiedział na razie sumę £ 10. — na zakup biletów dla uboższych dzieci. Dalszych 7 organizacji wyraziło gotowość pomocy. Koło Przyjaciół Harcerstwa urządzając bufet przeznaczają połowę dochodu na cele teatru. Razem wzięwszy zapewnione jest doprowadzenie przygotowań do pomyslnego końca, pozostanie tylko należyte wykorzystanie przez społeczeństwo tej cennej pod każdym względem imprezy przez jak najwcześniejsze zaopatrywanie się w bilety.

Jan Ostrowski

trzymano w rękę i w namordniku Mosora, Skibińskiego czy Kuropieskę.

Dziś, u schyłku życia, w generalskim mundurze i o bardzo pańskiej sylwetce, odbijającej się dodatnio od takich figur, jak Moczar czy Korczyński gen. broni Jerzy Bordziłowski, ich dozorca, uśw. etnia swoją osobą premierę „Halki“ w odbudowanej Operze Warszawskiej. Właściwie, na jego cześć, należałoby jej inaugurację rozpocząć od „Straszego Dworu“. Tylko jednemu, bardzo mądrymu cadykowi w Pradze średniowiecznej udało się stworzyć bardziej doskonałego gołęma.

* * *

I jaka szkoda. Gdyby ongi, pod Mózgierzem, niewymierne drgnięcie sumienia ruszyło Bordziłowskiego, jakże łatwo mógłby się stać osobistością wymiaru i głębi np. pułkownika Henryka Mościckiego, urodzonego jeszcze głębiej w Rosji i jeszcze bardziej zewnętrznie zrzuśfikowanego.

Ciekawa rzecz: gen. Bordziłowski opuścił w swojej biografii bardzo istotny szczegół, nie pisze, gdzie został ochrzczony, na lekcje jakiej religii uczęszczał w gimnazjum i jaki był jego stosunek do religii w ogóle? Czyżby to było tylko przeoczenie?

Czesław Jeśman

Spopielić Wajdę za „Popioły“

PRZYPADK zdażył, że miałem wcześniejszą okazję zobaczyć „Popioły“ Andrzeja Wajdy. Wprawdzie nie całość lecz tylko trzygodzinny skrót, myślę jednak, że i to wystarczy aby się mocno znudzić.

Nie moja to rzecz recenzje filmowe, wolno mi jednak podzielić się osobistymi wrażeniami. Nie zamierzam Wajdę oszczędzać, chociaż ma reputację wybitnego reżysera, ale przecież Wajda także nie oszczędzał Żeromskiego. Wiadomo mi również, że każdy reżyser ma prawo do własnej wizji dzieła i to nawet najwybitniejszego autora. Nie odmawiam — bo jakże bym śmiał odmawiać — tego prawa filmowemu twórcy „Popiołów“. Wolno mi wszakże wizję „Popiołów“ Wajdy potraktować samostatnie. Co powiedziałem stwierdzam słowem przytomnego obserwatora, że film ten nie powinien być porównywany z „Popiołami“ Żeromskiego.

Gdybym z takim zastrzeżeniem poszedł na film, pewnie bym sobie oszczędził poważnego nerwowego rozstroju. Uprzedzam więc pod przyjaźni wszystkich, co mają zamiar to Wajdowskie dzieło oglądać, aby się z góry przygotowali, że dzieje Rafała Olbrychskiego nie będą dziejami Rafała Olbromskiego. Podobnie żary ukryte w „Popiołach“ Żeromskiego nie płoną u Wajdy ogniem epopei napoleońskiej, lecz przemieniają się w pogorzeliśko beznadziejne. Nawet bardziej udane sceny batalistyczne, ściślej nieco oparte na Żeromskim, przez nienaturalne wmontowanie w całość kompozycji nie wywołują u widza większego wrażenia. Wątek romansów i przygód Rafała jest zbyt postrzępiony, by mógł film powiązać w zrozumiałą dla widza całość. Rąbanka bitew i przemarszów wojennych jest znowu zbyt obrazkowa — nawet w najlepszych scenach — by mogła stworzyć jednolity epos.

W sumie „Popioły“ Wajdy uważam za obraz nieudany. Gdy Żeromski w swojej epopei pokazywał — i kazał czytelnikowi przeżywać — tragiczne dzieje polskie tamtego pokolenia; porwy i poświęcenia, zwycięstwa i klęski, szaleństwa i tragedie — Wajdzie się to nie udało. Andrzej Wajda oddaje w swoich „Popiołach“ nawet nie gorczył złudzeń i zawodu, ale po prostu prozaiczną beznadziejność „polskich marionetek“ rzuconych w wiry dziejowego huraganu. A przecież wiemy i z historii, a nawet z Żeromskiego, że tak nie było. Szansa, jaką epopeja napoleońska

dała Polsce pogrążonej w upadku, choć nie ziściła nadziei Olbromskich i Cedrów, obudziła przecież naród z porażenia upadkiem i rozbiorami. Pozwoliła tak znakom polskim jak i ambicjom narodowym wkroczyć ponownie na karty historii. Dłatego w „Popiołach“ Żeromskiego — nawet w dniach upadku i klęski — żary nie gasną. Tlą się tylko przyćmionym ogniem, aby później nieraz jeszcze buchnąć płomieniami. Są zarzewiem, a nie próchnym spaleniśkiem. Dłatego u Żeromskiego w zakończeniu epopei, Rafał Olbromski idzie pełen nadziei na Moskwę, a ginie w zaśniewionych pustkowiach Rosji podczas odwrotu z kampanii 1812 r. Wajda zaś oślepią Rafała Olbrychskiego i każe mu zmarnieć na szlaku napoleońskiej klęski.

W tej końcowej scenie filmu, tylko raz jeden, czuje się talent wybitnego reżysera. Gdy echo niewidzialnego chóru zatraconej armii powtarza monotonicznie okrzyk: „Niech żyje Cesarz!“ — na tle śnieżnych pobojowisk przesuwa się orszak pokonanego Napoleona. W ekranowym zbliżeniu dumna, mimo klęski, twarz cesarza przenika widza dreszczem władczej grozy. Bohater i twórca całej epoki historycznej przesuwa się przez ekran, obojętny na los Polski i Polaków. I to tylko umiał Wajda w swoim filmie artystycznie powiedzieć. Nie było sensu, nie było celu, a wyjście za nim szli i ginęli — po co, na co? Tak zdaje się mówić po niewczasie Olbromskim i Cedrom. Czy jednak słusznie?

Oczywiście, są w filmie Wajdy sceny udane i miłe dla oka. Ujmujące są swojskie widoki polskiego krajobrazu, barwny i huczny kulig, świetna walka z wilkiem, brawurowa — choć przydługa — szarża pod Samo-Sierą. Dobre są niektóre scenki obyczajowe, jak w pałacu w Grudnie czy w dworku Olbromskich. Mniej potrzebna wydaje się za to Beata — i scena golizny, zademonstrowana nieprzekonywująco przez Tyszkiewiczównę. Nasuwa się pytanie komu i do czego to było potrzebne? Jeśli już tak koniecznie chciała, mogła ten Ewi strój pokazać w jakimś innym filmie. Obsada głównych ról też nie wydaje mi się udana. Rafał Olbrychski miejscami nieporadny, w niektórych scenkach potrafi być ujmujący i pełen sarmackiej krzepy i brawury. Jedną z lepiej zagranych ról, choć również nie bezbłędną, jest Krzysztof Cedro odtworzony przez Kierca.

Pola Raksa — jako Helena — ładna i z wdziękiem, zdradziła nawet talent w paru epizodach, ale, niestety, reżyser kazał jej popełnić niezrozumiałe samobójstwo. W sumie — jak powiedział pewien złośliwy widz — „najlepiej grały konie“.

Czy z tego wynika, że ostatni film Wajdy należy spopielić?

Nie żądam okrucieństwa. I chybione filmy też mają rację bytu jeśli publiczność chce je oglądać. A na to ostatni obraz Wajdy nie może się uskarżać. Polacy pchają się milionami (z cudzoziemcami tak nie będzie) chociażby po to, żeby później wiedzieli za co mają reżyserowi wymyślać. Może nawet nie jeden z widzów dopiero po filmie sięgnie po Żeromskiego, aby sprawdzić jak to tam naprawdę było. Więc ostatecznie nie ma powodu do rozpaczy.

Skoro jednak w prasie krajowej wspomniano o tym, że film Wajdy ma być uczczeniem 100-lecia urodzin Żeromskiego, jedno jeszcze konieczne trzeba zaznaczyć. Film poczytności Żeromskiego nie zaszkodzi, za to sposób w jaki w tym filmie zaprezentowano prozę Żeromskiego, już nie tylko młodopolską, lecz sztywną, deklamatorską, a po części wprost drętą — budzi nie tylko zdziwienie lecz i zgrozę. Kto wie, może za to duch Żeromskiego zemści się kiedyś na Wajdzie. A od siebie — jako widz — radzę nie tylko Andrzejowi Wajdzie, ale w ogóle wszystkim polskim reżyserom, aby zakazali naszym aktorom deklamowania w sztuce filmowej.

Byłem na filmie Wajdy, obejrzałem go mimo nużących dłużyzn do końca i jak odczułem — oceniłem. Co powiedziawszy odkładam pióro, żeby się jeszcze bardziej filmowi polskiemu nie narazić.

Michał Radło

MIĘDZY LONDYNEM I WARSZAWĄ

to tytuł nowej książki

Józefa Garlińskiego

poświęconej bardzo mało znanym
fragmentom działalności Armii
Krajowej.

Książka, uzupełniona fotografiami
i szkicami, ukaże się już w nie-
długim czasie.

W przedpłacie można ją nabyć po
niskiej cenie, bo tylko za 14 szyn-
lingów lub za 2 dolary.

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11.

HELENA ZURKOWSKA

SPRAWY NIEPRZEBRZMAŁE

ZAINTERESOWANIE publiczności polskiej zagadnieniami związanymi z religią i z działalnością jej przedstawicieli są bardzo żywe. W roku milenijnym są one szczególnie silne. Nie tylko w Polsce, ale i na emigracji. Przy tym nie tylko aktualne zagadnienia wywołują to żywe zainteresowanie: tematy, zdawałoby się, przebrzmiałe, jak przypisywana papieżowi Piusowi XII polityka, niechętna Polsce w okresie 1939—1944 wywołuje nadal żywe komentarze i dyskusje. Teraz, w roku 1965—1966, kiedy 20 lat dzieli nas od zakończenia wojny i kiedy na tronie papieskim zasiada już trzeci z kolei po zmarłym Piusie XII, papież!

Zagadnienia te oświetla należycie bogato udokumentowana, jak na swe rozmiary (131 str.), książeczka o. Józefa Warszawskiego, T. J., pt. „Akcja antypapieska w Polsce podczas II wojny światowej“^{*)}

Nie ma ona za zadanie apologii Piusa XII, ani nie rozwiązuje całości zagadnienia wieloletniego stosunku papieża do Polski przed, podczas i po wojnie. Wiadomo, że papież czuł początkowo żal do Polski, że nie zapobiegła ustępstwami wybuchowi wojny i to stanowiło jedno z ogniw niechęci w społeczeństwie polskim. „Akcja...“ stanowi jedynie odpowiedź na ataki wywołane we Włoszech, ukazaniem się książki Falconiego pt.: „O milczeniu Piusa XII“. Do polemiki tej, wyjaśniającej wiele nieznanych — dzięki wysiłkom propagandy niemieckiej — posunięć papieża, dodane zostały specjalnie interesujące dla Polaków załączniki, podające oryginalne teksty przemówień papieża, poczynając od 30 września 1939 r. (do ks. kardynała Hlonda i kolonii polskiej w Rzymie), aż do 15 listopada 1944 r. (do kolonii polskiej, po francusku), zakończone słowami wypowiedzianymi po polsku: „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Treść tych przemówień stanowi sama w sobie zaprzeczenie pogłoskom o niechętnym stosunku papieża do Polski. A cóż dopiero gdy dojdzie wykaz z działalności papieskiej w ciągu 5 lat wojny! Jego uznania bez chwili wahania władz Rzeczypospolitej na wygnaniu i jego Ambasad — co było solą w oku okupanta — jego akcja pomocy dla obozów jenieckich, uchodźst-

wa i Kraju; jego odrzucone przez władze niemieckie wysiłki, zapobiegające okrucieństwu; jego niezliczone akcje dyplomatyczne, prasowe, Radia Watykańskiego; jego reprezentację Stolicy Apostolskiej przy rządzie R. P. w Angers i w Londynie; jego stosunek do wojska polskiego i Powstania Warszawskiego; jego pełnomocnictwa dla Prymasa Polski, wracającego do Kraju....

W swej skąpej objętości, nie mogła pomieścić w sobie „Akcja...“ szczegółowego odparcia plotki, najbardziej podniecającej umysły Polaków w okresie okupacji, dotyczącej mianowania — jakoby — przez papieża biskupów niemieckich na okupowanych ziemiach polskich, w tzw. Warthegau. Autor odsyła po szczegółowe w tej sprawie wiadomości do o. Angelo Martini, który w swych pismach (z r. 1960, 1962 i 1965), dotyczących stanowiska i działalności papieża Piusa XII podczas II wojny światowej, poświęca kilka rozdziałów temu zagadnieniu. Wynika z nich jasno, że nie było żadnej nominacji biskupów na terenach polskich — jedynie administratorów apostolskich dla ludności niemieckiej, co odbywa się z zarządzenia papieskiego, ale bez konsultacji odnośnego rządu, ani nawet jego zawiadomienia o tym fakcie. W ten sposób mianowani zostali o. Breitinger (po ustąpieniu z racji choroby ks. kan. Paecha) i ks. bp. Dymek. Księża niemieccy w Warthegau otrzymali zarządzenie, aby działać w pełnym porozumieniu z klerem polskim i ks. biskupem Dymkiem.

Kłamliwe wiadomości o niechętnym stosunku papieża do Polski i spraw polskich były planowaną akcją niemiecką, co udowadnia w swej książce ks. Warszawski, nie szczędząc przy tym i lewicowej prasy polskiej, zarówno podziemia, na terenie Polski, jak i w Londynie. Ta ostatnia podawała bowiem te nieprawdziwe wiadomości, czasami bona fide, ale częściej ze świadomością, że są fałszywe. Było to zdaniem autora, robione celowo, w dążeniu do oderwania mas od Kościoła rzymskiego i utworzenia „kościółka narodowego“. Charakter tej akcji był międzynarodowy i występował równocześnie w wielu innych krajach. Na terenie londyńskim miała ona swego przedstawiciela m. in. w Józefie Rettingerze (str. 83).

Śmiałość ks. Warszawskiego w postawieniu tych zarzutów zarówno obcym, jak i swoim jest udokumentowana cytatami z prasy i z rozmaitych opracowań, m. in. z prasy podziemnej w Kraju, w okresie okupacji.

^{*)} Ks. Józef Warszawski, T. J., „Akcja antypapieska w Polsce podczas II wojny światowej“, Veritas, Londyn, str. 131.

Zygmunt Nowakowski — „Wieczory pod dębem“, opr. Lidia Ciołkoszowa, słowo wstępne Leopold Kielanowski, obwoluta i rysunki Irena Ludwig, nakładem GRYF/SPK, cena £ 2.2.0.

RZADKO kiedy pisarz ma to szczęście, że nad jego książką mruga pomyślna gwiazda. Częściej, znacznie częściej zastępują jej drogę bieśy spod ciemnej gwiazdy, rzucając mniejsze i większe kłody w wędrowce od autora do wydawcy — drukarza — czytelnika. Nad książką Nowakowskiego czuwały pewnie dobre duchy, skoro niemal bez wysiłku, na każdym etapie swego powstawania znajdowała gorących przyjaciół i orędowników.

Jedynie sam początek był niełatwy. Wiosną r. 1964 Stowarzyszenie Polskich Kombatantów zaprosiło profesorów M. Kukiela, H. Paszkiewicza, I. Wieniewskiego oraz dra L. Kielanowskiego, by wespół z tym gronem naradzić się nad wyborem dzieła dla upamiętnienia Tysiąclecia Polski. W wyniku ożywionej wymiany zdań, zebrani mogli stwierdzić: wiemy, że nie wiemy co należałoby wydać. Naraz, zupełnie nieoczekiwanie, już po zebraniu, Kielanowski podsunął szczęśliwą myśl o gawędach Nowakowskiego. Od tej chwili sprawy potoczyły się względnie gładko: wykonawcy testamentu zgodzili się na druk książki. Rozgłoszonia Radia Wolnej Europy udostępniła SPK prawa autorskie, Lidia Ciołkoszowa podjęła się opracowania tekstów i uczyniła to summa cum laude, Irena Ludwig zabrała się z zapałem i poświęceniem do przyodziania książki w jak najgodniejszą szatę ilustracyjną, a komitet złożony z przedstawicieli wydawcy, wykonawców testamentu oraz obu pań pracujących nad książką odbył kilka posiedzeń, na których składnie i szybko rozprawił się z wiązką rzeczy natury technicznej.

Opowiadania historyczne Nowakowskiego mają formę gawędy, utworu zadomowionego w naszej literaturze na dobre od czasów mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza“, który pozostał po dzień dzisiejszy nieprześcignionym prototypem tego gatunku literackiego.

Szczególny urodzaj na gawędziarzy wielkiego kalibru przypada na wiek dziewiętnasty. Należą do nich: Henryk Rzewuski, którego „Pamiętniki J. Pana Seweryna Soplicy“ zalicza się do klejnotów gawędy starszszlacheckiej; Wincenty Pol, który pozostawił w swej bogatej spuściźnie „Mohorta“ — klasyczny przykład rapsodu rycerskiego, dalej Franciszek Morawski w obrazie obyczajowym „Dworzec mego dziadka“ i Ludwik Kondratowicz (Syrakomla), lirnik mazowiecki w historyczno-obyczajowej gawędzie szlacheckiej „Uro-

HISTORIA SERCEM PISANA

B.D.I.C.



Zygmunt Nowakowski

dzony Jan Dęboróg“. Annały literackie zanotowały dziesiątki pomniejszych zwolenników tej formy ekspresji pisarskiej.

„Wieczory pod dębem“ są gwiazdą pierwszej wielkości w bogatej tradycji polskiej gawędy. Co w nich szczególnie uderza, a zarazem dodatnio wyróżnia od innych, to rozległość tematyczna narracji. Autor nie poszedł śladami wielu swoich poprzedników, którzy z reguły poprzestawali na stosunkowo wąskich ramach czasowych, dając najczęściej obraz jednej epoki. Tym więc trudniejsze było zadanie Nowakowskiego, tym jaśniej zabłysnął jego talent. Tylko pisarz tej miary, co pan Zygmunt potrafi z tą samą swobodą i wdziękiem poruszać się wśród pier-

wszych Piastów, co wiarusów napoleońskich czy uczestników naszych powstań.

„Wieczory“ są w równej mierze utworem literackim i pracą naukową. Może się na te słowa skrzywi ten i ów historyk zawodowy, ale to nie zmienia oczywistości samego faktu. Nie ma w książce Nowakowskiego współistnienia ze sobą prawdy i zmyślenia. Jest w niej sumienność dziejopisa, choć niezawodowego. Brak rutyny naukowej dodał dziełu rumieńców i wielokrotnie zwiększył chęć czytania.

Nowakowski nie był historykiem z powołania, toteż nie ma potrzeby głowić się nad tym, do której szkoły należał i jaką filozofią się kierował w interpretacji dziejów. Co najwyżej mo-

zna mówić o jego postawie historycznej, którą trzeba określić jako głęboko patriotyczną. W tej mierze był, może nieświadomym, zwolennikiem historyka niemieckiego von Treitschke; wedle niego „prawdziwość opowiadaniu historycznemu może użyć tylko serce, które odczuwa radości i smutki narodu jak swoje własne“.

Może dzięki temu właśnie „Wieczory“ wywierają tak nieprzemyślany urok na czytelnika. Autor gwarzy z nami o Polsce w wysokiej temperaturze uczuciowej, zdawałoby się, że dopuszcza raz po raz do głosu własne serce wypełnione po brzegi tęsknotą za swoim krajem rodzinnym i dziwna rzecz, przy tym wszystkim wcale nie uwielbia naszej przeszłości, jak też i nie rzuca na nią gromów. Pragnie ją tylko zrozumieć: „Byłbym ostatnim głupcem, gdybym się wstydził mej miłości, ale byłbym także ostatnim głupcem, gdybym nie potępił błędów, grzechów i zbrodni“.

Na ten tom gawęd Nowakowskiego złożyły się pogadanki wygłaszane przez autora w okresie między r. 1952 a 1956 przed mikrofonem Rozgłośni Polskiej Radia Wolnej Europy. Jest w nich cały Nowakowski, słowa rodzimego czarodziej wielce osobliwy, z którym tu na emigracji tylko Stanisław Stroński i Władysław Folkierski mogli wstępować w szranki. Język „Wieczorów pod dębem“ jest wolny od patosu, tej nieznośnej maniery, która cechuje wielu naszych mówców, gdy zaczynają prawić o naszej przeszłości. Z drugiej strony, nie łatwo jest mówić o przedmiocie takim, jak historia, językiem codziennym, bo można ześlizgnąć się w stronę parodii, której wcale zajmującym przykładem jest popularna „Helena w stroju niedbałym“. Nowakowski potrafił uniknąć tego niebezpieczeństwa, w czym także odślania głębię swego kunsztu pisarskiego.

Oto kilka na chybił trafił wybranych zdań, które charakteryzują język autora: o naszej przeszłości: „nie wylecieł mi sroce spod ogona“; o przeniesieniu stolicy z Gniezna do Krakowa: „historia spakowała manatki i przeniósła się nad Wisłę“; o uczcie Wierzyńka: „władcy świata, monarchowie, gdzie śpiesznie dążycie?“; a o walkach z Krzyżakami: „w rundzie następnej Piotr Dunin zbił Krzyżaków na kwaśne jabłko“; o przygodzie Jana Olbrachta: „oberwał po głowie od meża jakiejś urodziwej mieszczki krakowskiej“; o Marij Ludwice: „Pierwszy mąż trzymał ją krótko, zato użyła sobie i odkuła się, zostawszy żona Jana Kazimierza“.

Styl Nowakowskiego jest tak ciepły, intymny, bezpośredni, że czytelnik

CIEŃ KARAWELOWA ŻYJE W SOFII

(Dokończenie ze str. 13)

cenę politycznego poparcia dla Moskwy uzyskać znaczniejszy margines niezależności gospodarczej, wysantażowanej groźbą przerwania się na orientację chińską. Jest przy tym rzeczą charakterystyczną, że gra ta otwiera Bułgarii swobodniejszą drogę do korzystnej dla kraju wymiany handlowej z zachodem.

W wyniku tych nowych ustawień, komuniści bułgarscy z własnej inicjatywy, poprawiają sobie stosunki z sąsiadami. Jednocześnie — może na razie jeszcze dość ostrożnie — myślą o jakimś bardziej samodzielnym ułożeniu stosunków z mocarstwami zachodnimi, czego pierwsze symptomy są już dostrzegalne.

Wszystko zatem wskazuje, że reżim Żiwkowa zaczyna w jakimś stopniu oglądać się na interesy własnego narodu, a instrukcje z Moskwy traktuje coraz mniej obowiązująco. Trudno przewidzieć w jakim stopniu Komunistyczna Partia Bułgarii potrafi wytrwać na samodzielnym stanowisku. Trudno zgadywać czy totalna dyktatura Żiwkowa zdolna jest spełnić chociaż częściowo aspiracje historyczne narodu bułgarskiego? W obecnym momencie najistotniejszy jest fakt, że próbuje przezwyciężyć skostniałe formy strukturalne ustroju komunistycznego i szuka nowych rozwiązań.

Trend przemian działa. Po Jugosławii, Węgrzech, Rumunii i Czechosłowacji — przychodzi kolej na Bułgarię. Paraliż woli wykazują już jedynie reżimy Ulbrichta i Gomułka.

Tadeusz Podgórski

chwilami nieomal widzi autora naprzeciw siebie, gwarzającego o rzeczach odległych i starych, które dzięki niemu właśnie mają nieporównany smak wina z dobrego, bardzo dobrego rocznika.

„Wieczory pod dębem“ to książka dla każdego. Przez obcowanie z nią najejeden polepszy swe serce, powiększy swą duszę. Lecz w pierwszym rzędzie niech się z niej nadyszą i napiją naszej przeszłości ci, którzy tu na emigracji cierpią na kompleks niższości lub wyższości i ci w kraju, którym marksistowsko-ludowa pseudohistoriografia zdołała zohydzić niemal każdy krok naszych tysiącletnich dziejów. Czytajcie Nowakowskiego! Czytajcie młodzi i starzy, bo to może ostatni, co tak pięknie gwarzy o naszej przeszłości.

Antoni Czułowski

„Krótki żywot bohatera pozytywnego“ Piotra Guzega jest historią kariery i upadku majora Korpusu Bezpieczeństwa, Jana Ostudy.

Oto jak mogłaby się ona zacząć: Do powiatowego miasteczka Najdrzyce przyjechał z Warszawy reporter. Młody, niezbyt doświadczony, ale umiejący wypić. Podjadł, wypił, przespał się pod stołem, pojechał. Zdawało się na przedpadle, ale oto w jednym ze stołecznych pism ukazuje się artykuł pod tytułem: „Reportaż wzruszeniem pisany“. Zakończenie reportażu przepisujemy z powieści Piotra Guzega: „Towarzysz Karol, to bohater pozytywny na szczeblu powiatowym wielkiej, czekającej jeszcze na swoje pióro epopei szczodrym pędzlem malującej początki Polski Ludowej nad cicho szumiącą Najdrą“.

Alé incydent z reportażem nie stanowił początków kariery Ostudy. Major bezpieki siedział już dobrze w swoim powiatowym siodle. Straszyl samą twarzą, ludzie wstawali jak wchodził na salę teatru. Więźniowie w celach drżeli słysząc jego głos na korytarzu najdrzyckiego więzienia. Był panem życia i śmierci.

Początki kariery majora Ostudy to szkoła prowincjonalna niezbyt łaskawa dla tępego ucznia, profesorowie okrutni, ludzie wrodzy, społeczeństwo odrzucające instynktownie osobnika brudnego i mało wartościowego. Potem następuje inna szkoła: Podziemie. Walka w lesie. Walka polegająca bardziej na tępieniu wrogów politycznych, niż Niemców. Zdobywanie żywności, męczenie się z dziewuchami po ziemiankach i ciągła wojna z wybijającymi się ponad poziom z kolegami. Z komunistycznej partyzantki jeden krok do służby w UB.

Nieraz my, którzy nie byliśmy wtedy w kraju, zastanawialiśmy się, kim byli ci ludzie, stojący na usługach władców Polski Ludowej. Kim byli ci, którzy terroryzowali wsie i miasteczka w czasie referendum, mordowali działaczy ludowych przed wyborami, wreszcie stali przy urnach wyborczych. Kim byli, i kim są jeszcze ci stróżowie reżimu komunistycznego?

Powieść Guzega jest na to pytanie odpowiedzią. Jednak nie jest to memoriał polityczny, ani jeszcze jedna wypowiedź antykomunisty, jeszcze jedna „faza walki z okupantem“. To jest powieść w całym znaczeniu tego słowa: literackie dzieło, człowieka o dużym talencie i wielkim zmyśle obserwacji.

Historia kariery i upadku Ostudy jest ujęta w formę monologu wewnętrzny bohatera (antybohatera?), który wezwany do Warszawy robi w myślach przegląd swego życia. Od chwili rozstania się z żoną do chwili upadku na śmietniku Ostuda, major

O BOHATERZE POZYTYWNYM

B.D.I.C

UB, rezonuje, zastanawia się, przypomina, broni się składając świadectwa ze swego życia i działania. Jest to monolog wewnętrzny wedle znanych od dawna w literaturze wzorów. To, że wygłasza go człowiek prymitywny, mały, obarczony kompleksami, pełen jadu i zawiści, nie umniejsza wcale artyzmu z jakim autor odtworzył tok myśli bohatera, ani razu nie potykając się, nie wychodząc z nastroju; od zadufanej pewnością siebie, od wspomnień czynów brudnych i czynów okrutnych, po zwątpienie i całkowity upadek. Czasem nie wytrzymuje napięcia i myśli domagają się głosu, krzyczy i wtedy w tekście znajdujemy urywki zdań zaakcentowanych kursywą. Treść rozmyślań, jak i powiedzonka mające podbudować te rozmyślenia całe czas utrzymane są na poziomie ludzkiego prymitywu. To nas boli, niekiedy przeraża, często napawa wstrętem. Zwłaszcza, gdy ów marny i mały osobnik zaczyna przeżywać swoje erotyczne przygody.

Ostuda posiada piękną żonę, nimfomankę, równie jak on traktująca życie seksualne, jako wyżywianie się podobne pijaństwu; bez ogródek, bez czeremchy. Ostuda wykorzystuje talenty swojej żony i podstawią ją kolegom i przełożonym uzyskując w ten sposób rodzaj presji, zawiązując zobowiązania i długie wdzięczności. To kupczenie żoną, której wciąż sam pożąda, jest okupowane zazdrością i nienawiścią w stosunku do kochanków. Major Korpusu Bezpieczeństwa żyje w ciągłym piekle. I to nie małym, brudnym, lepkiem piekielku rzezimieszków, ale prawdziwym piekłem potępieńca.

W tym piekle drugą stałą udęką majora Ostudy jest strach przed końcem. „Gdybym wam pokazał waszą teczkę personalną, towarzyszu Ostuda, zobaczylibyście, jak łatwo przyszłoby sporządzić akt oskarżenia przeciwko wam samym“

Tak powiada przełożony i „przyjaciel“ Ostudy. Ma rację. Na koncie majora UB znajduje się niejedno przestępstwo. Podstawienie nogi koledze, wsadzenie niewygodnego konkurenta do więzienia, „rozwalenie kilku kacapów“ w początkach władzy ludowej itd. Są też przewinienia większego kalibru: ojciec — były komunista, który podarł książeczkę partyjną, zdrada w czasie okupacji, aresztowania po Powstaniu Poznańskim i mała, a przykra rzecz — Ostuda wykastrował pierwszego ko-

chanka swej żony. Z zazdrości, z żalu, że nie była dziewicą, gdy ją poślubił. „...I chyba człowiek ma prawo żądać od tego świńskiego życia, żeby mu dało przynajmniej jedną czystą rzecz, czy to tak dużo?“ — żali się Ostuda wspominając swoją noc poślubną.

W czasach kultu jednostki, w czasach „błędów i wypaczeń“ wykastrowanie przeciwnika władzy ludowej nie było ważną sprawą. Ale ten człowiek przeżył więzienie, dotrwał przez jakieś niedopatrzenie i teraz po październiku ma zostać „rehabilitowany“. Rehabilitowany?

„Tego się ukryć nie da, towarzyszu Ostuda!“

Jadąc do Warszawy Ostuda rozmyśla o zmianach, jakie nastąpiły. Już mu się nie kłaniają, nie powstają, gdy wchodzi na salę. Przestali go szanować. Jego koledzy, z którymi walczył w lesie, urządził wybory i referendum, dochrapali się gabinetów z dywanami, biurek wielkich jak domy i młodych sekretarek. Oni są na stałym gruncie, ale tacy jak Ostuda muszą płacić za przeszłość. Ani Radkiewicz, ani inni ministrowie nie zapłacą. Zapłaci Ostuda. Pozytywny bohater na szczeblu powiatowym.

Ostuda nie jest bezbronny. Jedzie do Warszawy wioząc w teczce dowody, które mogą zachwiać pozycję niejednego potentata. Ostuda ma doświadczenie w zbieraniu takich dokumentów. Wie, że nawet niewinny z pozoru człowiek posiada ukryte sprawy. „Niewinność jest zawsze podejrzana“ — wypowiada osławione twierdzenie wszystkich policjantów świata. Ostuda będzie się bronił. Ale oto w Warszawie napotyka mur, o który rozbija głowę. Kończy tak, jak zaczął, w rynsztoku, przy wódcę, na śmietniku.

Jedną z cech, którą się szczyści nieziemnie, jest wydolność erotyczna. Szczęśliwy jest, gdy mu jego Basiula nimfomanka powiada: Ty buhaju! I ten „buhaj“ kończy jako impotent. Przykra, okrutna, drastyczna scena w pokoju prostytutki może razić wielu czytelników, ale jakże potrzebna jest, aby pokazać upadek Ostudy, człowieka prymitywnego, dla którego erotyzm miał takie znaczenie.

Opowieść o losach majora UB mogłaby się stać kiczem, pornografią godną potępieńca albo wypowiedzią polityczną.

Ani jednym, ani drugim nie jest

książka Piotra Guzego. Autor potrafił wznieść się ponad zagadnienie osobistego stosunku do bohatera. Nie kocha go, nie szczędzi go, ale nie odmawia mu litości, człowieczego współczucia.

Kiedy znów zadajemy sobie pytanie, kim byli ludzie zniewalający Polskę w latach 1945/46, znajdujemy tu odpowiedź: Nie szatany, nie latami tający się w podziemiach narodu opryszkowie, ale mali, obarczeni kompleksami, odrzuceni przez społeczeństwo, jako nieudani, nie nie warci, zepchnięci na sam dół półludzie, ówierać inteligencji z aspiracjami na hitlerów.

Czy wydała ich wojna, okupacja? A może istnieli zawsze. Także przed wojną chodzili po ulicach, spotykało się ich na najniższych stanowiskach w urzędach, gdzie dręczyli klientów drobiazgowością i arogancją, spotykało się w policji, zwłaszcza na prowincji, spotykało się w ekspozyturach „dwójki“, gdzie rozprawiali się z „elementem wywrotowym“ przy pomocy prądu wysokiego napięcia, kabli zwinionych w bicz i wkrecanie palców w śruby. W normalnym społeczeństwie te szumowiny ludzkie żyją na peryferiach, kontrolowane przez zdrowe stosunki demokratyczne. Ale wystarczy pierwszej niesprawiedliwości, pierwszego ustępstwa na rzecz autokracji i bezprawia, by wyskoczyli na wierzch.

Władza Polski Ludowej zginęłaby bez nich. A oni bez niej nie wyszliby na wierzch. To atmosfera państwa rządzonego przy pomocy donosów, policji, wiecznego strachu wydołyła na wierzch majora Ostudę i jego kolegów.

Ta atmosfera, która przyszła do Polski z wojskami sowieckimi scharakteryzowana jest w monologu Ostudy na stronie 128:

„To wy nie wiecie, towarzyszu Belczyński, że takiego zdania nawet w myślach wam nie wolno formułować? A jeszcze na głos wypowiadać? Nawet do pustej ściany, rozumiecie? Nawet, gdyby najbliższy człowiek był oddalony od was o sto kilometrów, rozumiecie?“

Powieść Piotra Guzego jest pierwszą powieścią o ubeku. Pierwszą prawdziwą powieścią. Wszystkie dotychczasowe próby przedstawienia agenta aparatu bezpieczeństwa w Polsce były śmieszne i nieudolne. Najczęściej wprowadzano na scenę pseudo-Polaka, Rosjanina, czyli „popa“ i na nieszczęsną kreaturę nakładano płaszcz szatana, jemu przypisując wszystkie winy.

Ostuda jest Polakiem z krwi i kości. Wszystko, co czyni jest polskie. Jego erotyzm, jego pijaństwo, jego kompleks niższości. Dlatego historia jego jest prawdziwa i tragiczna.

Z zagadnieniem Ostudy zapoznaliśmy się dawno z wynurzeń Józefa Światła,

ale dopiero teraz prawdziwie utalentowany pisarz pokazał nam te sprawy od strony człowieka. Smutne sprawy, tragiczne sprawy, sprawy ludzkie.

Powieść wydana została przez Instytut Literacki „Kultury“ Paryskiej. Nie będzie nigdy wydana w Polsce, ani nie przedostanie się łatwo do kraju, chociaż dla kraju jest przeznaczona i tam może być w pełni zrozumiana.

Niestety, w kraju wciąż istnieją warunki, które Ostudę wyniosły do roli „bohatera pozytywnego“. Tam wciąż potrzebują takich ludzi do brudnej roboty, chociaż inaczej na nich patrzą, niż dawniej. Ci, którym udało się z powiatu przejść na województwo, których grzechy szczęśliwie zaginęły, rozparci przy swych eleganckich i poważanych biurkach wciąż potrzebują małych, nieszczęśliwych Ostudów do wykonywania brudnej roboty.

Czytając przygody majora bezpieczeństwa, funkcjonariusza nienawistnego nam reżymu mimo woli stajemy się podobnymi Ostudzie. Ogarnia nas złość, zawziętość, nienawiść i chęć zniszczenia tych ludzi. Brzydkie uczucie.

Zastanawiając się nad sobą Ostuda zadaje pytanie: Zemsta? Ja tylko robactwo tępię.

Pierwszy odruch u czytelnika emigracyjnego po przeczytaniu książki Guzego będzie chęć tenienia tego innego robactwa. Jednak zastanowiwszy się głębiej dochodzimy do przekonania, które nam poddaje autor:

To są mali nieszczęśliwi ludzie. Zginą na śmietniku.

Opowieść o losach pozytywnego bohatera Polski Ludowej jest książką bolesną. Każdy powinien ją przeczytać i zrozumieć.

Czesław Dobek

Wzmocniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

**Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.**

NA CAŁYM świecie wiosna rozpoczyna się 21 marca — za wyjątkiem Francji. Tutaj wiosnę oznajmia każdorazowe ukazanie się nowego wydania przewodnika „Michelin“. Rzucają się na niego wszyscy (500.000 nakładu), a przede wszystkim hotelarze i restauratorzy, którzy w nim figurują, bo może się okazać — że już ich tam nie ma, albo że zdegradowano ich w gwiazdkach. Ten przewodnik, wydawany przez wielką firmę Michelin, produkującą opony, uznany za najlepszy w świecie, jest bezwzględny i na skutek swej renomy stał się potęgą, przeciw której wielu hotelarzy i restauratorów walczy z namiętnością. Wystarczy, by odebrał jakiejś restauracji gwiazdkę, albo w ogóle jej nie umieścił i grozi jej katastrofa finansowa, bo Francuz wierzy temu przewodnikowi na sto procent i jeżeli ktoś został zdegradowany, to z pewnością był na to poważny powód. A więc lepiej tam już nogi nie postawić, bo albo uprawia zdzierstwo, albo kuchnia lub obsługa się popsuła, albo objął ją inny właściciel, który nie dorasta do poprzedniego.

Michelin nie przyjmuje żadnej reklamy, ogłasza jedynie swe opony i milczy nawet o samochodach Citroën, chociaż firma Michelin jest właścicielem tych wielkich zakładów. Węcej, hotel czy restauracja, które figurują w przewodniku, nie mają prawa powolywać się na to w swej reklamie.

Przewodnik ten nie przywiązuje zupełnie wagi do oficjalnej klasyfikacji hoteli i restauracji, ustala swą własną, a jego specjalnością są gwiazdki, które odpowiednio przydziela restauracjom, wyłącznie za ich kwalifikacje gastronomiczne. Np. wiatka restauracja paryska na Polach Elizejskich „Fouquet's“, gdzie spotyka się śmietanka towarzyska i polityczna Paryża, zwłaszcza w późnej porze, po przedstawieniach teatralnych, miała do tej pory tylko jedną gwiazdkę, a w obecnym wydaniu nawet ją straciła, co się w prasie zawzięcie komentuje, bo tutaj oprócz „michelinistów“ są fanatyczni „antymichelinisci“.

Najwyższą arystokracją gastronomiczną są restauracje o trzech gwiazdkach, jest ich, jak w roku ubiegłym, w całej Francji zaledwie 12, z tego w Paryżu pięć (Lasserre Maxim's, Tour d'Argent, Grand Vefour i Lapérouse — właścicielem tej ostatniej jest potomek naszej Wielkiej Emigracji Roger Topoliński). To są oczywiście przybytki gastronomii niedostępne dla zwykłego śmiertelnika, bo cena za posiłek nie wchodzi w rachubę. Tam się nie je, lecz celebrytuje. Dwugwiazdkowych restauracji jest 67 (w ub. roku 62), a jednogwiazdkowych 554 (w ub. r.

JAN CLAUDE

NOWE

546). W tych dwu ostatnich kategoriach jedne potraciły gwiazdki, a drugie zyskały. Stąd z jednej strony płacz i zgrzytanie zębów, a z drugiej radość. W mojej parafii jest sobie np. taka nieduża restauracja „Duplantin“, jednogwiazdkowa, słynna ze swej soli,*), gdzie zachodziłem od czasu do czasu, często z mymi przyjaciółmi z Londynu. Ale od roku przestałem, bo sola z gwiazdką zaczęła za drogo kosztować. Toteż nie zdziwiłem się, gdy w tegorocznym wydaniu Michelin ta knajpa straciła nie tylko swoją gwiazdkę, ale w ogóle w nim nie figuruje.



O losie tych gwiazdek decyduje dziesięciu inspektorów Michelina. To jedni z najlepszych znawców gastronomii we Francji, nic innego nie robią, tylko jeżdżą i sprawdzają. Są anonimowi, jak szefowie C. I. A., Intelligence Service, czy też głośnej z afery Ben Barki francuskiej służby SDECE. Prasa nie zna ich nazwisk i nie posiada fotografii, no bo gdyby ich znano, to restauratorzy i hotelarze specjalnie by się nimi zajęli. A tak, facet przyjeżdża, bierze pokój (jeżeli to hotel), wszystko w nim sprawdza, do toalet włącznie, żąda od personelu różnych usług i schodzi do restauracji. Tam wybiera menu, kaprysi, próbuje, odsyła, zamawia nowe danie itd. Przed laty patron restauracji „Hotel de la Poste“ w Beaune, dość znanej, wyrzucił takiego kapryszącego klienta za drzwi. Nie wiedział co robi, bo z nim wyleciała za drzwi i jego gwiazdka. Musiał czekać wiele lat, nim odzyskał ją z powrotem.

Redaktorzy i inspektorzy przewodnika są o wszystkim doskonale informowani, bo nie ma miejscowości, gdzie by nie było garażu Citroëna czy agenta opon Michelina. Ci donoszą o wszystkich zmianach, zwłaszcza o zmianie właściciela czy kucharza — bo od tego ostatniego zależą gastronomiczne gwiazdki. Oprócz tego, różni poufni korespondenci, którzy wiele podróżują,

*) Claude ma na myśli rybę „solę“, krewną naszej flądry, a nie mineral kopany w Wieliczce. (Red.)

I STARE GWIAZDKI

Otwarcie
sezonu turystycznego
we Francji

Ilustrowała CLAUDINETTE



sygnalizują wszelkie anormalności, albo zwracają uwagę na nowe hotele i restauracje. Wreszcie każdego roku zwykli turyści wysyłają do redakcji przeciętnie 20.000 listów, w których skarżą się lub chwala. Ale o klasyfikacji decyduje wyłącznie inspektor, który na miejscu wszystko sprawdza, a w poważniejszych wypadkach kolejno nawet dwóch lub trzech inspektorów. Z gwiazdkami nie ma lipy.

W tym roku wielkie poruszenie w gastronomicznym świecie wywołał wypadek bardzo znanej restauracji „Relais de Porquerolles“, dwugwiazdkowej, która według ogólnej famy, ma najlepszy w Paryżu bouillabaisse. Straciła te gwiazdki i na dodatek w ogóle w nowym wydaniu nie figuruje. W tej chwili nikt jeszcze nie wie dlaczego. Jeden widocznie bardzo upolityczniony dziennikarz nawet napisał, że to w związku z ostatnią polityką naszego „Wielkiego Przewodnika“ z Pałacu Elizejskiego ze spisaniem na straty NATO. Rzeczywiście, ta restauracja stała się od pewnego czasu paryską kwaterą główną „Amerloków“ (w gwarze elizejskiej „Amerloques“ oznacza oczywiście Amerykanów) i wobec tego dla odzyskania gastronomicznej suwerenności Michelin każe im się wynosić gdzie indziej. Może w tym jest coś z prawdy, tylko, że te Amerloki w tej dziedzinie nie tyle wpływają na suwerenność ile na ceny, które nabierają właściwości rakietowych (od angielskiego słowa „rocket“, a nie „rocket“).

Nowe wydanie liczy 1059 stron (w ub. r. 1013) i ten, kto go kupuje (12 F.) z zasady, gdy wchodzi do hotelu, to go trzyma w rękę, a w restauracji kładzie ostentacyjnie na stoliku. Ma to zwykle magiczny wpływ na personel, bo do przewodnika jest dołączony formularz z prośbą, by turysta napisał w nim swą opinię o hotelach i restauracjach, w których się zatrzymuje.

Pamiętam, jak jednego dnia wracałem z Genewy z moim przyjacielem Puciem. Wyjechaliśmy samochodem późno po południu i na noc zatrzymaliśmy się w malowniczej miejscowości Dôle, gdzie urodził się Pasteur — ten

sam, który powiedział, że wino jest najbardziej higienicznym napojem, a oprócz tego miał podobno coś wspólnego z wynalezieniem szczepionek (ale z tej strony przeciętny Francuz mniej go zna). Wybraliśmy sobie hotel oczywiście polecany przez Michelina, z kategorii niezbyt drogich, bo jak zwykle, byliśmy w drodze powrotnej do Paryża, a więc z dość ulżonymi portfelami. Na kolację zamówiliśmy zwykłe „menu“, bo w przewodniku była zaznaczona jego cena, dość przystępna i z literami „stc“ i „bc“, co znaczy, że w cenę są wliczone taksy i obsługa oraz wino. Kelner podał nam kartę — bez menu (Michelina, wbrew przepisom, nie miałem na stole, bo zapomniałem w pokoju). Gdy zacząłem się tego menu domagać, powołując się na przewodnik, po chwili przyniósł nam kartkę papieru z zupełnie świeżo napisanymi kilku prymitywnymi daniami. Gdy zażądałem wina, które do tego menu powinno być włączone, wyraził zdziwienie i wezwał nawet patronkę. Ta zaczęła nam oschle tłumaczyć, że taka rzecz w ogóle nie istnieje, bo przecież nie wiadomo, jakie wino klient zechce wypić — jak więc go włączyć do menu? (To powinno być wino miejscowe, „vin du pays“ i przeciętnie należy się pół butelki na twarz). Nic. Wzięliśmy to menu, zamówiliśmy butelkę „vin du pays“ (w tym wypadku był to sikacz Jura), odkleiliśmy dyskretnie etykietkę, a kartkę z menu schowałem do kieszeni.



Gdy płaciliśmy na drugi dzień, zabrakło nam kilku franków francuskich,

więc zażądaliśmy, by zmieniono nam franki szwajcarskie, bo w przewodniku było zaznaczone, że ten hotel ma prawo wymieniać dewizy. Patronka zaproponowała nam tak niski kurs, że zrezygnowaliśmy z wymiany i po wywróceniu wszystkich kieszeni znaleźliśmy brakujące franki francuskie. Godzinę później wymieniliśmy pieniądze w Dijon, oczywiście po kursie normalnym.

Po powrocie do Paryża wszystko to opisałem i wraz załącznikami, do rachunku hotelowego włącznie, gdzie figurowała cena butelki wina, wysłałem do Michelina. Dostałem natychmiast odpowiedź, że moje uwagi są poważne i że ich inspektor dostał polecenie zbadania sprawy. Z przyjemnością stwierdziliśmy z Puciem, że w następnym wydaniu przewodnika, ten hotel w nim nie figurował.

Oczywiście, Michelin nie jest jedynym przewodnikiem turystycznym we Francji. Jest ich nawet wiele, a w ostatnich latach zaczęły się pojawiać konkurencje. Najpoważniejszy to przewodnik innej firmy oponowej Klüber-Colombes, ten przydziela nie gwiazdki, ale koguty i jest o wiele bardziej szczodry. Obok tego największa firma wydawnicza Hachette wypuszcza też duży przewodnik, a ostatnio inny wydawca, Julliard, ten sam, który odkrył Françoise Sagan, lansuje nawet kilka różnych „guide'ów“. Ale u niego robi go dwóch dziennikarzy, prowadzących rubrykę gastronomiczną w dzienniku „Paris — Presse“. Ci wypowiedzieli Michelinowi wojnę. Lansują restauracje, których ten nie docenia, krytykuje michelinowskie gwiazdki i do tego autorzy przewodnika rąbią je w swojej rubryce dziennikarskiej, (zrabali np. Laperouse Topolińskiego — co jej z pewnością nie a nie nie zaszkodziło). A Michelin ani drgnie, z żadnych krytyk sobie nic nie robi i suwerennie, tak jak uważa, swoje gwiazdki przydziela. A właściwie przydziela je jego bohater smakosz „Bibendum“, ubrany w opony i figurujący na wszystkich przewodnikach. Bo trzeba dodać, że Michelin

wydaje wiele przewodników. Pięć czerwonych (hotele, restauracje, plany miast, garaże): Francja, Niemcy, Włochy, Hiszpania i Benelux oraz całą serię zielonych z opisami turystycznymi miast, zabytków, miejscowości letniskowych, dróg itd. Część z nich w języku angielskim i niemieckim, a główny przewodnik czerwony (Francja) ma tekst w czterech językach (francuski, angielski, niemiecki i włoski).



P.S. Stwierdzam (z żalem), że ten artykuł nie jest płatną reklamą Michelinà (a wolałbym, by było odwrotnie). Traktuję go, jako usługę obywatelską w stosunku do czytelników — by nie dawali się nabierać tam, gdzie można tego uniknąć. Zresztą, tak jak robię od lat, tylko nie wiem, czy ze skutkiem.

Jan Claude

fraszki

Sztuka i życie

*W życiu to, proszę państwa, jest tak, jak w teatrze:
Im więcej mam pieniędzy, tym wygodniej patrzę.*

Inne czasy

*Dawniej panna pytała: „To książe, czy hrabia?”
Dzisiaj chce tylko wiedzieć, ile on zarabia.*

O moim wrogu

*To nie analfabetyzm wtórny;
On był zawsze taki durny.*

Prorok we własnym kraju

*I bohater, odznaczony orderem,
W domu bywa kompletnym zerem.*

RAWICZ

KRZYŻÓWKA Nr 582/66

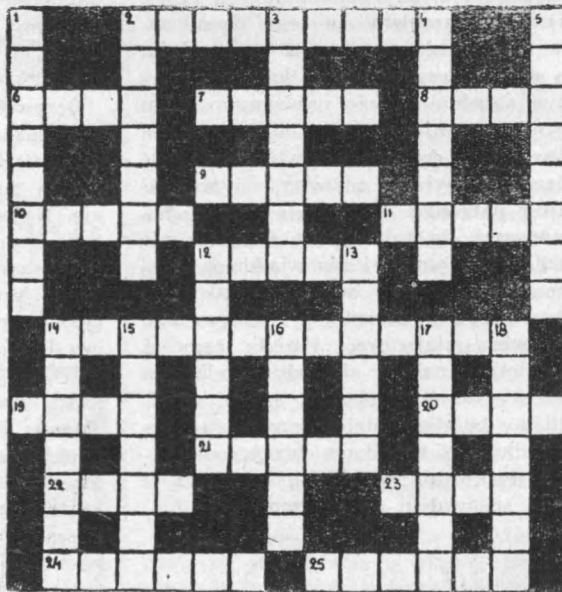
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 2) opinia, pogląd; 6) niewłaściwe miejsce dla kuli?; 7) wygląd łudzący; 8) na jednej to szybko?; 9) historyczna rzeka, ale licha?; 10) i 11) polski kronikarz, nauczyciel synów królewskich; 12) konieczny dla odzyskania zastawu (wspak); 14) czytelnikom od autorki krzyżówki (8, 5); 19) i 20) pośredni gatunek; 21) podnosi włosy na głowie (wspak); 22) klótnia; 23) przewód (wspak); 24) z dobrym chętnie przebywasz; 25) wielkie zwycięstwo Hannibala.

Pionowe: 1) drobny pieniądz; 2) imię żeńskie; 3) taniec na słodko?; 4) bez różnicy zdań (wspak); 5) postać z „Wesela”; 12) Gdy Luna ma twarz odkrytą?; 13) zawody; 14) wynik rozumowania; 15) przyćinek, ironia; 16) nie bierze udziału w... 13) pionowo; 17) inne na łące, inne na niebie (wspak); 18) gryka, czyżby pochodzenia mongolskiego?

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 581/66

Poziome: 1) i 5) reformator, 3) i 16) ochłap, 8) czerep, 10) ulotka (wspak),



11) impet, 12) Jerzy Szaniawski, 15) i 18) Prozerpina, 20) siwe, 21) psota, 22) sowa, 25) Czesław, 26) rozpacz, 27) Jaśnie państwo.

Pionowe: 1) ruczaj, 2) flet, 4) czapka, 6) trzon, 7) rzutki, 9) Piast, 10) Pieta (wspak), 13) leszcz (wspak), 14) wypisy, 15) pastuch, 16) łaskawie, 17) Petrarka, 19) analiza, 23) ulan, 24) czas.

„DO NASZEGO PRZEDSTAWICIELSTWA W PARYŻU WPLACILI NA „LEKARSTWA DO KRAJU“:

6954 L. S. Ln. Det. (płk. A. Potoczek) F. 74,00; 4088 L. S. Co. (kpt. K. Rogoziński) F. 56,00; 4096 L. S. Plat (por. M. Normark) F. 53,00; 4085 L. S. Co. (kpt. F. Iwański) F. 44,00; 4507 L. S. Co. (mjr. T. Kroja-Kopeć) F. 100,00; 4505 L. S. Pl.(Gd.) (kpt. St. Borkowski) F. 79,25; 4013 L. S. Co. (kpt. J. Jaworski) F. 34,79.

Serdecznie dziękujemy!

PIOTR GUZY

ŻYWOT BOHATERA POZYTYWNEGO

*Wyd. Instytut Literacki
w Paryżu*

Cena: 15/-

GRYF/SPK — 16, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7. *

NAJLEPSZE
ŻYCZENIA
ŚWIĄTECZNE

składa

WSZYSTKIM

KLIENTOM

Dyrekcja

Polskiej Pralni

FLEET LAUNDRY

(HAMPSTEAD) LTD.

144, FLEET ROAD,

LONDON, N. W. 3.

Tel.: GUL 1770

ŻYCZENIA

MILYCH

i

POGODNYCH

ŚWIĄT

składa

Dyrekcja

ZYLAN LTD.

IMPORT I HURT

ZYWNOŚCI

55, PIETFIELD STREET,

LONDON, N. 1.

Tel.: CLE 2961

POPIERAJ FIRMY
POLSKIE!

WESOŁEGO ALLELUJA

życzy

WSZYSTKIM KLIENTOM

Dyrekcja

Robiński & Co. Ltd.

IMPORT I HURT ŻYWNOŚCI

41, HARRINGTON ROAD, LONDON, S. W. 7.

Tel.: KNI 5201

SOS recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego

A. Pomorski

Rp.

Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)

Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)

Persantin 75 dragées (NIEMCY)

Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)

Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)

Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966

Dr. Med. K. Kratowski

Podpis i stempel lekarza

P.S. Doradzam załatwić
przez TAZAB w Londynie, bo
wykona natychmiast!

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100, EAST 10th ST., N. YORK 3. NY.
WE FRANCJI: TAZAB, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17., Tel. 429-00-45



GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.

GRYF PUBLICATIONS LTD. I P.C.A. PUBLICATIONS LTD.

20, Queen's Gate Terrace, London, S.W. 7. — Tel. KNI 3500

Mina Tomkiewicz — BOMBY I MYSZY. Str. 336. Cena: 35/-, \$ 5.00 lub F. 24.00.

Powieść mieszczańska, obejmuje schyłkowy okres współżycia Żydów i Polaków w Warszawie, okupowanej przez Niemców. Nie jest to powieść bohatera. W piekle warszawskiego getta toczy się w niezwykłych warunkach życie przeciw normalnych ludzi, zwykłych mieszczan — toczy się nieubłagane w kierunku śmierci. Trafność psychologicznych obserwacji, szczerłość ekspresji oraz styl czynią z książki wartościową pozycję w literaturze tego okresu. Przed kilku laty ukazała się ona w przekładzie hebrajskim i została przyjęta pochlebnie krytyką.

Lidia i Adam Ciołkoszowie — ZARYS DZIEJÓW SOCJALIZMU POLSKIEGO. Tom I.
Str. 520 + 65 plansz ilustracyjnych.
Cena: 63/-, \$ 9.00 lub F. 40.00.

Na wielką skalę zakrojone dzieło o polskim socjalizmie i polskim ruchu robotniczym od jego początków do czasów Powstania Styczniowego. Autorzy w swej pracy wykorzystali mnóstwo materiałów dokumentarnych, dotychczas nigdzie nieogłoszonych. Nieodzowna książka dla poznania społecznych i politycznych dziejów Polski XIX stulecia, ukazuje w prawdziwym świetle niepodległościowe tendencje polskiego ruchu socjalistycznego.

Michał Sokolnicki — DZIENNIK ANKARSKI. Stron 576. Ilustracje i indeks.
Cena: 52/6, \$ 7.00 lub F. 42.00.

Senior historyków i dyplomatów polskich, współpracownik Józefa Piłsudskiego sprzed I wojny światowej i w czasie czynu zbrojnego Legionów, autor „Roku 1914“. Druga wojna światowa zastaje go na placówce polskiej ambasady w Ankarze, gdzie przebywa do dziś. Autor pamiętnika przedstawia panoramę wojenną Europy, widzianą oczyma wnikliwego dyplomaty z ważnego i interesującego punktu obserwacyjnego.

Zygmunt Nowakowski — WIECZORY POD DĘBEM. Str. XX + 506. W opracowaniu Lidii Ciołkoszowej. Ilustracje Ireny Ludwig.
Cena: 42/-, \$ 6.00 lub F. 30.00.

Autor — niezrównany felietonista, publicysta, dramaturg i pisarz — występuje tym razem w roli historyka w znakomitym zbiorze gawęd z dziejów Polski. Gawędy swą treścią i formą stanowią wspaniałą lekturę dla każdego czytelnika bez względu na wiek, smak literacki i zainteresowania. „Wieczory pod dębem“ to opowieść o naszej tysiącletniej przeszłości, wyzwolona ze sztywnych więzów pedanterii, błyskotliwa, potoczna, pełna humoru i przypieczętowana historiozoficzną pointą. Każdy rozdział stanowi całość. W sumie książkę czyta się jak najlepsze felietony Nowakowskiego. Książkę opracowała i adoptowała do druku dr Lidia Ciołkoszowa.

Kazimierz Klochowicz — CZTERY NIEDOTRZYMANE PAKTY. Str. około 184.
Cena: 21/-, \$ 3.00 lub F. 15.00.

Zwizyły i syntetyczny przegląd czterech paktów, zawartych przez Polskę, celem ratowania pokoju w Europie. Żaden z nich nie został dotrzymany wobec Polski; pakt nieagresji z Sowietami i Niemcami oraz pakt o wzajemnej pomocy z Francją i Wielką Brytanią. Autor obiektywnie omawia skutki niedotrzymania tych umów nie tylko dla Polski ale i dla całej Europy.

KALENDARZYK KOMBATANTA NA ROK 1966

W oprawie reksynowej 5/-. Przesyłka 6d.

Zamówienia przyjmuje: **GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.**
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.
